



Nr. Książki

A 950

Tytuł
Książki

Dolina bez wyjścia

Data wypoż.	Nr. czyteln.	Data zwrotu	Data wypoż.	Nr. czyteln.	Data zwrotu
JAN 9 1918	K464	JAN 12 1918			
		OCT 28 '18			

BIBLIOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mniej kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiednim!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszczonek obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.



950-A

A

DOLINA BEZ WYJŚCIA

MAYNE-REID, KAPITAN

— **A** 950

DOLINA BEZ WYJŚCIA

✓
PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW
W HIMALAJACH

PRZEŁOŻYŁA Z ANGIELSKIEGO
M. J. ZALESKA

WYDANIE SIÓDME Z 11 RYCINAMI



Z Wydr. Oświaty

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

3979

WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY

A

WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY

WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY

WYDZIAŁ PEDAGOGICZNY



I.

NAJWYŻSZE GÓRY NA ŚWIECIE.

Czyż potrzebujemy wam mówić, gdzie leżą góry Himalaje, olbrzymim wałem oddzielające spiekle płaszczyny Indyj od zimnych płaskowzgórzy Tybetu i stanowiące granicę pomiędzy dwiema rozległemi krainami: państwem Niebieskiem i Nadgangesowem. Już z początkowej geografji wiecie, że góry te są najwyższe na całej kuli ziemskiej, a szczyty ich bieleją wiecznym śniegiem.

Uczony przyrodnik mógłby wam opowiedzieć mnóstwo ciekawych rzeczy o składzie geologicznym tych gór, o faunie ich i florze, to jest o zwierzętach i roślinach, właściwych tym strefom. Tomy już o tem zapisano, a wcale nie wyczerpano przedmiotu. W podręcznikach geograficznych Himalaje zowią zwykle łańcuchem gór, a jednak nazwa ta nie jest dla nich stosowna. Pod nazwą łańcucha rozumiemy sze-

reg wyżyn, ciągnący się nieprzerwanem, wydłużonem pasmem; tymczasem góry himalajskie, jakkolwiek pokrywają przestrzeń ogromną ze dwakroć sto tysięcy mil kwadratowych*), na długość jednak nie mają więcej nad tysiąc mil; zato rozkładają się szeroko, a w kilku miejscach przerwane są wpoprzek głębokimi kotlinami, przez które przepływają rzeki ogromne, kierujące się ku południowi, podczas gdy góry ciągną się od zachodu na wschód.

Podróżnik, patrzący na Himalaje od strony południowej, z indyjskiej płaszczyny, widzi przed sobą wał nieprzerwany, ale to jest złudzenie wzroku. Wyżyny te moglibyśmy sobie raczej wyobrazić jako bezładne nagromadzenie krótkich pasm, rozchodzących się na wszystkie strony świata. Klimat i płody tej rozległej, górzystej przestrzeni, przedstawiają wielką różnorodność. Na spadzistościach, przytykających do nizin indyjskich, i w głębokich dolinach wewnętrznych roślinność zbliża się zupełnie do zwrotnikowej; widać tam palmy, bambus, wspinające paprocie drzewne. Wyżej cokolwiek pojawiają się drzewa stref umiarkowanych, potężne dęby, kasztany, orzechy, sykomory, a nawet sosny. Dalej idą różaneczniki, czyli rodo-

*) Angielskich; mila ang. ma około wiorsty długości

dendrony, brzozy i wrzosa, które zastępują trawę na miejscach odkrytych.

Nakoniec na wynioślejszych stokach rosną już tylko mchy i porosty, sięgające granicy wiecznych śniegów, tak zupełnie, jak w okolicach podbiegunowych. Podróżnik, który z indyjskich płaszczyzn lub z dolin wewnętrznych posuwa się coraz wyżej ku wierzchołkom Himalajów, może w przeciągu niewielu godzin przejść przez wszystkie klimaty kuli ziemskiej i oglądać okazy najrozmaitszych roślin.

Nie wyobrażajcie sobie, że górzysty ten obszar jest bezludną pustynią; są tam krainy zamieszkałe, liczne państewka oddzielne, jak Bhotan, Sikkim, sławna dolina Kaszmiru i Nepal leżą pośród Himalajów. Niektóre są niepodległe, inne hołdują Anglikom lub Chinom. Mieszkańcy himalajskich wyżyn nie należą do jednego szczepu, po większej części znacznie się różnią od Indusów. Na wschodzie, w krainach Bhotan i Sikkim przebywa lud pochodzenia mongolskiego, obyczajami zbliżony do mieszkańców Tybetu, wyznający też samą religję Buddy i wierzący w bóstwo Dalaj-Lamy. W zachodnich okolicach osiedlone są różne plemiona indyjskie i mongolskie; można tam napotkać wyznawców trzech religij azjatyckich: mahometan, buddystów i braminów.

Ludność ta jest jednakże bardzo nieliczną

w stosunku do obszarów ziemi, które zajmuje częstokroć też podróżnik przebywa tysiące mil, nie widząc po drodze twarzy ludzkiej, ani dymu ogniska. Zwłaszcza w bliskości wiecznych śniegów są rozległe pustynie, nietknięte stopą człowieka, lub rzadko tylko nawiedzane przez śmiałych myśliwców. Wiele tam jest także miejsc zupełnie niedostępnych; nie potrzebujemy dodawać, że na najwyższe wierzchołki, jak Dhawalagiri, Kindzindzanga, Czamulari i inne, wdrzeć się nie zdołali najodważniejsi podróżnicy, prawdopodobnie nawet na tych wyżynach człowiek nie mógłby żyć długo z powodu wielkiego zimna i rozrzedzenia powietrza.

Góry Himalaje znane już były ludom starożytnym, nazywano je za czasów greckich i rzymskich Imaus i Emodus, jednakże w nowożytnej Europie jeszcze doniedawna bardzo mało o nich wiedziano. Portugalczycy i Holendrzy najwcześniej osiedlili się w Indjach wschodnich, lecz ci nie zajmowali się wcale górami, a i Anglicy przez czas długi nie zwracali na nie uwagi. Przeróżające opowiadania o dzikich obyczajach ludów, zamieszkałych wśród gór himalajskich, odstraszały podróżnych. W czasach dawniejszych pojawiło się zaledwie parę opisów okolic zachodnich tej górzyściej krainy, a i te były bardzo niedokładne, i prawie aż do dni naszych musiano na tem poprzestać.

Dopiero w XX stuleciu kilku odważniejszych Anglików zapuściło się w głąb puszczy tajemniczych, a bogactwa przyrody, zwłaszcza roślinności, które tam wykryli, sowiec im wyagrodziły podjęte trudy. Jednym z najpierwzych był znakomity botanik Hooker. Znalazł on na tych wyżynach mnóstwo roślin nowych, nieznanych, wzbogacił naukę i wskazał drogę innym poszukiwaczom, którzy dla celów mniej wzniosłych zaczęli zwiedzać krainy himalajskie i uganiać się za osobliwymi roślinami. Mówimy tu o ogrodnikach, usiłujących przywajać dla ozdoby ogrodów i cieplarni piękne kamorskie gatunki kwiatów. Roślinność himalajska przedstawia dla nich tę korzyść ogromną, że z łatwością zastosować się daje do umiarkowanego klimatu europejskiego. Dużo krzewów i ziół, przeniesionych stamtąd, może żyć i nas na świeżem powietrzu.

Tacy poszukiwacze pięknych roślin nieraz przysłużyli się bardzo nauce, chociaż przede wszystkim myśleli o własnej korzyści. Imiona ich nie są zapisane w rocznikach naukowych, zazwyczaj toną w niepamięci, a jednak i oni zasługują na wdzięczne wspomnienie. Ileż to razy skromny wysłaniec zakładu ogrodniczego narażał się na największe niebezpieczeństwa, przeskakiwał huczące potoki, zawieszał się ponad przepaściami, wspinał się na lodowce, za-

duszczał w bagna i trzęsawiska, ażeby zdobyć jakiś kwiat osobliwy, jakiś nowy gatunek roślin, storczyka lub wrzosienia.

Zamierzamy właśnie opowiedzieć wam dzieje takich nieustraszonych poszukiwaczy roślin, którzy zapuścili się w głąb Himalajów w puszcze bezludną i nieznaną, przetrwali mężnie dziwne, nadzwyczajne przygody, tysiączne niebezpieczeństwa, a zawsze umieli sobie radzić i nie upadali na duchu.

II.

WIDOK ZE SZCZYTU GÓRY CZAMULARI.

Na północ od miasta Kalkuty, w tej części himalajskich wyżyn, którą oblewa szeroki łukiem rzeka Bramaputra, wśród bezładnego nagromadzenia ostrych, skalistych cyplów, lśniących lodowców, wznosi się bielejący, wiecznym śniegiem pokryty szczyt Czamulari. Cała ta okolica jest dziką, nagą pustynią, chłód straszny wieje z poszarpanych grzbietów skał potężnych, które się skupiły dokoła tego olbrzyma. Nie on jeden wiecznym śniegiem jest przysypany, i orszak jego piętrzy się dumnie ponad chmury i przez rok cały przyodziany jest w świetną szatę białą.

A teraz wyobraźmy sobie, że stoimy na samym wierzchołku góry Czamulari, i rzućmy okiem wdół, a ujrzemy o kilka tysięcy metrów

żej najosobliwszą w świecie kotlinę. Ma ona kształt regularnej elipsy, jest dość rozległa, dokoła opasana, jakby murem olbrzymim, rostopadłemi prawie skałami, wznoszącemi się a kilkaset stóp wysokości ponad dnem kotliny. Tur ten ma jednostajną, czerwonałą barwę granitu, dalej zaś piętrzą się, nakształt baszt wieżyc, szeregi pozębionych cyplów, po większej części śniegiem ubielonych.

Wzrok wasz zatrzymałby się niezawodnie a tej dolinie, która pięknnością swoją i wdziękiem nieporównanym odbija od całego tego zikiego otoczenia. Kształt jej przypomina krater wulkanu, ale, zamiast żużli popiołów i zastygłej lawy, widzimy tam wszędzie świeżą zielenność, kępy drzew liściastych i kwitnących trzewów, a w miejscach odsłoniętych łączki, bujną trawą porośłe. U stóp skał wysokich, pasujących dolinę, ciągnie się ciemny rąbek lasu, a po samym środku rozlewają się wody jeziora; zwierciadłana jego powierzchnia odbija nieżyte szczyty okoliczne i najwyższy cypel góry Czamulari.

Gdybyście mieli dobrą lunetę, ujrzelibyście tam rozmaite zwierzęta, pasące się na łąkach, ptactwo przelatujące z drzewa na drzewo, lub unoszące się ponad jeziorem. Uroczy ten krajobraz wygląda na park starannie urządzone; nimowoli szukalibyście oczyma mieszkania

ludzkiego, jakiej wspaniałej willi, białych ścian wynurzających się z pośród zieleni. I w rzeczy samej, ujrzelibyście lekki obłoczek dymu unoszący się z pomiędzy gromadki drzew a przypatrując się uważniej, spostrzeżlibyście małą chatkę bardzo skromną, wcale niepodobną do tego wspaniałego otoczenia.

Widok ten zachęciłby was niezawodnie do zwiedzenia tego czarującego ustronia, lecz szukając drogi, prowadzącej do wnętrza doliny przekonalibyście się ze zdziwieniem, że olbrzymi mur, otaczający ją szczelnie dokoła, nigdzie nie ma żadnej przerwy. Z jednej strony wprawdzie jest szczelina w skale, a w niej nagromadzone głazy piętrzą się jeden na drugim, na kształt wschodów, lecz przejście to prowadzi na grzbiet olbrzymiego lodowca, który w pobliżu jest pęknięty i szpara szeroka rozciąga się ponad bezdenną przepaścią. Ptak chyłby mógłby przelecieć na drugą stronę.

Jakże więc owi mieszkańcy, którzy tą chatkę zbudowali i rozpalili ognisko, dostają się do doliny bez wyjścia? Skąd się w nią wzięły zwierzęta czworonożne? Posłuchajcie, a opowiemy wam, jakim sposobem wszystko się stało, niema w tem czarów, tylko osobliwy zbieg okoliczności.

Karol Linden był synem ogrodnika i z wczesnym wiekiem wyczuł się do tegoż samego zawo-

był to jednak młodzieniec bez wykształcenia, przeciwnie, ukończył wyższe nauki i znał dokładnie botanikę, a inne gałęzie wiedzy przyrodniczej nie były mu obce. Jak każdy młodzieniec, marzył on o dalekich wycieczkach do krajów nieznanych, o nowych odkryciach naukowych zdobyczach; możecie sobie wyobrazić radość jego, gdy się dowiedział, że pewien bogaty ogrodnik z Londynu szuka odważnych ludzi, których chce wysłać do Indji do celu poszukiwania osobliwych roślin ozdobnych. Karol nie wahał się ani chwili; ponieważ rodzice jego już nie żyli, był więc zupełnie niezależny. Młodszy brat jego Gustaw, osnastoletni młodzieniec, nie chciał za nic iść z nim rozłączyć, i obaj odплыnęli razem do Kalkuty. Zabrali też z sobą nasi młodzi podróżnicy wiernego psa Nerona.

W Kalkucie znaleźli przewodnika Indusa, zwanego Ossaro, a był to także człowiek młody, odważny, przytem zapalony myśliwiec. Ta gromadka zapuściła się w górzyste okolice, któreśmy opisali powyżej, i przez czas jakiś nie doznała żadnych nadzwyczajnych przygód. Karol z największym zapalem ugałębiał się za kwiatami, a gdy znalazł piękny i nieznany gatunek kwitnący, starał się zapamiętać miejscowość, aby później za powrotem zebrać okaz. Gustaw większe miał zamiłowanie do

polowania, a dzielnego znalazł doradcę i pomocnika w Indusie.

Dnia pewnego Ossaro spostrzegł w zaciśniętej kotlinie małego pizmowca, skinął na tychmiast na Gustawa, ale zanim młodzieniec wymierzył, zręczne zwierzę poskoczyło na skały i szybko uciekać zaczęło. Myśliwi biegli za nim, kozieł wspinał się coraz wyżej na góry, a chociaż trudno było iść z nim na wyścigi, Ossaro wytłumaczył młodzieńcom, iż mogą go wpędzić tym sposobem nad brzeg przepaści lub strumienia i zagrozić mu powrót. Wspinali się więc wszyscy trzej coraz wyżej, aż napotkali lodnik, spuszczający się z jakiejś niezmiernie wysokości w kotlinę.

Młodzi podróżnicy widzieli już nieraz lodniki, czyli lodowce, które są bardzo pospolite w górach Himalajach. Powierzchnia tych potężnych mas lodowych, zazwyczaj przysypana śniegiem, żwirem i piaskiem, nie była bardzo śliska, z łatwością więc wdrapali się na nie i gonili wytrwale za pizmowcem. Nadzieja zagroźnienia mu drogi stawała się nawet dość prawdopodobną, gdyż kotlina zwężała się, a po obu jej stronach wznosiły się olbrzymie, przepadłe skały, które zdawały się łączyć z sobą w oddaleniu, tworząc niezmiernie wydłużoną trójkąt.

Na śniegu widać było ślady pizmowca, mu

wał więc ciągle biec naprzód w tym samym kierunku, a róg trójkąta stanowił coś nakształt ułapki. Gustaw biegł naprzód z Indusem, za- ał ich udzielił się Karolowi, który także piesznie podążał za nimi. Już przejście było tak wąskie, że zaledwie kilkanaście metrów zieleń jedną skalistą ścianę od drugiej, gdyagle myśliwcy ujrzeli przepaść otwartą pod topami. Lodnik był pęknięty wpoprzek, szczelina wynosiła parę metrów szerokości. Tymczasem po drugiej stronie można było do- trzec ślady piźmowca. Zwinne zwierzątko musiało więc przesadzić tę przestrzeń jednym usem. Ossaro zapewniał, że nic w tem nie yło niepodobnego.

Karol najmniej się zmartwił tą przygodą, siadł na kamieniu i odpoczywał, Gustaw od- zedł nieco dalej i po chwili ozwał się okrzyk eszoły:

— Most, most! znalazłem most!

Ossaro poskoczył w stronę, skąd słyhać yło głos młodego chłopca, Karol powstał tak- e i podążył za nim. Najosobliwszy w świecie idok przedstawił się oczom jego. Olbrzymi dłam skały zawieszony był nad przepaścią, akształt mostu, brzegi jego po obu stronach pierały się prawie na samych krawędziach pękniętego lodnika. Jakim sposobem się tam ostał i jak mógł utrzymać się w równowadze?

ciekawe to było pytanie. Może leżał w tym miejscu jeszcze przed pęknięciem masy lodowej, która się pod nim rozsunała? Przypuszczenie to było najprawdopodobniejsze.

Gustaw nie zastanawiał się wcale nad pochodzeniem mostu, lecz śmiało puścił się tą drogą niezbyt bezpieczną; gdyby brat starszy był zdążył wcześniej, starałby się może go powstrzymać, ale gdy Karol nadszedł, ujrzał już Gustawa po drugiej stronie przepaści, unoszącego w górę kapelusz z okrzykiem triumfu. Neron skakał radośnie obok pana, Ossaro także się do nich przyłączył. Nie pozostawało więc nic Karolowi, tylko iść za nimi, co też uczynił. Wszyscy trzej pomknęli dalej za śladami piźmowca, pewni już teraz, że im nie uciecze.

A wtem nagle rozległ się huk straszliwy jakby grom spadł z jasnego nieba, po nim nastąpił drugi, echa okoliczne powtórzyły te przerażające odgłosy, a jednocześnie młodzieńcy poczuli, że grunt drży i chwieje się pod ich stopami. Przestрах ich ogarnął, przytomności sobie, że stoją na lodzie, żaden nie wymówił ani słowa, lecz wszyscy, jednozgodnym uczuciem wiedzeni, szybko zawracali z drogi. W parę minut dobiegli do szczeliny, lecz jaki widok oczy ich uderzył! Most runął w przepaść, a szczelina zdawała się znacznie rozszerzou

Gdy tak trzej podróżnicy stali nad tą czarną czeluścią, która im drogę zagradzała, ozwał się nowy łoskot, straszniejszy jeszcze, cały lodnik zdawał się z posad swych poruszać. Ogromne głazy toczyły się po spadzistościach, bryły lodu odrywały się z brzękiem złowrogim i uderzały o kamienne ściany, gruchocząc się w drobne kawałki; zamęt najokropniejszy panował dokoła naszych młodzieńców, można było obawiać się, że cała ta potężna masa lodu runie wkońcu w jakąś niezglębioną otchłań.

Karol, najprzytomniejszy, zaczął się oglądać na wszystkie strony i obaczył szczelinę wyżłobioną w jednej ze skał pobocznych, skinął więc na towarzyszków i weszli w tę kryjówkę, gdzie przynajmniej zaważenia nie potrzebowali się obawiać. Szczelina była niewielka, zaledwie się w niej pomieścić mogli we trzech, a i psisko przytuliło się przy nich przestraszone i drżące.

III.

DOLINA ODDZIELONA OD ŚWIATA.

Parę godzin przesiedzieli młodzieńcy nasi w swojej kryjówce; aż gdy się łoskot zupełnie uciszył, odważyli się wyjść i spojrzeć dokoła. Masa lodu pod ich stopami trzymała się dobrze, zaczęli więc szukać po wszystkich zaką-

tach, poza głazami i w zagłębieniach skał, owego piźmowca, który ich tu przyprowadził. Nie wątpili, że jest gdzieś ukryty, bo umknąć nie mógł, szczelina pękniętego lodowca była już teraz nawet i dla niego za szeroka. Wcale nie zapal myśliwski skłaniał ich do tego, lecz głód dotkliwy. Nie myśleli narazie o tem, co się z nimi później stanie, zaspokojenie głodu było w tej chwili najpilniejszą potrzebą.

Gustaw uwijał się najzwawiej, wszędzie zaglądał, wciskał się w każdy zakątek, najpierwszy też dotarł do miejsca, gdzie wysokie ściany kamienne, piętrzące się po obu stronach lodowca, zdawały się stykać z sobą. Lecz jak tylko tam stanął, okrzyk radości wyrwał się z jego piersi:

— Jesteśmy ocaleni — zawołał m łodzi niec — znalazłem przejście, możemy się wydobyć z tej pułapki. Chodźcie, patrzcie, jaki stąd widok prześliczny!

W rzeczy samej, dwie ogromne skały nie przytykały do siebie, chociaż tak się zdaleka zdawało; przez szczelinę, rozdzielającą je, Gustaw obaczył właśnie tę piękną dolinę, której opis podaliśmy w poprzednim rozdziale. Nietrudno też było dostać się stąd do niej, bo, chociaż poziom doliny znacznie był niższy od powierzchni lodowca, stosy nagromadzonych w tem miejscu kamieni tworzyły stopnie

po których można było wygodnie zejść aż u dna.

Pojmujecie, że młodzi podróżnicy nie namyślali się długo i po chwili byli już wszyscy w tej rozkosznej dolinie, a Neron wyskakiwał wesoło i natychmiast puścił się w pogoń za stadem rogatych zwierząt, pasących się na łące nad brzegami jeziora. Szczególne to były zwierzęta, z ogólnego kształtu podobne do wołów, ogony miały puszyste, jak u koni, długi włos pokrywał także ich boki, spuszczać się prawie aż do ziemi. Ogólna barwa ich była ciemna prawie czarna, niektóre jednak odznaczały się białymi ogonami i białym włosem po bokach. Karol poznał w nich odrazu yaki, czyli woły mrujące, zwierzęta bardzo rzadko przytrafiające się w górach himalajskich w stanie dzikim. Yaki oddawna dały się przyswoić w Tybecie, w Chinach i w innych krajach azjatyckich hodowane są jako zwierzęta domowe i używane do pracy, dają też dobre mleko i mięso. One to dostarczają tych wspaniałych ogonów, które u Turków i innych wschodnich narodów zdobią buńczuki władców i wojskowych dowódców; niewłaściwie je nazywają ogonami końskimi.

Neron zanadto zuchwale rzucił się na stado yaków, o mało życiem nie przypłacił swej odwagi. Stary samiec z wystawionymi rogami

biegł już prosto na niego, gdy celny strzał Gustawa trupem go położył. Jeszcze i wtenczas stado nie chciało ustępować z placu, dopiero gdy Ossaro zabił drugiego, a Karol trzeciego reszta zaczęła szybko umykać i znikła w gęstwinie leśnej.

— Za dużo zwierzyny upolowaliśmy naraz — rzekł Karol — nie będziemy mogli tego mięsa zabrać z sobą, niepotrzebnie więc zgładziliśmy ze świata niewinne istoty.

— Młody sahib *) jest nadto miłosierny — ozwał się Ossaro — gdybyśmy byli tych złośliwych zwierząt nie odstraszyli, toby one nas pewnie nie pożałowały. Yaki są nadzwyczaj silne i dzikie, niejeden myśliwiec padł pod kopytami rozjuszonego byka, jeśli go nie trafił odrazu.

Indus nazbierał suchych gałęzi, rozpałił ognisko i upiekł wyborną pieczeń, którą młodzi podróżnicy spożyli z wielkim smakiem; napili się potem zimnej, czystej jak kryształ wody, wytryskującej z pobliskiej skały i, wypocząwszy, puścili się w dalszą drogę. Sądziłi, że znajdą z łatwością przejście pomiędzy skałami, ale się okropnie zawiedli. Szli długo wzdłuż prostopadłej opoki, otaczającej dolinę,

*) Po indyjsku nazwa „sahib“ jest oznaką uszanowania, coś jakby „wielmożny pan“ po polsku.

zaglądali uważnie w każdą szczelinę, a wkońcu o zachodzie słońca doszli do tegoż samego miejsca, gdzie dogasały resztki ogniska.

Dwaj bracia z niepokojem spojrzeli po sobie, potem wzrok pytający zwrócili na Indusa. Ten milczał uporczywie, a posępna twarz jego nie dobrego nie wróżyła. Nakoniec na kilkakrotne zapytanie młodzieńców odpowiedział półgłosem, oglądając się z obawą dokoła, że dolina ta musi być mieszkaniem bóstwa, a ono zapewne obrażone jest wtargnięciem nieproszonych gości i srogo ich ukarać może, jeśli wporę nie prześlągają nadprzyrodzonej tej istoty. Gustaw, pomimo smutnych okoliczności, rozśmiał się na całe gardło, czem więcej jeszcze przeraził zabobonnego Indusa.

Noc tymczasem zapadła, nie było więc innej rady, tylko upatrzeć dogodne miejsce na nocleg i czekać następnego rana, aby na nowo rozpocząć poszukiwania. O wschodzie słońca trzej podróżnicy rozpoczęli znów wędrówkę dokoła pięknej doliny, lecz i tym razem bezskutecznie. Nie tracili jednak nadziei, że zczasem wykryją jakieś przejście, zdawało im się niepodobieństwem, aby ta rozkoszna ustron odcięta była zupełnie od reszty świata. Tymczasem roztropny Ossaro, obawiając się nade wszystko, aby im nie zabrakło zapasów żywności, zabrał się do ususzenia mięsa trzech

zabitych yaków. Pokrajał je więc na wąskie paski i zawiesił na kijach ponad ogniskiem. Radził też towarzyszom, aby o ile możności oszczędzali nabojów.

Mijały dni jedne za drugimi, a w położeniu naszych podróżników nic się nie zmieniało. Zwiedzili całą dolinę, napotykali po drodze różne zwierzęta, które zapewne dostały się tu w tym czasie, gdy jeszcze lodowiec nie był pęknięty, a mając podostatkiem żywności, nie tęskniły za resztą świata. Ptaki tylko unosiły się ponad olbrzymim skalistym wałem, opasującym tę pustelnię, i używały swobody, a trzech więźniowie gonili tęsknym wzrokiem za niemi.

Obejrzawszy po sto razy każdą nierówność, każdą szczelinę w skale, młodzieńcy stracili wkońcu nadzieję wydostania się z tej strasznej matni, przestali już nawet szukać nieistniejącego przejścia. Pewnej nocy przeraziły ich wycia psów dzikich, obawiając się więc napadu drapieżnych zwierząt, urządzili sobie chatkę z gałęzi i nocowali w tem bezpiecznem schronieniu.

IV.

NOWE ZAMIARY.

Trzej towarzysze siedzieli dnia pewnego na kamieniach przed swoją chatką, pogrążeni w smutnem rozmyślaniu. Spoglądali na olbrzy-

nie skały, piętrzące się przed nimi, i ogarnęło ich ciężkie przygnębienie. Każdego z nich dręczyła też sama myśl natrętna: powtarzali sobie, że są na wieczną samotność skazani, że nigdy w życiu nie ujrzą innych ludzkich twarzy, oprócz towarzyszków niedoli. Gustaw pierwszy wyraził słowami tę myśl bolesną.

— Cóżto za los okrutny—rzekł z ciężkiem westchnieniem — będziemy więc musieli żyć i umierać w tem pustkowiu, zdala od ziemi rodzinnej, od wszystkich, których kochamy, zdala od świata i ludzi. Jakże zdołamy wytrwać przez długie lata sami, zawsze sami!

— Nie, Gustawie — odrzekł Karol głosem wzruszonym—nie mów, żeśmy tu sami: Bóg jest wszędzie, On i tu przebywa, Opatrzność jego czuwa nad każdym stworzeniem.

Biedny Gustaw musiał uznać słuszność słów brata, nie mógł jednak pokonać głębokiego smutku. A i Karol z trudnością panował nad sobą, spokój jego był udany, a rezygnacja, którą starał się natchnąć brata, dowodziła właśnie najlepiej, że nie miał już żadnej nadziei. Milczenie trwało przez czas jakiś, następnie ozwał się Ossaro:

Jeżeli wielki Sahib, który panuje na niebie, zechce, abyśmy stąd wyszli, wyjdziemy, jeśli nie, musimy tu żyć i umierać.

Wyrazy te, teńące fatalizmem wschodnim,

nie mogły pocieszyć więźniów. Dwaj bracia westchnęli tylko, nie mówiąc. A jednak Karol prędko się ocknął z przygnębienia, był on chrześcijaninem i wiedział, że Bóg dopomaga tym, którzy rąk nie opuszczają w nie-szczęściu, ale starają się radzić sobie wszelkiemi siłami. Gdy więc Gustaw ukrył twarz w dłoniach, oddając się niemej i bezczynnej trosce, starszy brat ważył w myśli nowe zamiary i układał sposoby ratunku.

Dwaj towarzysze spostrzegli to nakoniec i domyślili się, że jakiś ważny pomysł go zaprzęta, nie chcieli mu jednak przeszkadzać, czekając aż sam się odezwie i wyjawi swoje zamiary. W rzeczy samej, Karol przerwał wkrótce milczenie i mówił:

— Przyjaciele, nie upadajmy na duchu, nigdy rozpaczać nie należy, bo ocalenie może się przybliżyć, gdy najmniej się tego spodziewamy. Wpatrując się uważnie w tę skałę, która się piętrzy przed nami, spostrzegłem, że powierzchnia jej, prawie prostopadła, nie jest jednak zupełnie równa. W pewnych odstępach widać tam jakby wyźłobienia; pod każdym takim wyźłobieniem jest krawędź wystająca, coś nakształt gzymsu. Cały ten mur olbrzymi wygląda, jakby był podzielony na piętra. Otóż przyszło mi na myśl, że możnaby tam ustawić kilka długich drabin, jedną nad drugą, opie-

rając je na owych krawędziach wystających. Na nieszczęście, na tej skale, którą mamy tu wprost przed sobą, ostatni, najwyższy przedział, ma wysokość ogromną, co najmniej sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt stóp; takiej drabiny nie potrafimy urządzić, to darmo.

— Ale może gdzieś w innem miejscu łatwiej nam pójdzie — zawołał Gustaw, nową nadzieją ożywiony — trzeba starannie obejrzeć wszędzie skały, nie traćmy czasu...

— Dziś już jest za późno — odrzekł Karol — za chwilę się ściemni. Idźmy się posilić wieczorą, pomódlmy się gorąco, aby Bóg przedsięwzięciom naszym pobłogosławił, i spoczniemy przez noc, a jutro rozpoczniemy nowe poszukiwania.

Słowa te przypomniały Gustawowi, że mu już głód zaczynał dokuczać, poszedł więc chętnie za radą starszego brata. Ossaro zabrał się do przyrządzania wieczery, a Neron usiadł na progu chatki, czekając swojej kolei. Wieczera wszystkim wybornie smakowała, potem dwaj bracia odmówili modlitwę wieczorną, Ossaro po swojemu polecił się bóstwu, i sen wkrótce skleił ich powieki.

V.

NIESPODZIEWANE ODWIEDZINY.

Trzej młodzieńcy spali już smacznie od kilku godzin, gdy szczekanie Nerona przebudziło ich nagle. Wierny pies spał także w chatce na posłaniu z suchych liści, a był to stróż nadzwyczaj czujny, za najłżejszym szelestem zrywał się, wybiegał, szczekając głośno, i póty nie powracał na swoje miejsce, póki się nie przekonał, że niema żadnego niebezpieczeństwa w pobliżu.

Nie był to jednak wcale pies hałaśliwy lub niespokojny; Neron za dużo świata widział w swoim życiu, za dużo nabył doświadczenia, aby miał darmo piersi zrywać. Odzywał się tylko wtedy, gdy miał do tego ważne powody, ale w takim razie nie żałował głosu. Gdy więc około północy zaczął szczekać, trzej nasi znajomi przebudzili się odrazu, chociaż spali twar-do i smacznie. Pies wybiegł z chatki i popędził na wybrzeże jeziora, głos jego stamtąd dochodził groźny, przeraźliwy, powtórzony przez echa okoliczne.

— Co to może znaczyć? — pytał Karol.

— Musiał się czegoś przestraszyć — odrzekł Gustaw, który znał najlepiej naturę psa. — Neron nigdy tak gwałtownie nie szczeka na zwy-

czajną zwierzynę, tylko gdy jest w najwyższej trwodze. Musiał zwierzyć jakiegoś strasznego nieprzyjaciela. Gdybyśmy nie byli zabili staro- byka, przewodnika stada yaków, sądził- bym, że to on.

— Kto wie, może tu są tygrysy w tej do- linie — mówił Karol — nie przyszło mi to na myśl, a przecież rzecz jest możliwa. Mylnie sądzą niektórzy, że tygrys bengalski trzyma się wyłącznie strefy zwrotnikowej; zwierz ten, według świadectwa wiarogodnych podróżników, posuwa się daleko na północ, spotykano go nieraz na wybrzeżach Amuru, na pięćdziesią- tym stopniu szerokości geograficznej.

— O Boże! — krzyknął Gustaw przerażony — cóż pocniemy, jeżeli to rzeczywiście tygrys? Nasza chatka nie zamyka się nawet, zginiemy niechybnie...

A wtem usłyszano dziwne, nieznane od- głosy, wtórujące gwałtownemu szczekaniu Ne- rona. Było to coś nakształt trąby, ale dźwięki te ostre, przeraźliwe, przypominały raczej trzy- groszową trąbkę mosiężną, niż odgłosy wojennej surmy, a jednak przerażające wywierały wra- żenie. Pies umknął natychmiast, gdy je posły- szał, i ukrył się w najdalszym kącie chatki, chociaż nie przestawał szczekać, jak szalony.

Osobliwszy odgłos zbliżał się tymczasem, wkrótce ozwał się prawie przy samej chatce;

straszna istota, która go wydawała, musiała także zwęszyć nieprzyjaciela i prosto w tę stronę dążyła. Jeden Ossaro poznał te dźwięki odrazu, bo słyszał je nieraz w swoim życiu, wiedział on dobrze, co to za zwierzę zbliżał, ale był tak zdziwiony i przerażony, że w pierwszej chwili ust otworzyć nie zdołał.

— Czy to podobna?— wyrzekł wreszcie półgłosem — skąd on mógł się tu wziąć? to rzecz niepojęta!

— Ale cóż to jest? mów prędzej — wołali dwaj bracia.

— Tak, tak, to on, niema wątpliwości! — wołał Indus, drżąc cały z przerażenia — teraz już po nas, zginiemy...

Młodzieńcy nie się od niego dopytać nie mogli, przerażenie przytomność mu prawie odbierało, padł na kolana i przyciszonym głosem błagał towarzyszy, aby się nie odzywali. Dwaj młodzieńcy nie śmieli mu się sprzeciwić i, pomimo całej swej odwagi, zadrżeli także, bo niebezpieczeństwo nieznanne jest zawsze najstraszniejsze.

I znów dziwne dźwięki ozwały się bliżej jeszcze. Karol i Gustaw na palcach przysunęli się do progu; promienie księżyca oświecały łączkę, rozciągającą się przed chatką, ujrzeni tam cień jakiś olbrzymi, jakby czarna chmura stanęła nagle pomiędzy nimi i księży-



Przy świetle księżyca widać było doskonale, jak potwór poruszał się ociężale na olbrzymich nogach... (str. 29).



cem. Cień ten poruszał się leniwie, potem stanął na miejscu, a przypatrując się uważnie, młodzieńcy spostrzegli wyraźnie ogromne jakieś cielsko, wspierające się na nogach, podobnych do grubych słupów.

Przerażenie Nerona doszło do takiego stopnia, że przestał czekać i w milczeniu przytulił się u nóg Gustawa, Ossaro ciągle był nieruchomy, a dwaj bracia, nie wiedząc, jakiego rodzaju niebezpieczeństwo im zagraża, powstrzymywali się także od najłżejszego szelestu. Głucha ta cisza musiała uspokoić tajemniczą istotę, gdyż, zatrąbiwszy raz jeszcze donośnie, oddaliła się zwolna i podążyła w stronę rzeczutki. Przy świetle księżyca widać było doskonale, jak potwór poruszał się ociężale na olbrzymich nogach, a gdy przechodził przez rzeczkę, dał się słyszeć plusk wody. Gustaw nie mógł już ciekawości swej dłużej powstrzymać i, chwytając Indusa za ramię:

— Powiedźże nam nakoniec, co to jest takiego? — zapytał.

— Sahibie — szepnął Ossaro — jeżeli to nie jest bóstwo Brahma we własnej swej osobie, to chyba stary samotnik.

— Samotnik? — powtórzył Gustaw zdumiony. — Cóż to znaczy?

VI.

SŁÓWKO O SŁONIACH.

— Samotnik — mówił dalej Ossaro, trochę spokojniejszy — to jest stary słoń samiec, który unika towarzystwa podobnych sobie zwierząt i żyje zupełnie odosobniony w puszczech leśnych.

— Ach, to słoń! — zawołali dwaj bracia z radością, bo wyobraźnia przedstawiała im tak przerażające obrazy, że woleli już mieć do czynienia ze słoniem, niż z jakimś niebezpieczeństwem nieznanem.

— Ale jakimże cudem ten zwierz mógł się tu dostać? — zapytał Gustaw.

Indus milczał; on także zadawał sobie to pytanie i nie umiał na nie odpowiedzieć, dlatego też usiłował tę dziwną zagadkę rozwiązać przypuszczeniem, że to Brahma, bóstwo indyjskie, wzięło na siebie postać słonia, aby ich przerazić.

— Ten słoń musiał się tu zabłąkać dziwnym jakimś trafem — mówił Karol — zapewne szukając samotności, zaszedł aż do tej doliny,

— Ale jaką drogą się tu mógł dostać?

— Taż samą, którąśmy sami tu przyszli.

— Zmiłuj się, czyż takie ciężkie zwierzę mogło przejść przez ten chwiejący się most?

— O nie — rzekł Karol — tego nie przypuszczam, ja co innego myślałem.

— Że on tu dawniej przyszedł, nieprawdaż?

— Otóż właśnie—mówił brat starszy—inaczej tego wytłumaczyć niepodobna. Słoń musiał się tu dostać w czasie, gdy jeszcze lodowiec nie był wcale pęknięty. To jedno mnie dziwi, żeśmy go dotąd nie widzieli. Ty zwłaszcza, Gustawie, tak często zapuszczałeś się w lasy, a nigdy go nie spotkałeś, nawet śladów jego nie spostrzegłeś, bo przecież byłbyś na nie zwrócił uwagę?

— Nigdy—nawet o tem nie pomyślałem — rzekł Gustaw—któżby się spodziewał, ażeby słoń mógł się drapać po górach i żyć na takich wyżynach.

— Trudno w to uwierzyć, to prawda—mówił Karol — a jednak czytałem o tem nieraz, że słonie, pomimo całej swej ociężałości, wybornie chodzą po górach i dostają się prawie tak wysoko, jak najśmielsi podróżnicy. Na wyspie Cejlon widziano dzikie słonie na szczycie Adama*), a wiadomo, że i człowiekowi nie łatwo tam się wdrapać. Cóż dziwnego, że ten zwierz tu się dostał? Słonie żyją bardzo długo, może on tu przyszedł przed stu laty, a po pęknięciu lodowca pozostał uwięziony w tej dolinie.

— Ja zawsze sądziłem — mówił Gustaw — że słonie trzymają się tylko nizin zwrotniko-

*) Jest to najwyższa góra na wyspie Cejlon; nazwa jej początek wzięła od starej legendy, według której miał tam być grób Adama, ojca wszystkich ludzi.

wych i żyją w gorącym klimacie, wśród roślinności nadzwyczaj bujnej.

— Fałszywe to mniemanie jest bardzo rozpowszechnione — mówił dalej Karol — a jednak w rzeczywistości słoń woli żyć na wyżynach, gdzie klimat jest mniej gorący i gdzie mu tak nie dokuczają roje owadów, bo gruba skóra zwierzęcia nie chroni go wcale od tego prześladowania. I tygrys także nietylko w gorących nizinach przebywa, ale często zapędza się wyżej lub dalej na północ.

Obaj bracia nie mogli się wydziwić tylko, jakim sposobem słoń tak długo ukrywał się przed ich wzrokiem, chociaż tyle razy przechodzili całą dolinę wzdłuż i wszerz. Jeden Ossaro umiał to wytłumaczyć po swojemu, dowodząc, że to stworzenie nie było wcale z tego świata rodem, ale uosobieniem jakiegoś potężnego bóstwa. Darmo dwaj bracia usiłowali mu wybić z głowy to niedorzeczne przekonanie.

— Niema w tem ostatecznie nic nadzwyczajnego — rzekł Gustaw — dolina jest bardzo rozległa, nie mogliśmy zwiedzić wszystkich jej kryjówek. I tak, na przykład, nie byliśmy nigdy w głębi tego gęstego lasu, który przytyka aż do samej skały na drugim końcu doliny. Raz tylko jeden zapędziłem się tam za uciekającym jeleniem, ale się prędko zawróciłem, bo na miejscach odkrytych mam zawsze podostatkiem

zwierzyny. Może ten słoń właśnie w tym lesie się ukrywa i w nocy tylko z niego wychodzi. A żeśmy śladów jego nie dostrzegli, to także nie dziwnego; nigdyśmy o tem nie myśleli, co innego mieliśmy na głowie.

Gustaw miał niezawodnie słuszność; wszyscy trzej daleko częściej spoglądali w górę, szukając sposobu wydostania się ze swego więzienia, nie patrzyli prawie nigdy pod stopy. Gustaw, pomimo upodobania do myśliwstwa, rzadko kiedy wypatrywał tropów zwierzyny, bo oszczędzał nabojów, a nie brakło im zapasów żywności. Ossaro ususzył tyle mięsa z zabitych pierwszego dnia yaków, że na długo mieli spiżarnię zaopatrzoną.

Młodzieńcy kiedy niekiedy tylko, chcąc mieć świeże pieczyste, strzelali do dzikich kaczek na jeziorze, lub do innych ptaków, które zawsze się znalazły w pobliżu. To też w rzeczy samej, chociaż przebiegali nieraz dolinę wzdłuż i w szerz, nie zwiedzili jednak dokładnie wszystkich jej kryjówek. Mógł więc słoń przebywać w której z nich, i tym sposobem ujść dotąd ich wzroku.

Upłynęło parę godzin, zwierz się nie pokazywał, więc wszyscy trzej uspokoili się i usnęli po raz drugi, postanawiając jednak obmyślić środki zabezpieczenia się od napadu tak groźnego sąsiada.

VII.

OPATRZENIE BRON

Dnia następnego młodzieńcy przebudzili się o świcie i wyszli natychmiast na zwiady. Karol i Gustaw chcieli przedewszystkiem obejrzeć ślady słonia; Ossaro utrzymywał, że całe to zdarzenie, jako cudowne, żadnych śladów zostawić po sobie nie mogło. Pojawienie się zwierza było w rzeczy samej dziwną tajemnicą otoczone; zatrąbiwszy kilka razy, znikł potem, jak senna mara.

Ale dwaj bracia nie wierzyli w podobne zabobony i pewni byli, że taki olbrzym nie mógł się przesunąć niepostrzeżenie. Ponieważ widzieli, jak przechodził w bród rzeczulkę w miejscu, gdzie wpadała do jeziora, tam więc prosto się skierowali, jak tylko się zupełnie rozwidniło.

Znaleźli też wkrótce to, czego szukali: w piasku nadbrzeżnym wyżłobione były szerokie ślady stóp słonia, a także same ukazywały się i po drugiej stronie rzeczki. Teraz już i przesądny Indus dał się przekonać, że nocny gość nie był żadną nadprzyrodzoną istotą, tylko zwyczajnym zwierzem. Ossaro nieraz polował na słonie w Bengalu i znał się z nimi

dobrze, wiedział przytem, że mary nie zostawiają po sobie tak potężnych śladów.

— A to olbrzym nielada! nieczęsto takiego słonia spotkać można — mówił Indus, teraz już zupełnie uspokojony.

— Skądże ty to wiesz, kiedyś go nie widział? — zapytał Gustaw.

— Oho! mogę najdokładniej oznaczyć jego wielkość, nie omylę się ani o cal jeden.

— Jakim sposobem?

— Nic łatwiejszego — odparł Ossaro — i młody sahib to potrafi tak samo, jak i ja; trzeba tylko mieć miarę nogi słonia.

Mówiąc to, Indus wyjął z kieszeni długą tasiemkę, odmierzył nią dokładnie obwód jednego ze śladów, wyciśniętych na piasku, i otrzymał tym sposobem miarę grubości słonia.

— A teraz — rzekł, pokazując tasiemkę dwom braciom — podwoiwszy tę miarę, będziemy mieli wysokość zwierzęcia od stóp do łopatki. Niedarmo mówiłem, że to olbrzym niepospolity.

Obwód nogi słonia wynosił około dwóch jardów*), a więc według obliczenia Indusa wzrost jego dochodzić miał czterech jardów, czyli dwunastu stóp. Karol wiedział, że to jest

*) Jard ma trzy stopy angielskie, stopa trzydzieści centymetrów.

miara największych słoni. Słyszał też nieraz od myśliwców indyjskich, że stosunek objętości nogi do wysokości zwierzęcia jest rzeczywiście taki, jak twierdził Ossaro.

Żaden z nich nie wątpił, że to był tak zwany stary samotnik; Indus słyszał nieraz o takich samcach, prześladowanych słusznie czy niesłusznie przez wszystkich towarzyszy i zmuszonych do życia samotnego. Odosobnienie to zwykle bardzo nieszczęśliwie wpływa na usposobienie zwierzęcia, które się staje ponure i złośliwe, a wówczas często napada na inne, słabsze istoty, jedynie dla przyjemności pastwienia się nad niemi.

Słonie samotniki widziano nieraz i w Azji i w Afryce, a ponieważ każdy z nich i na ludziach także złość swoją wywiera, więc spotkanie z takim straszliwym zwierzem jest nadzwyczaj niebezpieczne. Zdarzało się nawet, że słoń samotnik ze szczególnem upodobaniem napadał istoty ludzkie i stawał na czatach przy drodze, wyglądając przechodzących podróżników. W pewnej miejscowości indyjskiej stary słoń, wyrwawszy się z niewoli, wałęsał się po okolicy i zamordował ze trzydziestu ludzi, zanim go pokonać zdołano.

Ossaro znał doskonale wszystkie te podania i ostrzegał młodych sahibów, aby się mieli na ostrożności. Karol nie życzył sobie wcale

narażać się na niebezpieczeństwo niepotrzebne, a nawet i Gustaw przyrzekł na ten raz zbyteczną śmiałość powstrzymać.

Uradzono więc najpierw, aby na krok się nie ruszać bez broni, i zabrano się do opatrzenia jej należycie. Odczyszczono strzelby, nabito je prochem i kulami. Amunicji na szczęście znalazło się dosyć, gdyż, jak wspomnieliśmy wyżej, obaj bracia oszczędnie się z nią obchozili. Oprócz tego, Ossaro wyostrzył swoją siekierę i włócznię, sporządził sobie nowy łuk i zapas strzał.

VIII.

DALSZE POSZUKIWANIA.

Młodzieńcy postanowili znowu obejść dookoła całą dolinę, mieli bowiem nadzieję, że znajdą gdzieś miejsce dogodne do ustawienia drabin, a za ich pomocą wydobędą się z tego więzienia. Bliższe skały znali już wszystkie doskonale, skierowali się więc odrazu aż na drugi koniec doliny. Już i tam wprawdzie byli kilka razy i oglądali każdą skałę, ale przedtem czynili to w innym celu, szło im o wyszukanie szczeliny, a teraz, myśląc o drabinach, zwracali uwagę na wypukłości i zagłębienia, które ustawienie tych drabin ułatwić mogły.

Nie wątpili, że znajdą w dolinie materiał na drabiny, choćby najdłuższe, olbrzymie jodły rosły w obfitości w lesie, szło tylko o to, aby wybrać pnie cienkie i długie, a i takich nie brakło. Byle im tylko się udało natrafić na skałę o przedziałach, nie przechodzących pięćdziesięciu stóp wysokości, mogli być pewni, że pomysł ich da się wykonać. Rozkoszna ta dolina, która w pierwszych chwilach wydała im się rajem, teraz się w piekło dla nich zamieniła, gdy wyjść z niej nie mogli.

Poszukiwania nie trwały długo, młodzieńcy ku wielkiej swej radości upatrzyli skałę, która napozór przedstawiała warunki żądane, najwyższe piętra dochodziły zaledwie dziesięciu jardów, dolne nigdzie nie były zbyt wysokie. Wysokość całej skały nie przechodziła stu jardów, był to zapewne ogrom, ale w porównaniu do innych, ta jeszcze mogła być za najniższą uważana.

Ażeby się aż na sam szczyt jej dostać, trzeba było zrobić najmniej ze dwanaście drabin niepospolitej długości, a ta robota, przy braku stosownych narzędzi, nie była wcale łatwą sprawą, i dziwicie się zapewne, że nasi młodzieńcy nie odstąpili od swego zamiaru, zastanowiwszy się nad trudnościami wykonania.

Zrozumiecie to jednakże, gdy się na ich

miejscu postawicie. Przypomnijcie sobie, że to była dla nich ostatnia nadzieja ocalenia, ta myśl dodawała im sił i odwagi do pracy. Wiedzieli dobrze, że takiego przedsięwzięcia nie ukończą za jeden dzień, ani za kilka dni, lecz może zaledwie za pół roku. Niedosyć było zrobić drabiny dostatecznej długości, należało jeszcze ustawić je wszystkie, jedne nad drugimi. A do wykonania takiego dzieła mieli tylko jedną siekierkę i trzy pary rąk.

Przyszedłszy do przekonania, że nigdzie nie znajdą dogodniejszego miejsca, młodzieńcy zaczęli oglądać z największą uwagą, i skały, i grunt, który mieli pod stopami. Stali właśnie na krańcu tego lasu, gdzie żaden z nich nie zapuszczał się jeszcze, pomiędzy gęstwiną i skałą rozciągała się przestrzeń odsłonięta, ziemia tu była całkowicie usłana kamieniami oderwanymi od skał okolicznych; wśród drobniejszych odłamów leżały gdzieś większe głazy, a pośrodku wznosił się duży słup kamienny tak regularny, jakby ręką ludzką ociosany. A jednak była to tylko dziwna i graszka przyrody, prawdopodobnie pozostałość jakiegoś dawnego lodowca. Słup ten miał ze dwadzieścia stóp wysokości, u góry zwężony, wspierał się na podstawie znacznie szerszej, a boki jego ponacinane były w pewnych odstępach naksztalt schodów, tak, że można

było wdrapać się na jego wierzchołek. Ossaro nie omieszkął popróbować tej sztuki, ze zręcznością kota wspiał się na szczyt kamiennego słupa i, rozejrzawszy się po okolicy, osunął się znowu na dół.

IX.

PRZESZKODA.

Jak wspomnieliśmy wyżej, młodzieńcy nasi postanowili zachowywać się ostrożnie i unikać spotkania ze strasznym słoniem, ale uradowani pomyślnym skutkiem swych poszukiwań, zapomnieli zupełnie o grożącym ciągle niebezpieczeństwie, a nawet o istnieniu słonia samotnika. Widzieli tylko skałę i piętra, na których mieli ustawiać zbawcze drabiny, myśleli jedynie o sposobie doprowadzenia tego przedsięwzięcia do szczęśliwego końca. Ta nadzieja tak ich ożywiła i rozweseliła, że zaczęli rozmawiać coraz głośniej i nie zważali wcale na to, co się działo koło nich.

Właśnie w chwili, gdy Indus zsunął się ze szczytu słupa, nie ujrzawszy stamtąd nic osobliwego, Neron, który zabiegł był pomiędzy drzewa, wietrząc i nasłuchując, zaczął nagle szczekać tak przeraźliwym głosem, jak w nocy.

Młodzieńcy nasi przypomnieli sobie natychmiast słonia, zwrócili się w stronę, skąd dochodziło szczekanie psa i wszyscy trzej za broń pochwycili; dwaj bracia mieli strzelby, a Indus łuk swój i strzały.

Nie potrzebujemy dodawać, że na twarzach ich malowało się przerażenie, które się zwiększyło jeszcze, gdy Neron nadbiegł z uszami opuszczonemi i podwiniętym pod siebie ogonem. Biedne psisko już nie czekało, ale wyło przeraźliwie, tylko potężny nieprzyjaciel mógł w niem wzbudzić taką trwogę.

Nieprzyjaciel ten ukazał się wkrótce; najpierw z gęstwiny leśnej wysunęła się długa trąba i dwa kły olbrzymie, potem dwoje uszu niezwykłych rozmiarów, a nakoniec całe cielsko ogromnego słonia. Potwór łamał i gruchotał wszystko po drodze, chrzęst gałęzi zwiastował zbliżenie jego, nim jeszcze pojawił się przed oczyma przerażonych młodzieńców, zabrzmiał także dźwięk jego trąby, a gdy wynurzył się z lasu, pędził prosto za psem, który go śmiał niepokoić w jego schronieniu.

Ponieważ Neron, jak powiedzieliśmy wyżej, przybiegł do swoich panów, zemknąwszy z lasu, więc słoń także kroczył prosto w tę samą stronę i zbliżał się do nich. Na widok ludzi, zapomniał zapewne o nędznem stworzeniu, które gniew jego wywołało i mocno się musiał

ucieszyć, że będzie mógł wyrzucić zemstę na godniejszych przeciwnikach. Trzej towarzysze poznali na pierwszy rzut oka, że słoń ich zobaczył i wcale nie na psa, lecz na nich uderzyć zamierza.

Napad ten był tak nagły i niespodziewany, że nie mieli czasu się naradzić, ani obmyśleć środków ratunku. Każdy z nich własnym instynktem kierować się musiał. Karol podniósł strzelbę, wymierzył pomiędzy kły zwierza i wypalił, Gustaw, który posiadał pyszną dubeltówkę, posłał mu aż dwie kulki w sam środek łba, Ossaro wpakował strzałę w długą jego trąbę i szybko umykać zaczął. Dwaj bracia uczynili toż samo, gdyż szaleństwem byłoby wyzywać do walki tak groźnego nieprzyjaciela; ucieczka ta nie mogła być uważana za tchórzostwo. Dodajmy nawet, że Karol i Gustaw, sprawiwszy się prędzej od Indusa z wystrzałami, pierwsi uciekać zaczęli i dopadli ogromnego drzewa, na które się wdrapali obaj z łatwością i ukryli się w gałęziach, bujnym liściem pokrytych.

Ossaro spóźnił się o jedną sekundę, było to dostateczne, aby straszny zwierz całą swą wściekłość zwrócił na niego, gdy dwaj inni mu się wymknęli. Słoń pędził jak szalony za Indusem, wyciągał trąbę, w której tkwiła strzala; musiał on wiedzieć, kto mu takiego figla wypłatał, a ostrze, zatknięte głęboko w skórę,

więcej mu sprawiało bólu od kul, bo te odbiły się od twardej czaszki. Nie dziw, że pragnął ukarać przykładowie zuchwałego łucznika.

Okropne niebezpieczeństwo zagrażało Indusowi, pędził co tchu, ale czuł, że trąba słońa dosięgnie go niezawodnie, nim zdąży do drzewa. Dwaj bracia, siedząc bezpiecznie na samym wierzchołku, widzieli doskonale straszne położenie towarzysza i nie mogli się powstrzymać od okrzyku przerażenia. Indus w najwyższej trwodze już prawie przytomność tracił, ale odzyskał ją w tem samym mgnieniu oka i, widząc, że zbawczego drzewa nie dopadnie, skręcił nagle w stronę przeciwną, ostatnie wyęzając siły. Biegł teraz prosto do kamiennego słupa, ten na szczęście był bardzo blisko, o dziesięć kroków zaledwie. Ossaro w czterech czy pięciu susach go dosięgnął, rzucił broń nieużyteczną w tej chwili i, czepiając się krawędzi skały, ze zręcznością wiewiórki wdrapał się na jej wierzchołek.

Wielkie to było szczęście, że się tak zwawo uwiła, gdyby się spóźnił o jedną sekundę, o pół sekundy, już byłoby po nim. Indus nie zdążył jeszcze dostać się na szczyt słupa, gdy słoń pochwyił końcem swej trąby brzeg jego ubrania i byłby go z pewnością ściągnął na dół, gdyby materiał ten był trochę mocniejszy. Ale spódniczka, z której się składał strój na-

rodowy przewodnika, zrobiona była z lekkiej bawełnianej tkaniny, z łatwością więc się rozdarła. Ossaro utracił część ubrania, lecz zachował życie i rad był bardzo, że się tak małym kosztem okupił.

X.

NA WIERZCHOŁKU SŁUPA.

Indus stał na samym szczycie wysokiego słupa, lecz nie czuł się tam zupełnie bezpiecznym, zawzięty nieprzyjaciel wcale na to nie wyglądał, aby się miał wyrzec swej zemsty; przeciwnie, zawód, jakiego doznał, gdy zamiast pochwycenia swej ofiary, oberwał tylko nędzną szmatkę, doprowadził go do większej jeszcze wściekłości. Rzucił więc niepotrzebny ten strzępek o ziemię, wspiał się na tylne nogi, a przedniemi oparł się o słupek kamienny, jakgdyby miał ochotę wdrapać się także na niego. Rzecz była wprawdzie niemożliwa, ale wyciągnięta trąba zwierzęcia dotykała prawie nóg Indusa, który na ten widok zadrzał od stóp do głowy. Stał on, jak posąg na swoim piedestale, nie mógł jednak zachować posagowego spokoju, na twarzy jego malowała się trwoga i gwałtowne wzruszenie. Nieborak widział doskonale, że gdyby słoniowi udało się wyciągnąć trąbę

tylko na parę cali jeszcze, zmiotłby go ze słupa jak muchę i zdeptał w jednej chwili.

W oczekiwaniu tak straszego losu, Indus z gorączkowym niepokojem spoglądał na groźnego napastnika. Słoń w usiłowaniach swych okazywał zadziwiającą wytrwałość i roztropność. Nie mogąc wyciągnąć dostatecznie trąby, opuścił się na cztery nogi, a po chwili próbował znowu stanąć dęba i wspinał się z całych sił w górę. Usiłowania te powtarzał po kilkakroć, zachodząc ze wszystkich stron, jakgdyby miał nadzieję, że natrafi na wywyższenie gruntu i tym sposobem dopnie swego celu.

Na szczęście, nadzieje te się nie sprawdziły, i potwór, pomimo wszelkich wysiłków, za ledwo zdołał dotknąć końcem trąby kamiennej podstawy, na której spoczywały stopy Indusa. Z tej strony zatem nie zagrażało mu niebezpieczeństwo, i Ossaro byłby się uspokoił, gdyby inna myśl nowej w nim nie wzbudziła trwogi. Powierzchnia, która mu za piedestał służyła, wynosiła za ledwie stopę kwadratową, z trudnością mógł się na niej utrzymać w równowadze, tem bardziej, że przestрах wprawiał go w drżenie mimowolne.

A jednak na odwadze mu nie zbywało. Ossaro był z powołania myśliwym i większą część życia spędził wśród niebezpieczeństw, nieraz też śmierci zaglądał oko w oko. Gdyby

był tchórzem, nie wytrzymałby długo w podobnym położeniu, dostałby niezawodnie zawrotu głowy i runął pod stopy rozwścieczonego zwierza.

W tej chwili wprawdzie cała ta odwaga do tego tylko posłużyć mu miała, aby się utrzymał nieruchomo na niewygodnym stanowisku. Wdrapując się na słupek, musiał rzucić broń; gdyby miał włócznię przy sobie, mógłby się przynajmniej oprzeć na niej. Pozostał mu tylko duży nóż myśliwski, wyjął go więc z za pasa, nie dlatego, aby się bronić, ale chciał sobie urządzić jakiśkolwiek punkt oparcia. Byłby z największą ochotą użył tego noża do okaleczenia obrzydłej trąby, której widok drażnił go tak niemiło; czuł jednak, że w położeniu jego najmniejszy ruch mógł go o zgubę przyprawić, bo gdyby tylko na jedno mgnienie oka utracił równowagę, spadłby natychmiast na ziemię. Ossaro był zarówno roztropnym, jak odważnym, nie myślał więc o żadnych gwałtownych środkach obrony, a tylko wszelkich sił dokładał, aby jak najdłużej wytrwać w niewygodnym swem położeniu na cyplu skały.

XI.

ZGUBA NIEUNIKNIONA.

Upłynęło tak kilka minut, Ossaro stał ciągle nieruchomy na wierzchołku słupa, jak posąg spiżowy, słoń nie przestawał krążyć dokoła i wspinać się na tylne nogi, wyciągając trąbę z całej siły. Karol i Gustaw, usadowieni wygodnie na pobliskiem drzewie, nie spuszczaali z oka tego osobliwszego widowiska, Indus wyglądał tak zabawnie na swoim piedestale, że wesoły Gustaw byłby się z niego uśmieł serdecznie, gdyby straszne niebezpieczeństwo, jakie mu zagrażało, nie odjęło było widzom ochoty do śmiechu. Dwaj bracia z trwogą wyglądali zakończenia tej straszliwej sceny. I oni także, tak samo jak Ossaro, musieli broń rzucić, wdrapując się na drzewo, żaden więc nie mógł przyjść w pomoc obłożonemu.

Karol szczególnie gorzko ubolewał nad swoją niemocą i z większym od brata niepokojem spoglądał na nieszczęśliwego Indusa; nie dlatego, aby miał lepsze serce, bo Gustaw pod tym względem nie ustępował mu wcale, lecz Karol był starszy, rozważniejszy i lepiej pojmował niebezpieczeństwo.

Obaj bracia widzieli doskonale, że słoń nie zdoła dosięgnąć szczytu słupa, i starali się uspokoić Indusa, wołając na niego raz po raz,

ażeby tylko trzymał się dobrze i zachował równowagę, a nic mu się złego nie stanie. Ale Karol bacznie okiem spostrzegł coś więcej, czego brat młodszy nie dopatrył. Zauważył on, że ile razy słoń całą siłą o słup się opierał przednimi nogami, zawsze go lekko wstrząsał. Czuł to i Ossaro, gdyż przy tych wstrząśnieniach słupa, trudniej mu było utrzymać się w równowadze.

Gustaw nie zwrócił na to uwagi, a może nie widział w tem niebezpieczeństwa, bo znał zręczność Indusa, pewny był, że i na chwiejącym się słupie nie straci równowagi, ani przytomności umysłu. Karol obawiał się czego innego, niebawem też odezwał się do brata:

— A gdyby ten słup się obalił?

— To niepodobna — odrzekł Gustaw — chwieje się, to prawda, ale nie wyobrażam sobie, aby zwierz najsilniejszy mógł skałę z posad poruszyć. Bądź spokojny, o to niema obawy.

— A mnie się zdaje — mówił Karol — że ty się mylisz i tego właśnie najmocniej się boję. Słonie są nadzwyczaj zmyślne, niech tylko ten potwór spostrzeże, iż skała się chwieje, poszuka on sposobów, aby ją podważyć i kto wie, czy mu się nie uda, a wtenczas biedny Ossaro zginąłby niechybnie.

— O mój Boże! — zawołał Gustaw — czyż

niema na to żadnej rady? Gdybyśmy mieli strzelby nabite, moglibyśmy przynajmniej odwrócić uwagę zwierza od tego biedaka. Jak sądzisz, czy nie moglibyśmy zejść z drzewa i broń pochwycić? Słoń teraz jest czem innem zajęty i nie patrzy na nas.

— Pomysł twój jest wcale niezły, Gustawie.

— A więc nie traćmy czasu. Ja zejść pierwszy, ty spuścisz się tylko do najniższej gałęzi i czekać będziesz na mnie, a ja ci podam obie strzelby. Bądź spokojny, braciszku, sprawię się żwawo i roztropnie. Trzymaj się Ossaro, za chwilę wpakujemy temu łotrowi parę kulek pod skórę, nie zabijemy go zapewne, ale z pewnością odwróci się od ciebie.

Mówiąc to, młodzieniec zaczął się spuszczać szybko z wierzchołka drzewa, starszy brat podążał za nim, już byli obaj na ostatniej gałęzi, i Gustaw miał zeskoczyć na ziemię, gdy nagle ozwał się łoskot okropny i krzyk przeraźliwy przebił powietrze. Karol i Gustaw na jedną chwilę stracili z oczu Indusa, a przez ten czas w położeniu jego zaszła wielka zmiana. Gdy się znowu zwrócili w tę stronę, nie ujrzeli już przed sobą wysokiego kamiennego słupa, skała była obalona, wierzchołek jej uplątany w gałęzie zgruchotanego drzewa, a przy podstawie, wyrwanej z ziemi, leżał olbrzymi słoń, do góry nogami przewrócony, nadaremnie usiłując po-

wstać. Indusa w pierwszej chwili nie dostrzegli nigdzie.

Sprawdziło się to, co przewidywał Karol. Słoń spostrzegł wkrótce, że nic nie dokaże, wspinając się na słup, ale zauważył poruszenia jego, gdy ciężkie swe nogi na nim opierał. Postanowił więc użyć innego sposobu, obrócił się bokiem do skały i uderzył o nią z całym rozpędem, tak, że ją obalił na sąsiednie drzewo, ale i sam runął na ziemię i stracił równowagę. Nastąpiła tedy najzupełniejsza zmiana dekoracji, a wśród zamieszania ogólnego Ossaro zniknął bez śladu. Nie ulegało wątpliwości, że musiał spaść z wierzchołka słupa, ale cóż się z nim stało? Takie pytanie zadawali sobie dwaj bracia, szukając go oczyma.

— Musiał się zabić — rzekł Gustaw ze smutkiem — nieprawdaż, Karolu? — Botanik milczał, a jednak pytanie młodzieńca nie pozostało bez odpowiedzi, zaledwie wymówił te słowa, gdy od strony zgruchotanego drzewa ozwał się głos wesoły:

— Nie, nie, sahibie; ja się nie zabiłem, nie stłukłem się nawet. Byle mię tylko ten straszliwy zwierz nie dosięgnął, nic mi się nie stanie, trzeba tylko wziąć nogi za pas co żywo.

W tej samej chwili Indus wynurzył się z pośród gałęzi i, potwierdzając czynem wy-

mówione słowa, biegł szybko do drzewa, na którym dwaj bracia znaleźli schronienie. Zanim słoń zdołał podnieść się na nogi, już on siedział bezpiecznie obok Karola i Gustawa na wierzchołku ogromnego drzewa.

XII.

BEZSILNA ZŁOŚĆ SŁONIA.

Drzewo, na którym usadowili się trzej nasi myśliwi, miało rozmiary potężne; pomimo niepospolitej swej siły, słoń nie zdołałby go ani przełamać, ani wyrwać z korzeniem, na teraz więc żadne niebezpieczeństwo im nie zagrażało. Z kryjówki swej mogli widzieć doskonale wszystkie poruszenia zwierza, a było to widowisko ciekawe i zajmujące.

Jeden Neron w tej chwili był zagrożony, lecz roztropne psisko trzymało się zdaleka od straszliwej trąby nieprzyjaciela i nie nasuwało mu się na oczy. Słoń, podniósłszy się na nogi, sapał przez czas jakiś i poruszał ogromnemi uszami, zdawał się odurzony tym nieprzyjemnym przypadkiem i sam nie wiedział zapewne, co dalej robić.

Wkrótce jednak się opamiętał, gniew jego wcale nie był ułagodzony, strzała Indusa, tkwiąca ciągle w najczulszem miejscu trąby,

pobudzała go do zemsty. Nagle wywinął ogonkiem, zatrąbił donośnie, rzucił się do złamanego drzewa i zaczął przetrząsać pogruchotane gałęzie; podnosił je uważnie, zaglądał, szukał, a przedmiotem tych poszukiwań był niewątpliwie Ossaro.

Zdziwiony był widocznie, nie znalazłszy nic pod stosem gałęzi, podniósł łeb i oglądał się dokoła z taką miną, jakby chciał spytać, co się stać mogło z tym człowiekiem, że mu się wymknął tak gracko. Nie spostrzegł ucieczki Indusa, bo leżał jeszcze do góry nogami, gdy tamten szczęśliwie się uratował.

A wtem nagle zobaczył Nerona, skulonego pod drzewem, na którym panowie jego znaleźli schronienie i spoglądającego na nich zazdrośnie. Widok ten na nowo rozbudził wściekłość słonia. Pamiętał on dobrze, że pies ten pierwszy wywabił go z lasu i doprowadził do zasadzki, gdzie latały kule i strzały. Znowu więc podniósł ogon i z szaloną gwałtownością uderzył na nienawistnego nieprzyjaciela.

Neron byłby się nie uląkł z pewnością, gdyby miał przed sobą rozjuszonego dzika lub byka, odskoczyłby co najwyżej przed pierwszą napaścią, aby natrzeć z boku lub z tyłu na silniejszego wroga. Ale wobec tak olbrzymiego zwierza i to niezwyklej, potwornej postaci, biedne psisko, które po raz pierwszy w życiu

widziało takie kły straszliwe i taką trąbę, straciło zupełnie odwagę, co mu bynajmniej hańby nie przynosi, i, schowawszy ogon pod siebie, zaczęło zmykać tak szybko, że wkrótce znikło z oczu trzech młodzieńców, a także i z oczu słonia.

Zwierz puścił się za nim, ale zrozumiał po chwili, że wszelka pogoń będzie daremna i powstrzymał się w zapędzie. Nasi myśliwi mieli zrazu nadzieję, że słoń pobiegnie za psem, a oni tymczasem będą mogli poszukać wygodniejszego schronienia, ale się zawiedli. Słoń zawrócił się niezwłocznie i stał ciągle na straży wpobliżu. Podszedł do złamanego drzewa, przetrząsał znowu gałęzie z największą uwagą, a nie znalazłszy, podniósł trąbę i zaczął krążyć niespokojnie naokoło obalonego słupa. Kiedy niekiedy zatrzymywał się i wydawał przeraźliwy swój okrzyk wojenny, potem znów stapał ociężale, powoli, zakreślając krąg regularny, zupełnie jakgdyby sztuki jakieś pokazywał w cyrku.

Czasem jednak przerywał tę dziwną przechadzkę, zbliżał się znowu do złamanego drzewa, podnosił gałęzie i zaglądał wszędzie, jakgdyby ciągle podejrzewał, że nieprzyjaciel musi tam być ukryty. Udało mu się nakoniec wyrwać strzałę z trąby, zdeptać ją nogami, nie oddalił się jednak i zamiarów zemsty nie za-

niechał. Wspominamy tu mimochodem, że Neron nie uciekł daleko, siedział przyczajony na skraju lasu.

Młodzieńcy nasi czuli się wprawdzie bezpiecznie w swoim ukryciu, ale zaczynało im się przykrzyć w tem więzieniu, i wzdychali za odzyskaniem swobody. Gustaw i Ossaro mieli wielką ochotę zeskoczyć z drzewa i pobiec po strzelby, powstrzymywał ich Karol od tego zuchwalstwa. Przestrzeń, oddzielająca ich od obalonego słupa, była bardzo niewielka, słoń przebiegłby ją w jednej chwili, gdyby tylko poważyli się zejść z drzewa i nawinąć mu się na oczy. Pomimo całej swej ociężałości, potworny zwierz poruszał się dość żwawo, a wiadomo, że kroki jego olbrzymie, nawet wtenczas gdy zdaje się stąpać powoli, nie ustępują koniowi w pełnym galopie. Karol zwrócił i na to uwagę towarzyszy, że słoń mógł o nich zapomnieć, a pokazawszy mu się na nowo, pobudziliby go tylko do większej zawziętości. Zresztą jeden jeszcze ważny powód nie pozwalał im występować do walki ze słoniem: niedużo im pozostało amunicji, należało oszczędzać proch i kule, a wszyscy o tem dobrze wiedzieli, że słoń uchodzi czasem zdrowo i cało, unosząc pod skórą ze dwadzieścia kul.

Nie było żartów z takim nieprzyjacielem; wszystkie słyszane opowiadania o słoniach

samotnikach przychodziły im na myśl, utwierdzając ich w przekonaniu, że nie było dla nich bezpieczeństwa, póki zwierz nie zginie; ale niełatwa to sprawa zgładzić ze świata tak potężne zwierzę i porywać się na takie przedsięwzięcie w obecnem ich położeniu, byłoby istnem szaleństwem. Postanowili więc siedzieć spokojnie na drzewie i zdać się na łaskę Opatrzności.

XIII.

OSOBLIWSZE ODKRYCIE.

Czas upływał, a cierpliwość naszych młodzieńców wystawiona była na ciężką próbę. Słoń ani myślał się oddalić, krążył nieustannie naokoło obalonego słupa, jakby chciał wydeptać sobie ścieżkę wygodną. Nie potrzebujemy powtarzać, jak widok ten nużył biednych więźniów, a i Neron z utęsknieniem wyglądał, kiedy to dziwaczne przedstawienie ukończy się wreszcie.

Na szczęście, inne widowisko, niezmiernie ciekawe, taką im rozrywkę sprawiło, że zapomnieli na chwilę o oblężeniu i o wszystkich swoich kłopotach. Tylko wśród puszczy bezludnych, wśród samotności lasów dziewiczych, można napotkać podobne cuda przyrody.

Niedaleko od drzewa, na którym siedzieli

nasi młodzieńcy, stało drugie, prawie tych samych rozmiarów, lecz odmiennego gatunku. Był to wspaniały platan; nawet Gustaw, niezbyt biegły w botanice, poznał go odrazu. Kora gładka, zielonemi i szaremi plamkami oznaczona, gałęzie szeroko rozłożone, kształt liści, wszystko to były cechy niemylne: drzewa podobne u nas w Europie noszą nazwę platanów wschodnich.

Piękne to drzewo, starzejąc się, miewa zwykle w pniu głębokie wyżłobienia i dziuple, a to nietylko w niższej jego części, ale i w górze, a czasem nawet w grubszych konarach. Trzej nasi znajomi widzieli doskonale ze swojej kryjówki cały pień owego sąsiedniego platana, gdyż gałęzie jego nie były zbyt gęsto liśćmi pokryte. Machinalnie też zwracali oczy w tę stronę, ile razy nie patrzyli na słońia.

Gustaw miał wzrok nadzwyczaj bystry, on też pierwszy spostrzegł na pniu drzewa przedmiot osobliwszy i śledził go z największą uwagą. Było to coś, jakby róg kozła, lub kieł młodego słońia, albo zakrzywiony róg nosorożca, wychodzący wprost z pnia, wyżej nieco od pierwszych gałęzi. Widać było odrazu, że to nie gałąź, ani żadna narośl drzewna. Młodzieńcowi wydało się nawet parę razy, że dziwny ten przedmiot się porusza, ale nie był tego pewny, nie wspomniał też o swoim spo-

strzeżeniu towarzyszom, ażeby się z niego nie śmiali.

Wpatrując się coraz uważniej w ów róg, sterczący z drzewa, Gustaw obaczył przy nasadzie jego coś nakształt płaskiego krążka, który bardzo wyraźnie odcinał się od kory drzewnej barwą znacznie ciemniejszą; krążek ten mógł mieć około ośmiu do dziesięciu cali średnicy. Gdyby kto zapytał Gustawa, do czego to było podobne, byłby zapewne odpowiedział, że szczególna ta masa ciemna przypomina materiał, z którego jaskółki lepia swoje gniazdka. W rzeczy samej nie mógłby znaleźć trafniejszego porównania.

Młodzieniec wpatrywał się długo, i w krążek, i w róg sterczący, wkońcu przyszedł do przekonania, że róg należał do istoty żyjącej, i wówczas dopiero zwrócił uwagę towarzyszy na swoje odkrycie. Róg niewątpliwie obdarzony był ruchem, bo znikł nagle z przed oczu Gustawa, ukrył się w głębi pnia, zostawiając po sobie otwór próżny na samym środku krążka. Po chwili ukazał się znowu i sterczał nazewnątrz, tak samo, jak wprzód.

Gustaw, zaciekawiony do najwyższego stopnia, wskazał ten szczególniejszy przedmiot bratu, lecz ten, pomimo całej swej przyrodniczej wiedzy, nie umiał mu objaśnić znaczenia niezwykłego zjawiska. Ale Ossaro, rzuciwszy

tylko okiem na ten róg żółtawy i ciemny krążek na pniu drzewnym, uśmiechnął się i szepnął najobojętniej:

— To gniazdo ptaka dzióboroźca.

XIV.

NIEZWYKŁE GNIAZDO.

Gdy Indus wymawiał te słowa, róg ukrył się znowu w głębi pnia, pozostawiając ciemny otworek na swoim miejscu. Karol zadziwił się niezmiernie, Gustaw nie pierwszy raz to widział, uśmiechnął się więc tylko, a zwracając się do Indusa, zapytał:

— Więc ty powiadasz, że to jest gniazdo?

— Tak Sahibie — odrzekł Ossaro.

— Dziwna rzecz — mówił Gustaw, którego to wyjaśnienie nie zaspokoilo wcale — widzę coś podobnego do rogu, może to być dziób, ale nie widzę ptaka, ani gniazda.

— Gniazdo znajduje się w wydrążeniu drzewa — odrzekł Indus — ptak siedzi w niem, jak zwykle, a to, co z tej dziurki wygląda, jest w rzeczy samej jego dziobem.

— To niepodobna — wykrzyknął Gustaw — jakimże sposobem ptak mógł się dostać do dziupli drzewa przez ten malutki otworek? Chybaby ten ptak nie był większy od swego

dzioba, a to przecież niemożliwe. Chociaż... przypominam sobie, że czytałem kiedyś różne ciekawe szczegóły o tukanach. Ptaki te mają dzioby olbrzymie i wchodzą z łatwością wszędzie, gdzie tylko dziób ich precyzyjnie się może. Czyżby to był tukan?

Indus nie mógł na to odpowiedzieć, nie słyszał nigdy nazwy tukanów, on znał jedynie ptaki indyjskie, tukany zaś przebywają wyłącznie w Ameryce. Gustaw dowiedział się tylko od niego, że ptak, siedzący w osobliwszym tem gnieździe, zwany przez Europejczyków dzióborożcem, albo *kalao*, dochodzi rozmiarów gęsi, i daleko jest większy od swego dzioba.

— Jakże on może się gnieździć w tej dziupli? ja nie widzę w pniu żadnego innego otworu, oprócz małej dziureczki, mającej około ośmiu centymetrów szerokości; duży ptak nie precyzyjnieby się przez nią żadnym sposobem.

— A jednak pewny jestem, że samica dzióborożca tam siedzi — mówił Indus.

— Ja sam wiem, że tam musi siedzieć jakaś żyjąca istota — odparł Gustaw — ale jeżeli to twój dzióborożec, wytłumacz mi, jakim on sposobem precyzyjnie się przez taki wąski otworek? Chyba ma drugie wejście obszerniejsze po drugiej stronie pnia?

— Wcale nie, sahibie; gniazdo ma tylko ten jeden otwór, który stąd widzimy.

— Co za niedorzeczność! — zawołał Gustaw — mówisz, że ten ptak jest tak duży, jak gęś, jakże więc może wchodzić do gniazda przez dziurkę, którąby wróbel zaledwie mógł się przecisnąć?

— Dzióborożec nie potrzebuje wchodzić do gniazda—mówił spokojnie Indus—bo on z niego nie wychodzi wcale i siedzieć tak będzie, aż póki pisklęta nie wyjdą na świat Boży.

— Wyborny jesteś — rzekł Gustaw, wzruszając ramionami — czy sądzisz, że ja się dam złapać na takie bajki? Jeżeli dzióborożec siedzi w dziupli, musiał tam przecie wejść kiedyś, a sam powiadasz, że i wyjdzie także razem z pisklętami. Ciekawym, jak sobie wówczas poradzi cała ta zajmująca rodzina, bo i drobiazg zapewne dopiero gdy podrośnie wyleci na dobre z gniazda. Mój drogi Ossaro, nie żartuj sobie ze mnie i powiedz lepiej całą prawdę, bez żadnych dodatków niepotrzebnych.

Indus uśmiechnął się na te słowa i tak mówił:

— Gdy dzióborożec ma urządzić gniazdo, wybiera stosowną dziuplę w drzewie, wyściela ją miękko, samica znosi jaja, potem sadowi się na nich i odtąd już nie wychodzi z gniazda. Poczciwa mateczka siedzi spokojnie, póki nie wyhoduje potomstwa. Dopiero gdy pisklęta podrosną, dostaną skrzydeł i mogą sobie już

same dać radę na świecie, wylatuje razem z niemi.

Przez ten czas mnóstwo nieprzyjaciół im zagraża, najrozmaitsze zwierzęta drapieżne, jak kuny, łasice, ostrzą zęby na biedne ptaki i ich jaja, koniecznie więc zabezpieczyć się muszą przeciw tym rabusiom. Samiec używa w tym celu podstępu, który świadczy o niepospolitej jego roztropności.

Jak tylko samica zasiądzie na jajach, towarzyszy jej staje się mularzem. Ogromny dziób służy mu za kielnię, urządza wyborną ściankę, pozostawiając w niej tylko mały otworek, dostateczny do pomieszczenia dzioba uwięzionej samicy. Ściankę tę wylepia ptak z ziemi, a raczej z błota, które znajduje w moczarach lub na wybrzeżach strumieni. Jest to taki sam materiał, jakiego używają jaskółki do budowania swoich gniazd.

Mularska ta robota po wyschnięciu twardnieje tak doskonale, że żaden ze zwykłych nieprzyjaciół dzióbboroźca, czy to ptak drapieżny, czy czworonożne mniejsze zwierzątko, przebić ścianki nie może. Nawet i wąż nie wśliźnie się przez otwór, szczelnie zawsze zatkany dziobem samicy, a ta, czując się zupełnie bezpieczną, spełnia spokojnie i przykładowie macierzyńskie swoje obowiązki.

— Jaktó — zawołał Gustaw — biedna pta-

szyna nie rusza się z miejsca przez kilka tygodni? Ależ jeść przecież musi, skądże bierze pokarm?

Indjanin nie miał czasu odpowiedzieć na to pytanie, gdyż łoskot szczególnego rodzaju dał się słyszeć w powietrzu, ponad głowami naszych młodzieńców. Było to coś tak niezwykłego, że niejeden mógłby się nawet przestraszyć; coś nakszałt silnego klaskania, szybko następującego po sobie, hałas ten przypominał turkot wozu lub odgłos oddalonego gromu. Jeden Ossara wiedział, co to znaczy i rzekł obojętnie:

— Młody sahib sam obaczy teraz, jakim sposobem samica dzióborożca się żywi.

W tej samej chwili Gustaw ujrzał sprawcę łoskotu. Był to ptak dość duży, który przeleciał, trzepocząc skrzydłami, i usiadł na gałęzi, tuż obok osobliwego gniazda. Indus nie potrzebował wyjaśniać towarzyszom, że to był samiec dzióborożec. Ptak miał na ogromnym swym dziobie taką samą narośl sterczącą, jak ta, która wyglądała z otworu pnia drzewnego; ta szczególna narośl, mająca kształt hełmu, nadała ptakom charakterystyczną ich nazwę.

XV.

DZIÓBOROŻCE.

Karol nie widział wprawdzie przedtem ptaków podobnych żyjących, ale je oglądał nieraz wypchane w gabinetach zoologicznych i przypomniał sobie naukową ich nazwę, *Buceros*. Ptak ten bywa także nazywany krukiem indyjskim, gdyż podobny jest nieco do pospolitego kruka z postaci i obyczajów.

Ossaro nie przesadził wcale w opowiadaniu swoim; dzióborożec, którego młodzieńcy widzieli przed sobą, większy był nawet nieco od najpotężniejszego gęsiora, mógł mieć co najmniej trzy stopy długości, począwszy od ogona, aż do końca dzioba; prawda, że ten dziób sam zajmował prawie trzecią część całej długości.

Ptak miał grzbiet czarny, brzuch żółtawy, ogon biały, z szeroką pręgą pośrodku. Dziób jego był także biały, żółtawy, jak kość słoniowa, z czerwonym paskiem przy nasadzie u góry, a narośl, stercząca na nim, była biała i czarno pręgowana. Indje są właściwą ojczyzną dzióborożców, ptaki te jednak i tam niezbyt licznie się pojawiają i należą do osobliwości.

Młody przyrodnik Karol mógłby był jeszcze dużo szczegółów ciekawych udzielić bratu o róż-

nych dzióborożcach, bo w Indjach przebywa kilka gatunków tych dziwnych ptaków, ale w położeniu obecnem, mając straszego słonia samotnika na karku, nie czuł on żadnej ochoty do wykładów naukowych.

W swobodniejszej chwili byłby zapewne powiedział Gustawowi, że ornitologowie, to jest przyrodnicy, zajmujący się ptakami, nie są z sobą w zgodzie co do klasyfikacji dzióborożców. Jedni zaliczają je do rzędu tukanów, inni zestawiają z krukami. Do pierwszych zbliża je dziób ogromny, stosunkowo do rozmiarów ciała, a także i obyczaje. Dzióborożec tak samo jak tukan, podrzuca zdobycz w górę i chwyta ją w powietrzu, ale nie umie drapać się po drzewach i dlatego nie może być zaliczony do ptaków łażących, do których tukany należą.

Ptaki te żywią się najrozmaitszemi pokarmami, czem znów zbliżają się do rodziny kruków. Ale jak wspomnieliśmy, są liczne gatunki dzióborożców, różniące się znacznie sposobem życia. Zamieszkują Afrykę, Indje i wyspy około liczne, a parę gatunków odrębnych przebywa w Nowej Gwinei. Pokarm ich jest bardzo rozmaity, stosownie do miejsca zamieszkania. I tak w Indjach, gdzie roślinność jest bardzo bogata dzióborożce wyłącznie prawie owocami się karmią, a w jałowych pustyniach afrykańskich

mają obyczaje ptaków drapieżnych, czasem nawet pożerają padlinę, jak sępy, a mięso ich staje się cuchnące i wstrętne.

Na wyspach Moluckich są znów dzióbborożce odrębnego gatunku, które jedzą przeważnie gałki muszkatołowe, co nadaje mięsu ptaka tak wyszukany aromat, że smakosze na Wschodzie przepadają za tą zwierzyną. Osadnicy holenderscy na wyspach Moluckich zauważyli, że ptaki te często miewają na dziobie wydatne karby, tem liczniejsze, im ptak jest starszy. Wyobrazili więc sobie, że mu co rok jedna taka pręga przybywa i nadali dzióbborożcom Moluckim nazwę *yervogel*, co znaczy ptak roczny. Powstawanie tych karbów wyjaśnione jest przez przyrodników w sposób następujący: ogromny dziób ptaka dzióbborożca nie jest twarady, ale złożony z lekkiej i dziurkowatej substancji, inaczej bowiem ptak nie zdołałby go udźwignąć. Dziób ten przy przegryzaniu twardej łupin muszkatołowej gałki często się łamie, a końce odrastają na nowo. Karby oznaczają miejsca złamania, rzecz prosta, że u starszych ptaków bywa ich więcej, mylnie jest jednak mniemanie, aby co rok jedna pręga przybywać miała.

Karol znał dokładnie wszystkie te szczegóły z życia i obyczajów dzióbborożców, ale później dopiero opowiadał o nich bratu, w tej

chwili zanadto był zajęty widokiem osobliwego ptaka, aby myśleć o rozmowie. Zapomniał on nawet, równie jak Gustaw, o strasznym samotniku i nie spuszczał z oczu gniazda. Dzioborożec, który przyleciał odwiedzić swoją samicę, oczywiście nie był wyłącznie roślinożernym, trzymał bowiem w dziobie przedmiot, do grubego sznura podobny; trzech myśliwi poznali szczątki węża.

Zdobycz ta widocznie przeznaczona była dla uwięzionej samicy, która chciwie wystawiła dziób przez otwór. Samiec, usadowiony wygodnie tuż przy gnieździe, podrzucił węża w górę, nie poto jednak, aby go przełknąć, lecz zgrabniej go tylko ujął końcem dzioba i podał samicy, a ta natychmiast wciągnęła ten przysmak do głębi dziupli.

Małżonek, zrobiwszy swoje, odleciał niezwłocznie, może miał jeszcze drugą potrawę dostarczyć na obiad troskliwej mateczce. Zatrzepotał skrzydłami i znowu zaczął hałaśliwie dziobem klekotać.

XVI.

RABUŚ CZWORONOŻNY.

Gdy odleciał ptak, który im wyprawił tak ciekawe i pouczające widowisko, trzech nasi znajomi zwrócili znów uwagę na swojego prze-

śladowcę, słońia samotnika. W zachowaniu się jego nie zaszła żadna zmiana, krążył ciągle ociężale po wydeptanej ścieżce. Dopókiż to miało trwać? Młodzieńcy z niepokojem zadawali sobie to pytanie. Trudno było odgadnąć zamiary słońia, ale widocznie ani myślał się oddalić, a póki ten groźny nieprzyjaciel trzymał ich w oblężeniu, nie mogli schronienia swego opuścić.

Śledząc poruszenia słońia, myśliwi odwrócili się od platanu, na którym znajdowało się osobliwe gniazdo, i byliby o niem zapomnieli, gdy wtem odgłos dziwny, z tej strony właśnie wychodzący, dał się słyszeć. Były to dźwięki przygłuszone, żalosalne, wcale niepodobne do tych, jakie zwiastowały przybycie dzióbboroźca. Możliwy to było wziąć nawet za głos istoty ludzkiej, wołający raz po raz: *uah! uah!*

Ale Indus pokręcił głową przecząco, gdy Gustaw odezwał się z tem przypuszczeniem, a gdy młodzieńcy zwrócili znów oczy na platan, ujrzeli na własne oczy stworzenie, wydające tę skargę; siedziało skulone na tej samej gałęzi, na której przed chwilą zasiadł był samiec dzióbborożec, gdy przyniósł obiad swej małżonce.

Było to zwierzę czworonożne nieduże; gdyby młodzieńcy nasi znajdowali się w Ameryce, wzięliby je może zrazu za rosomaka amerykańskiego, lecz spostrzegliby prędko swoją pomył-

kę. Zwierzę to stąpa całą stopą, tak samo, jak rosomaki i niedźwiedzie, tułów ma krępy, krótki, pokryty gęstą sierścią i zakończony dużym, puszystym ogonem, dziwacznie zabarwionym w pręgi jaśniejsze na tle ciemnem.

Ale zamiast wydłużonego pyska rosomaka, nieznany zwierz miał łeb okrągły kota, a i futerko jego jaskrawe, w jasno kasztanowate centki na tle ciemniejszym, wyróżniało je znacznie od wszelkich stworzeń czworonożnych, które młodzieńcy nasi napotykali dotąd. Gustaw zawyrokował, że nigdy jeszcze w życiu tak ładnego zwierzątka nie widział, a Karol zgadzał się z nim w zdaniu. Dawniej powiedział toż samo o tem osobliwem stworzeniu przyrodnik Cuvier.

Dla jednego tylko Indusa nie była to nowa znajomość; nieraz on w myśliwskich swoich wycieczkach spotykał zwierzęta podobne i odrazu nadał mu nazwę właściwą: panda. Krajowcy indyjscy nazywają je także czasem *uah*, od krzyku, który wydaje.

Karol poznał je właśnie po tym krzyku i wymienił nazwę naukową, *ailurus fulgens*; pierwszy wyraz oznacza rodzaj, a trzeba wiedzieć, że zwierzę himalajskie jest jedynym znanym gatunkiem z tego rodzaju, przymiotnik *fulgens*, czyli ognisty, otrzymało z powodu jaskrawej swej barwy.

Chociaż przyrodnicy ze zwykłą swoją przesadą utworzyli w klasyfikacji osobny rodzaj dla tego stworzenia, nie można powiedzieć, aby panda wyróżniała się zbyt znacznie od rosomaków, tchórzów i innych podobnych drapieżnych czworonogów. Żywi się ptaszkami, pożera chciwie jaja, chwyta także mniejsze zwierzątka i łązi doskonale po drzewach.

Stanowisko, na którym ją młodzi myśliwi spostrzegli, świadczyło najlepiej o upodobaniach pandy; nie ulegało żadnej wątpliwości, że ostrzyła zęby na jaja dzióboroźca, a może i na samą samicę. Zwierzątko wspięło się na tylne nogi, jak niedźwiadek, a silnymi pazurami nóg przednich zaczęło drapać ściankę, osłaniającą gniazdo.

Możeby mu z czasem udało się ją przebić; nie brałoby się pewnie do tego, gdyby przedsięwzięcie było niemożliwe, ale musiało liczyć na to, że mu nic nie przeszkodzi.

Inaczej się jednak stało. Uwięziona samica nie mogła się wprawdzie obronić, chociaż oczywiście pojmowała niebezpieczeństwo, bo zaczęła rozpaczliwie wywijać dziobem i gwizdać głośno. Panda nie zważała na to wcale i drapała ciągle w najlepsze, a ścianka już rozkruszać się zaczynała, gdy nagle dało się słyszeć hałaśliwe klekotanie w górze ponad drzewami. Po chwili samiec spadł na grzbiet na-

pastnika i ostry swój dziób zapuszczał w jego skórę.

Panda, zaskoczona znienacka, ugięła się i skurczyła, ale wnet się opamiętała i wstrząsnęła grzbietem tak silnie, że się uwolniła od ptaka; nie uciekła jednak i nie dała za wygraną, ale stanęła na tylnych nogach i śmiało wystąpiła do walki. Ptak rzucał się zajadle, uderzając na przeciwnika dziobem i skrzydłami, a ten trzymał się ostro, oddawał razy pazurami i zębami, i z obu stron latały, i kosmyki włosów i pęczki piór.

XVII.

NERON MIESZA SIĘ DO WALKI.

Niewiadomo, na czemby się sprawa skończyła, gdyby walczący pozostawieni byli własnym siłom; prawdopodobnie czworonożny zwierz pokonałby wkońcu ptaka, zdobył twierdzą, spędził samicę z gniazda, możeby ją i udusił, a wkońcu uraczyłby się należycie jajami. Lecz w księgach przeznaczenia zapisane było inne zakończenie. Obie strony walczyły z jednokową zawziętością, i przez czas jakiś ważyły się losy bitwy, gdy nagle nowe wypadki przyspieszyły jej rozstrzygnięcie w sposób niespo-



Emm. Savard

Panda, zaskoczona znienacka, ugięła się... (str. 70).

dziewany i wpłynęły stanowczo na zwycięstwo niewinności.

Pierwszy epizod, który dalszy bieg rzeczy wywołał, był tak zabawny, że do szczerego śmiechu pobudzał widzów. Panda, odpierając razy przeciwnika, poruszała się żywo i zdarzyło się, iż wśród tych gwałtownych ruchów głowa jej znalazła się przy otworze gniazda. Nie spodziewała się żadnego niebezpieczeństwa z tej strony, ale samica śledziła z uwagą przebieg walki i, ujrawszy błyszczące oko nieprzyjaciela tuż przy swoim okienku, ugodziła w nie natychmiast ostrym swoim dziobem i wyklęła je za jednym zamachem.

Zwierz, przerażony i pokonany gwałtownym bólem, krzyknął przeraźliwie, zeskoczył z drzewa i chciał sromotnie uciekać z placu boju, gdy nowy napastnik spadł nań niespodzianie. Napastnikiem tym był Neron, który przybiegł cichaczem, zwabiony krzykiem ptaka i przypatrywał się ciekawie tym krwawym zapasom. Bardzo być może, iż poczucie sprawiedliwości skłoniło poczciwego psa do przymierza z pokrzywdzonymi ptakami, bo jak tylko panda zeskoczyła na ziemię, rzucił się na nią tak zjadle, jakgdyby miał do niej osobistą urazę.

Panda rozwścieczona zaczęła się bronić, chciała zapewne dla honoru podrapać przynajmniej tego nowego wroga, ażeby

ją popamiętał. Ale biednemu psu większe daleko w tej chwili groziło niebezpieczeństwo, i gdyby się był przypadkiem nie odwrócił, straszliwy nieprzyjaciel zgniółby go był w mgnieniu oka bez miłosierdzia.

Na szczęście odwrócił się i ujrzał rozjuszonego słonia, który pędził prosto na niego z trąbą podniesioną i rozognionym wzrokiem. Neron nie namyślał się długo, zostawił pandę jej losowi, zaczął zmykać jak szalony i znikł wkrótce w gąszczach leśnych.

Najgorzej na tem wyszła panda, bo też, co prawda, nie zasługiwała wcale na litość. Tym razem napotkała tak potężnego wroga, że zguba jej stała się nieuniknioną.

Słoń, spostrzegłszy nagle Nerona, wpadł w gniew okropny i postanowił się zemścić. Ale pies znikł mu z oczu, a natomiast ujrzał przed sobą pandę. Nieszczęśliwe zwierzątko, nawpół ośleple, ogłuszone niespodzianą napaścią psa, nie dostrzegło zbliżenia olbrzyma i za późno ratowało się ucieczką. Słoń bez trudności dosięgnął pandy, pochwycił ją trąbą i potrząsał nią, jak piórkiem, w powietrzu. Potem rzucił o ziemię i zdeptał nogami tak, że z biednego zwierzęcia pozostała tylko jakaś bezkształtna, rozmiądzona masa.

Znajomi nasi z przykrością na to patrzyli, ale rozweselili się po chwili, bo słoń, spędziw-

szy złość na zwierzątku, które mu żadnej krzywdy nie wyrządziło, a może chcąc odszukać psa i podobny los mu zgotować, odszedł wolnym krokiem do lasu. Tak zakończyło się oblężenie, nużące bardzo dla naszych młodzieńców.

XVIII.

WYPRAWA NA SŁONIA SAMOTNIKA.

Jak tylko słoń znikł pomiędzy drzewami, oblężeni zaczęli się naradzać nad tem, co dalej czynić wypadało. Nie byli pewni, czy można było bezpiecznie zejść z drzewa, a strasznie już byli znużeni swem niewygodnem położeniem. Nie jest to wcale rzecz nieprzyjemna siedzieć na gałęzi, byle to nie trwało zanadto długo, bo wkońcu uprzykrzyć się musi.

Gustaw, który nie mógł znosić życia bezczynnego, zniecierpliwiał się strasznie i przeklinał nieznośnego słonia, który go skazał na taką mękę. Po kilka razy zrywał się i chciał biec po strzelbę, ale go Karol powstrzymywał. I on sam jednak radby był się wyzwolić jak najprędzej, ale roztropniejszy od młodszego brata, nawet gdy ujrzał, że słoń się oddalił, namyślał się jeszcze i przedstawiał towarzyszom swoje

obawy. Zwierz mógł udać tylko, że zaniechał zemsty i czatować na nich w pobliżu. Słonie samotniki są nadzwyczaj przebiegłe i zawzięte, nieraz używają podstępów najrozmaitszych, aby na swoim postawić.

Podczas gdy dwaj bracia się naradzali, Ossaro, niewiele myśląc, spuścił się z drzewa na ziemię, i oświadczył, że pójdzie obaczyć, czy słoń na dobre odszedł, czy stanął na czatach na skraju lasu. Indus przyrzekł być ostrożnym, a umiał on pęłzać, jak wąż, pomiędzy drzewami, więc nie było obawy, aby się dał podejść słoniowi, zawsze, ujrawszy go zdaleka, potrafiłby umknąć wporę i wdrapać się znowu na drzewo.

Zeskoczywszy na ziemię, Ossaro pobiegł szybko w stronę, gdzie podążył samotnik. Karol i Gustaw czekali powrotu jego przez kilka minut, wreszcie znecierpliwieni zeszli także z drzewa. Pierwszą ich czynnością było odszukać strzelby, stanęli potem pod drzewem, aby w razie niebezpieczeństwa z łatwością znowu schronić się na nie mogli, i czekali na Indusa.

Upłynęło jednak dość czasu, zanim się ukazał. Cisza głęboka panowała dokoła, kiedy niekiedy przerywana klekotaniem dzióbkożerca, który krążył w pobliżu gniazda, nie rozumując zapewne, jaki traf szczęśliwy uwolnił go

tak nagle od nieprzyjaciela. Ale ptaki przestały już zajmować młodzieńców, którzy niecierpliwie wyglądali powrotu towarzysza.

Doczekali go się nareszcie. Ossaro wyszedł z gąszczów i szybko się do nich zbliżał, z wielką też radością obaczyli przy nim Nerona, płasającego wesoło. Pies siedział przy czajony na skraju lasu i, spostrzegłszy Indusa, zaraz do niego przybiegł. Obaj bracia zdaleka wołać zaczęli:

— Cóż tam słyhać, Ossaro, czy widziałeś tego starego łotra?

— Młody sahib doskonale go nazwał, a to łotr jest naprawdę wierutny — odrzekł Indus, a twarz jego wyrażała taki przestach, że młodzieńcy odrazu przeculi coś niedobrego.

— Cóż się stało? mów prędzej, czyś go widział?

— A widziałem. Czy też młody sahib odgadnie, gdzie on poszedł?

— Jakże my to odgadnąć możemy — rzekł Gustaw.

— Poszedł prosto do naszej chatki — tu Ossaro głos zniżył i szeptał z tajemniczą miną — ten zwierz zanadto jest mądry na zwyczajnego słonia, coś mi się zdaje, że to szatan przybrał taką postać, aby nam się dać we znaki. Bo niechże mi kto powie, poco on poszedł do naszej chatki?

— Ja także tego nie pojmuję — mówił Gustaw — ale z pewnością nie w dobrych zamiarach. Może spodziewał się nas tam zastać. Już widzę, że nie będziemy mieli spokoju, póki ten nieznośny słoń nie zginie. Musimy go koniecznie zgładzić z tego świata, bo inaczej krucha będzie z nami.

— Sahibie — rzekł Indus, pokręcając głową — my tego nie dokażemy, ten słoń nie zginie z ręki człowieka.

— Pleciesz niedorzeczności — odparł młodzieniec, wruszając ramionami — żebym tylko mógł trafić go w czułe miejsce, obaczyłbyś, jakiegoby wyrócił koziołka. Chciałbym jednak załatwić się z nim jak najprędzej, bo może nam jeszcze dobrze dokuczyć, takie to lichy zawzięte. Pamięta on dobrze, że pies wybiegł z chatki tej nocy, gdy go po raz pierwszy rozdrażnił swoim szczekaniem, i pewnie psa tam szuka. Nie obawiaj się, Neronie, ty masz zwinne nogi i zawsze potrafisz umknąć, panowie twoi w gorszem są daleko położeniu.

Botanik przez ten czas nie nie mówił, zagrożony był w myślach, teraz dopiero zapytał:

— Czy jesteś pewny, Ossaro, że słoń poszedł do naszej chatki?

Indus nie mógł wprawdzie za to zaręczyć, bo nie miał odwagi iść za słońcem, dostrzegł go tylko zdaleka, więc wdrapał się na wyso-

kie drzewo i stamtąd widział, jak zwierz przeszedł lasek i podążył w stronę, gdzie była chatka, przytykająca do skały. Widok ten rozbudził zabobonną jego trwogę, znowu zaczął sobie wyobrażać, że tak zmyślny zwierz musi być chyba istotą nadprzyrodzoną.

— Kłopot to jest prawdziwy — mówił Karol — musimy odłożyć wszystkie nasze przedsięwzięcia, póki się nie pozbedziemy tego słonia. Masz zupełną słuszność, Gustawie, nie będziemy mieli spokoju, póki ten zawzięty zwierz nie zginie. Nie dokuczał nam, póki nie wiedział o naszej obecności, ale teraz, gdyśmy go rozdrażnili naszymi kulami i strzałą, nie zapomni już o nas i będzie nas prześladował nieustannie. A więc niema co, trzeba się z nim załatwić; im prędzej tem lepiej.

— Wiwat — wykrzyknął Gustaw — idźmyż śmiało na wroga i bez pardonu!

XIX.

ZNISZCZENIE.

Trzej myśliwi niezwłocznie udali się zpowrotem do swojej siedziby. Po drodze napotykali wszędzie ślady słonia, bardzo łatwe do rozpoznania. Zwierz, stąpając ociężale, pozozo-

stawiał na piasku i miejscach wilgotnych ogromne zagłębienia, a nawet i wśród gąszczów, gdzie ślady nikły na ziemi, przysypanej zwiędłymi liśćmi, przejście jego znać było po obfitości pogruchotanych gałęzi.

Ossaro nieraz już tropił dzikie słonie po lasach i siłowniach bengalskich, znał doskonale obyczaje tych zwierząt. Powiedział też zaraz, że słoń nic nie jadł po drodze, bo nigdzie nie widać było śladu jego zębów, ale śpiesznie podążał dalej, jakby go coś pędziło. Indus upewniał nawet, iż zwierz ze złości łamał gałęzie po drodze, bo i to poznać można po sposobie, w jaki je rozpraszał po drodze.

Ossaro nie potrzebował zalecać towarzyszom ostrożności i roztropności; wiedzieli oni dobrze, jak niebezpiecznym jest każdy słoń dziki, raniony i rozdrażniony, a cóż dopiero słoń samotnik. Zresztą widzieli niedawno próbkę wściekłości groźnego nieprzyjaciela.

Postępowali też z największą przezornością, oglądając się bacznie na wszystkie strony i nasłuchując, stąpali na palcach i rozmawiali półgłosem. Nie powracali teraz tą samą drogą, którą wyszli byli z rana. Mając na celu obejście skał, zamykających dolinę, okrążali je wówczas dokoła, teraz skierowali się drogą najkrótszą i najprostszą.

Im więcej zbliżali się do chatki swojej, tem

wyraźniej przekonywali się, że nieprzyjaciel ich tam wyprzedził; wszędzie pełno było jego śladów. Ponieważ w tym zakątku, gdzie chatka stała, brakło dużych drzew w pobliżu, więc niebezpieczeństwo wzrastało, bo w razie napaści zwierza, nie mieliby się gdzie schronić przed nim. Musieli więc podwoić ostrożność. Wysokie sitowia osłaniały chatkę przed ich oczyma, zdaleka dojrzeć jej nie mogli, dopiero po przebyciu tych gąszczów mieli ją zobaczyć.

I tu napotykali ślady przejścia zwierza, łodygi trzciny były połamane i zdeptane olbrzymiemi jego stopami, nie wątpili już wcale, że podążył rzeczywiście do ich siedziby. Słoń widocznie wyobrażał sobie, że ich tam zastanie, inaczej niepodobna było tego wytłumaczyć. Dowodziło to w rzeczy samej niezwyklej zmyślności, i jakkolwiek młodzieńcy nasi nie podzielali niedorzecznych zabobonów Indusa, niemniej jednak zaczynało to ich wprawiać w zdumienie i trwogę. To, co ujrzeli, wyszedłszy z gąszczów, nie mogło ich uspokoić.

Chatka, którą teraz mieli nakoniec obaczyć, bo byli o dwieście kroków od miejsca, gdzie stała, ta chatka już nie istniała wcale, ujrzeli tylko smutne jej szczątki. Grube pale, podtrzymujące całą budowę, kamienie, gałęzie, ubożuchne gospodarstwo, wszystko to leżało na kupie, zgruchotane, zniszczone, poszarpane.

Młodzieńcy stanęli i z boleścią spoglądali na ten smutny widok. Ossaro znowu w tej chwili był święcie przekonany, że potężny Brahma gniew swój na nich wywierał, a niewiele do tego brakło, aby Karol i Gustaw uwierzyli także w jakieś czary. Nie było tu jednak czarów żadnych, znali dobrze sprawcę zniszczenia, widzieli próbkę jego wściekłości niedawno. Nigdy nie przypuszczali wszakże, aby niegodziwe zwierzę taką szatańską posiadało przebiegłość. Z przerażeniem zastanawiali się nad tem, co się dalej stać mogło, bo to był przecież dopiero początek wojny.

Tymczasem słonia nigdzie nie było widać; dokonawszy swej zemsty, odszedł gdzieś, a może stał na czatach w pobliżu. Nie potrzebujemy upewniać, że trzej myśliwcy postępowali z największą ostrożnością i bacznie się na wszystkie strony oglądali. Przez czas jakiś ukrywali się w zaroślach, obawiając się pokazać na odsłoniętym miejscu, ale gdy nie ujrzeli nic podejrzanego, wysunęli się nareszcie, chcąc obejrzeć zbliska szkody, wyrządzone przez zawziętego słonia.

Zniszczenie było straszliwe; już powiedzieliśmy, że z chatki pozostał tylko stos szczątków pogruchotanych; młodzieńcy widzieli to zdaleka, ale nowe zmartwienie ich czekało za zbliżeniem do tych rumowisk. Obaczyli bo-



Zniszczenie było straszliwe... (str. 80).

wiem, że zapasy prochu, których strzegli jak największego skarbu, stracone były dla nich; zwierz rozbił dużą tykwę, w której ten proch był złożony, i rozsypał go niemiłosiernie. Mięso suszone było także zdeptane i zmiążdżone, nietyle ich to jednakże zabolalo, co strata prochu, która była niepowetowana.

XX.

OBLEŻENIE POWTÓRNE.

Strapieni tem smutnem odkryciem, młodzieńcy zapomnieli na chwilę o niebezpieczeństwie, i nie było końca skargom i żalom; wkrótce jednak zaczęli pytać jeden drugiego, co się stać mogło ze sprawcą tej klęski? Dar-mo go szukali oczyma na wszystkie strony, słoń samotnik się nie pokazywał.

Ślady, które tu po sobie zostawił, były świeże, zdeptane trawy nie obeschły jeszcze z wilgoci, które zwierz z nich wycisnął swojemi stopami, musiał więc odejść niedawno. Ale gdzież się mógł podziać? nigdzie w pobliżu nie widać było ani drzew, ani krzaków tak wysokich i gęstych, aby zwierz podobnych rozmiarów mógł się w nich ukryć.

Tak przynajmniej sądzili Karol i Gustaw; Ossaro odmiennego był zdania, utrzymywał, że

słoń wciska się czasem w sitowia i umie się w nich schować doskonale. Indus widział to nieraz na własne oczy, polując na słońce. Zwierz nie potrzebuje się kłaść lub przysiąść w takiej gęstwinie, tylko staje nieruchomo, łeb spuszcza, a szare jego cielsko zdaleka staje się zupełnie niewidzialne pośród sitowia. Ossa-ro był przekonany, że słoń samotnik siedział teraz najspokojniej w zaroślach nad jeziorem, nie dając znaku życia. Dwaj bracia nie chcieli w to wierzyć, lecz na nieszczęście okazało się wkrótce, że Indus się nie mylił.

Wszyscy trzej mieli oczy wlepione w sitowia, nasłuchując pilnie, czy nie ozwie się jakiś szelest podejrzany, i spostrzegli wreszcie lekkie poruszenie wierzchołków najwyższych trzciny. W tej samej chwili dwa przepyszne ptaki z głośnym krzykiem uleciały w powietrze. Były to argusy, z rodziny bażantów. Przerażliwe ich krzyki zdradzały przestraszonych, uciekały widocznie nagle spłoszone. Neron zaczął szczeleć, usłyszawszy ptaki; głos jego zwabił nieprzyjaciela, pobudzając znów jego wściekłość. Myśliwi nasi ujrzeni długą trąbę, wysuwającą się z zarośli, a po chwili olbrzymi tułów słońca ukazał się przed nimi. Zwierz prosto do nich zmierzał, tym krokiem napozór powolnym, który jednak prześcignąć może konia w galopie.

W pierwszej chwili młodzieńcy stali, jakby

w ziemię wrośli: nie dlatego, aby mieli zamiar występować do walki ze słoniem, ale osłupieli z przerażenia i sami nie wiedzieli, w którą stronę uciekać. W kilka sekund dopiero Karol i Gustaw machinalnie podnieśli strzelby, chociaż nie mieli żadnej nadziei, aby kulki ich najmniejszą szkodę wyrządzić mogły słoniowi. Oba jednak strzelili prawie jednocześnie, ale, jak przewidzieli, strzały żadnego nie wywarły wrażenia na zwierza, który nie drgnął nawet i biegł dalej w najlepsze.

Indus miał to zastanowienie, że nie popisywał się wcale ze swoim łukiem, co mogło tylko rozdrażnić słonia; trafić go strzałą, to tyle znaczy, co dać mu szczutka w nos, z tą różnicą, że szczutek mniejby go zapewne rozgniewał. Wiedząc to wszystko z doświadczenia, Ossaro, zamiast czas tracić na naciąganie łuku, obejrzał się bacznie dokoła, szukając schronienia.

O ukryciu się w trzcinach nie było co myśleć, bo słoń byłby ich tam odszukał w mgnieniu oka; jedno tylko większe drzewo znajdowało się w pobliżu, nad samym brzegiem strumienia. Ossaro znał je dobrze, bo kiedyś, szukając raków w płytkiej wodzie, zagrzął był w miękkim piasku, wyścielającym dno rzeczki, i ledwo się uratował, chwytając się gałęzi drzewa, zwieszonych ponad wodą.

Nie było więc wyboru, Indus krzyknął na młodych sahibów, aby biegli za nim, i pędził prosto do drzewa, nie oglądając się, aż póki nie wdrapał się na sam wierzchołek: Karol i Gustaw usłuchali jego wezwania i podążyli za nim, jak tylko mogli najśpieszniej. Drzewo było duże i bardzo rozgałęzione, usadowili się więc na niem wygodnie i bezpiecznie.

XXI.

NIEPRZYJACIEL NIEPRZEJEDNANY

Pies pobiegł także za swoimi panami, ale, nie mogąc się na drzewo wydrapać, ratował się innym sposobem, wskoczył do strumienia, przepłynął go i znikł wkrótce pośród wysokich drzew i sitowi. Ucieczka ta powiodła mu się bardzo szczęśliwie, bo słoń samotnik nie zważał wcale na niego, nie spuszczał on z oczu myśliwców i całą zawziętość swoją na nich zwrócił.

Tym razem nie oszukali czujności jego, zwierz widział doskonale, jak biegli do niego, jak na nie wylazili, gonił ich zbliska tak, że gdy Karol, który ostatni wdrapywał się na drzewo, przeskakiwał z niższej gałęzi na wyższą, słoń tę niższą gałąź chwycił końcem swojej trąby i zgruchotał w mgnieniu oka, jak

wątlą trzcinę. Gdyby był młodzieniec spóźnił się o jedną sekundę, byłoby już po nim.

Trzej towarzysze odetchnęli, widząc się w bezpiecznem schronieniu i uniknąwszy raz jeszcze strasznej śmierci. Zato słoń wpadł w najokropniejszą wściekłość. Dwie kule, które otrzymał przed chwilą, nie przyczyniły się wcale do ułagodzenia jego gniewu, chociaż zadrasnęły mu tylko lekko skórę i prześliznęły się po twardej kości czaszki. Zawsze jednak i takie zadrażnienie przyjemne nie było.

Słoń podniósł trąbę, zagrał na niej po swojemu, chwycił gałęzie jedną po drugiej, obłamywał je z taką łatwością, jakby były szklane, i nie ustawał w tej robocie aż póki nie ogołocił pnia od dołu całkowicie, i nie usypał ziemi pod stopami liśćmi i połamanymi gałązkami. Potem zaczął jeszcze deptać to wszystko i miażdżyć zawzięcie, nakoniec objął pień trąbą, ścisnął go z całej siły i próbował, czy nie da się wyrwać z korzeniem. Widząc jednak, że mu nie podoła tym sposobem, odwinął trąbę, obrócił się bokiem do drzewa i pchnął je potężnie z takim rozpędem, że się wstrząsnęło całe. Zmyślny ten zwierz pamiętał, że tym sposobem obalił słup kamienny.

Z drzewem mu się nie udało i nie łudził się długo próżną nadzieją; przestał potrząsać pniem, nie myślał jednak się oddalać, i młodzi

myśliwi przekonali się, że są znowu obleżeni na dobre. Było to położenie bardzo nieprzyjemne, bo chociaż w tej chwili znajdowali się w twierdzy niezdobytej, przyszłość przedstawiała się w barwach coraz czarniejszych. Pozostało im tylko parę nabojów prochu, nie mieli więc nawet z czem porywać się do walki. Niszcząc im amunicję, słoń postąpił jak roztropny wojownik, bo najpierw pozbawił przeciwnika broni.

Gdyby nawet zwierz oddalił się wkońcu, nigdy na długo nie mogli być spokojni, mając tak zawziętego nieprzyjaciela w pobliżu. Żadne schronienie nie było dla nich pewne, oprócz szczytów drzew, o pobudowaniu nowej chatki nie było co i myśleć, bo olbrzym rozwaliby każdą z łatwością. Czyliż przeznaczeniem ich było żyć na drzewach, jak małpy lub wieiórki? Los to dla ludzi wcale nie do zazdrości.

XXII.

PRAGNIENIE.

Z najprzykrzejszem położeniem można się powoli oswoić. Młodzieńcy rozmawiali dość spokojnie, gdy się przekonali, że na teraz przynajmniej nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, i nawet żartowali sobie z bezsilności

wroga. Wkrótce jednak zasępili się znowu; oblężenie nie ustawało i mogło potrwać długo, widać to było z miny słonia, który krążył dookoła drzewa ze spokojem, wyglądającym okropniej jeszcze od wściekłości jego. Pierwszym razem odszedł, bo stracił z oczu swoje ofiary, teraz je widział i czatował na nie, jak kot na biedną myszkę, która mu w żaden sposób umknąć nie może.

Znowu więc trwoga opanowała naszych myśliwców, przytem i znużenie czuć im się dawało, a co gorsza, głód im zaczynał dokuczać coraz więcej. Jeżeli to oblężenie miało się przeciągnąć długo, biedni młodzieńcy zagrożeni byli śmiercią głodową. Przypominają sobie czytelnicy, że wyszli raniutko z domu po lekkim śniadaniu i już byli porządnie głodni, gdy powracali do swojej chatki. Tam, jak wiadomo, zastali zniszczenie tak okropne, że i zapasów żywności brakło. W tem położeniu zszedł ich słoń, i w nagłej ucieczce nie mieli czasu myśleć o obiedzie. A tu już było po południu, zbliżała się pora wieczery i zanośli się nato, że o głodzie mieli się spać położyć.

Ba! gdybyż naprawdę położyć się mogli, możeby jakoś i ten głód straszny przespali; ale siedząc na gałęziach, pod strażą tego potworu, czyż był sposób pomyśleć o spoczynku?

Przeciwnie, trzeba było czuwać i trzymać się całą siłą, aby zdrzemnąwszy się przypadkiem, nie stracić równowagi i nie spaść pod stopy słonia. Gdyby nawet potrafili pouwiązywać się mocno do drzewa, nigdyby w tak niewygodnem położeniu zasnąć nie mogli spokojnie.

Biedni nasi znajomi pozbawieni więc byli i jadła i snu; lecz jest cierpienie trudniejsze jeszcze do zniesienia od głodu i niemożności zaśnięcia, a mianowicie pragnienie. Od samego rana młodzieńcy byli ciągle na nogach, zmęczeni się strasznie, uciekając przed słoniem i wdrapując się na drzewo; dodajmy do tego wzruszenie, jakiego doznali przez ten czas cały, a zrozumiemy, co to za męczarnia być musiała dla nich, gdy tak zgrzani, zziajani, nie mogli dostać kropli napoju do zaspokojenia straszego pragnienia. Tymczasem mieli przed oczyma obfitość wody, bo strumień płynął u stóp drzewa, i widok ten wzmagił ich cierpienie; było to coś naksztalt mąk Tantalą.

Nie widząc sposobu zaradzenia temu, znosili cierpliwie przykre położenie swoje przez czas jakiś, lecz widok przezroczystej wody, szmer jej srebrzysty, tak rozdrażniły wkońcu Gustawa, że nie mógł wytrzymać i wykrzyknął rozzwierającym głosem:

— A to rozpacz prawdziwa! żeby mieć wodę pod ręką i umierać z pragnienia!

— Pod ręką! — powtórzył Karol ze smutkiem—chciałbym, żeby tak było, Gustawie.

— Ależ to niepodobna, żebyśmy nie znaleźli sposobu jej dosięgnąć; ja ci mówię, że jest sposób — a mówiąc to, młodzieniec wskazywał starszemu bratu rożek od prochu, zupełnie wypróżniony. Karol jednak nie zrozumiał, o co mu chodziło.

— Możemy go spuścić i nabrać wody — mówił dalej Gustaw — nic łatwiejszego, byle mieć tylko kawałek sznurka. Czy nie masz czego podobnego, Ossaro?

— Znajdę, sahibie — odrzekł Indus; odwiązał długą tasiemkę, którą był opasany i podał ją Gustawowi.

— Wyborna! — zawołał tamten — i długość dostateczna.

I w mgnieniu oka wysypał do ładownicy Karola resztę swego prochu, rożek uwiązał mocno do tasiemki i spuścił go do wody. Gdy się napełnił po brzegi, wyciągnął go znów w górę i podał bratu. Karol pił chciwie, spuszczone rożek powtórnie, i spuszczano go raz po raz póty, póki wszyscy trzej obłączeni nie ugasili zupełnie pragnienia.

XXIII.

OSOBLIWSZA SIKAWKA.

Dowcipny pomysł Gustawa przyniósł niejaką ulgę naszym przyjaciółom, znowu nabrali otuchy i cierpliwiej czekali rozstrzygnięcia swego losu. Rozmawiali właśnie o tem, jak to dobrze, że przynajmniej pragnienia już nie potrzebują się lękać, gdy niespodzianie spadła na nich daleko większa obfitość wody, aniżeli sobie życzyli.

Czy to widok rożka, spuszczanego przez Gustawa, czy inna jaka przyczyna podała tę myśl słoniowi, dość, że ni stąd ni z owąd zbliżył się także do strumienia, i zaczął wciągać wodę swoją długą trąbą. Może zresztą i jemu pić się zachciało i przypomniał to sobie, widząc, jak pili trzej myśliwi. Dla większej wygody zapewne, wszedł w strumień i pompował nieustannie. Ale złośliwy zwierz, zaspokoivszy pragnienie, odwrócił się i przypuścił szturm nowego rodzaju do obleżonych. Dla kogoś, coby patrzył na to z boku, mogło się to wydawać śmieszne, młodzieńcom jednak wcale się śmiać nie chciało, żart był zanadto nieprzyjemny dla nich.

Słoń podniósł trąbę, wyciągnął ją na całą długość i, skierowawszy do wierzchołka drzewa

tak dokładnie, jak najzręczniejszy strzelec, gdy mierzy do zwierzyny, bryznął wodą na młodzieńców z całej siły. Wszyscy trzej przemoczeni byli do nitki, jakby w czasie najokropniejszej ulewy, a wrażenie doznane było daleko przykrzejsze, bo woda nie kroplami, lecz gwałtownym strumieniem, jak kąpiel spadowa, ich oblała.

Uradowany widocznie ze swego pomysłu, słoń nabrał drugi raz wody i znowu sprawił kąpiel obłożonym i tak nieustannie ze dwaście razy napełnił i wypróżnił swoją sikawkę. Młodzi myśliwi musieli się trzymać mocno gałęzi, obawiali się bowiem, ażeby silny strumień wody nie pozbawił ich równowagi.

Niewiadomo, w jakim celu zawzięty słoń urządził ten szturm osobliwy; może spodziewał się, że tym sposobem strąci z drzewa młodzieńców, lub zmusi ich, aby się na ziemię spuścili sami. A może działał bezmyślnie, byle tylko jakim bądź sposobem złość swoją szaloną wyrzucić na nich. Trudno także przewidzieć, jak długo miała potrwać ta straszna igraszka, gdyby niespodziewany wypadek nie położył jej końca.

XXIV.

ŻYWCEM POGRZEBANY.

Niegodziwy słoń z takim zapalem oddawał się okrutnej swej zabawie, że coraz dalej wchodził w strumień, jakgdyby się obawiał, żeby mu z brzegu nie zabrakło wody; raz po raz pompował i oblewał, aż wtem nagle zatrzymał się w zapędzie. Coś mu widocznie zawadzało, młodzieńcy spostrzegli, że zaczął się kołysać na olbrzymich swych nogach, pokręcać głową, nakoniec wyciągnął trąbę, ale nie wyrzucił z niej strumienia wody, tylko zatrąbił żałośnie, jakby z bólu lub przestachu.

Cóż mu się stało? czyżby nieprzyjaciel jaki niewidzialny zagroził niespodzianie samotnikowi w wodzie? Dwaj bracia zadawali sobie to pytanie, na które żaden z nich odpowiedzieć nie umiał, ale Indus wykrzyknął z wyrazem niewypowiedzianej radości:

— O wielki Boże! dobry, wszechmocny Boże! potężny Brahmo, bądź błogosławiony! Czy widzicie, młodzi sahibowie, że samotnik grzęźnie coraz głębiej? Natrafił stary łotr na toż samo miejsce, gdzie ja o mało żywcem nie byłem pogrzebiony. Wpadł w pułapkę, tam piasek jest miękki, grząski i pochłonie go nie-

zawodnie, własnym ciężarem w głąb zapadnie; o, jak zapada! patrzcie, patrzcie!

Karol i Gustaw teraz dopiero zrozumieli. Indus się nie mylił, słoń rzeczywiście zapadał w miękki piasek i nie był w stanie się z niego wydobyć. Woda przy brzegu była tak płytka, że dochodziła słoniowi tylko po kolana, gdy wszedł do strumienia; obaj bracia zauważyli to doskonale. Teraz był już zanurzony prawie do połowy i zanurzał się stopniowo coraz więcej. A przytęm gwałtowne ruchy zwierzęcia, rozpaczliwe jego usiłowania, aby się wydobyć z tej strasznej matni, krzyki przeraźliwe, wszystko świadczyło, że był przerażony do najwyższego stopnia.

Nie upłynęło więcej jak dziesięć minut, a już woda dosięgała grzbietu zwierza, który teraz własnym swym ciężarem zagłębiał się coraz prędzej, aż wreszcie głowa już tylko, uzbrojona ogromnemi kłami i trąbą, sterczała ponad wodą. Słoń przestał się szamotać, był zupełnie obozwładniony, głosu nawet wydobyć już nie mógł, trąba tylko kołysała się na wszystkie strony, uderzała kiedy niekiedy o powierzchnię wody i bryzgała pianą białą.

Nakoniec głowa potworu pochyliła się bezsilnie, potem zagłębiła się w otchłani wodnej, trąba sterczała jeszcze do góry, wydobywało

się z niej chrapliwe, przerywane sapanie, ale i ona stawała się coraz krótsza.

Karol i Gustaw siedzieli ciągle na drzewie i nie mogli się powstrzymać od uczucia litości, patrząc na tę śmierć okrutną złośliwego samotnika, który ich tak prześladował. Ale Ossaro nie miał dla niego najmniejszego współczucia i, jak tylko zobaczył, że nieprzyjaciel przestał być groźnym, zeskokczył z drzewa, stanął na brzegu i zaczął nań miotać obelgami tak zupełnie jakgdyby słoń mógł go zrozumieć. Wyrzucał mu szczególnie, że śmiał mu podrzeć jedyne ubranie. Gdy głowa ukryła się w wodzie, a na powierzchni pozostała tylko połowa trąby, Ossaro wszedł ostrożnie do strumienia, wyciągnął nóż z pasa i odciął ją za jednym zamachem, jak gałązkę z drzewa. Po chwili już tylko fala lekko krwią zarumieniona wskazywała miejsce, gdzie olbrzym stał tak niedawno w pełni sił i życia. Bezdenna otchłań pochłonięła swoją ofiarę. Słoń, uwięziony w piaszczystym pokładzie, miał się stać zwierzęciem kopalnym przyszłości; może kiedyś, za kilkaset lub za tysiąc lat, motyka uczonego badacza odgrzebie jego kości, i prześladowca naszych myśliwców zajmie zaszczytne miejsce w jakim muzeum.

Wypadek ten, smutny dla słońca, wielce był szczęśliwy dla naszych młodzieńców, uwolnił

ch od strasznego niebezpieczeństwa, a może nawet od śmierci. Pomimo nieustraszonej odwagi i roztropności niepospolitej, nie widzieli oni sposobu pozbycia się mściwego słonia; walczyć z nim nie mogli, zwłaszcza utraciwszy amunicję i mając zaledwie kilka naboju. Prawdopodobnie Ossaro, doświadczony myśliwy, i Gustaw, pełen zawsze dowcipnych pomysłów, znaleźliby byli wkońcu jakiś podstęp, i urządzili zasadzkę na swego prześladowcę. Lepiej jednak się stało, że nie potrzebowali już sobie głowy nad tem łamać. Bardzo to było pomyślne rozstrzygnięcie sprawy.

Neron usłyszał wesołe, ożywione głosy swoich panów, obaczył zdaleka, że już nie siedzą na drzewie, ale przechadzają się swobodnie na brzegu strumienia, i wnet wysunął się ze swej kryjówki wśród sitowia, ażeby do nich pośpieszyć. Znowu więc przepłynął przez strumień, tuż obok grobu strasznego potwora, który mu takiego strachu napędził.

Nie będąc świadkiem dziwnych wydarzeń, które zmieniły tak rychło postać rzeczy w czasie chwilowej jego nieobecności, pies nie zdawał sobie sprawy z tego, co się tu stało, musiał się jednak czegoś domyślać po zapachu krwi, która rumieniła strumień, bo zaszczekał zajadle i niespokojnie wietrzył dokoła.

Powitano go z radością i obsypano pieszczotami. Chociaż postępowanie jego nie było bohaterskie, bo uciekał z placu, ile razy słoń mu zagroził, nikt jednak nie miał mu tego za złe, była to raczej roztropność, niż tchórzostwo. Nie mógł przecież tak potężnego przeciwnika {wzywać do walki, lepiej więc zrobił, że unikał z nim spotkania. Gdyby był zginął śmiercią waleczną, nicby na tem panowie jego nie zyskali, słoń nie przestałby ich prześladować. Poczciwy pies czynił co mógł, przysłużył się nawet swoim panom, odwracając na siebie uwagę słońia.

Ossaro postanowił go za to wynagrodzić, dając mu do pożarcia odcięty koniec trąby; wszedł więc natychmiast w wodę, aby ten smakowity kąsek przynieść dla Nerona, ale okazało się, że nie mógł go uraczyć tak, jak pragnął, bo ów kawałek trąby poszedł na dno, a Indus nie miał ochoty narażać się lekko-myślnie, brodząc w tem niebezpiecznem miejscu. Ten miękki piasek, który się usuwał pod stopami, dał mu się już raz we znaki. Poszukawszy więc nadaremnie odciętej trąby długim kijem, Ossaro dał za wygraną, i trzech myśliwi poszli obejrzeć zwaliska swojej chatki.

XXV.

CEDR DEODARA

Ossaro upewniał, że nie było obawy, aby inny słoń podobny znajdował się w dolinie. Złośliwy ten potwór, który im się tak dał we znaki, był niewątpliwie samotnikiem, a więc unikał towarzystwa pokrewnych sobie istot; gdyby był napotkał słońca w tej puszczy, rozpoczęłyby z nim zaciętą walkę, któraby się zakończyła śmiercią jednego, a może i obu przeciwników. Mogły jednakże znajdować się w dolinie inne zwierzęta, niemniej od słońca straszne, tygrysy, pantery, lamparty: to też pierwszą rzeczą, o której myśliwi nasi pomyśleli, posiliwszy się i odpocząwszy, było urządzenie nowej chatki, bo obawiali się nocować pod gołym niebem.

Robota ta zabrała im dni kilka, chcieli bowiem staranniej jeszcze od pierwszej opatrzyć drugą swoją chatkę, tem bardziej, że zima się zbliżała, a noce już się stawały coraz zimniejsze. Rozrobili więc trochę gliny i pozatykali wszystkie szpary w ścianach, urządzili nawet piecyk z kamieni i komin wyprowadzili na zewnątrz.

Ukończywszy dopiero tę ważną pracę, zabrali się do owych drabin, które ich miały wybawić z więzienia. Potrzeba było sporzą-

dzieć ze dwanaście i to jak najdłuższych, równych jak strzała, lekkich jak trzcina. Niektóre roboty mogły być w chatce wykonane, niewszystkie jednak. Póki pogoda służyła, najprzyjemniej było pracować pod gołym niebem, ale pora jesienna zapowiadała deszcze, chłody, może i śniegi, należało więc pośpieszać o ile możliwości.

A jednak, chociaż młodzieńcy nasi gorąco pragnęli wydostać się z doliny bez wyjścia, nie zapominali, że do pracy potrzeba przede wszystkim sił i zdrowia, a tylko wygody, ciepłe mieszkanie, posilny pokarm, mogły im to zdrowie zapewnić. Na odzienie i kołdry mieli dostateczny zapas skórzanych i innych zwierząt, upolowanych przez Gustawa i Indusa, nie obawiali się więc zimna, ani dniem, ani nocą.

Trudniejsza sprawa była z jedzeniem; słoń ogromną im szkodę wyrządził, rozsypując proch i depcząc suszone mięso. Za ledwo zdołali wybrać tyle, aby się pożywić przez dni kilka. Na szczęście, w braku broni palnej, mieli jeszcze łuk i strzały Indusa, zresztą mogli urządzać sidła na różne drobne zwierzęta i ptactwo. Pocieszali się więc nadzieją, że wkrótce wydobędą się z więzienia, a tymczasem dadzą sobie jakoś rady.

Załatwiwszy się z temi gospodarskimi kło-

potami, znajomi nasi przedsięwzięli nową wycieczkę, aby obejrzeć dokładnie skały, otaczające dolinę. Pierwsza, jak wiemy, przerwana była przez słońca. Oglądali więc raz jeszcze każdy zakątek, zajrzeli także i do szczeliny, prowadzącej na szczyt lodnika. Przekonali się, że jedno tylko miejsce, które już przedtem zauważyli, nadawało się do wykonania ich przedsięwzięcia. Postanowili więc niezwłocznie zabrać się do dzieła.

Najpierw należało wybrać drzewo najstosowniejsze na drabiny i narąbać go dostateczną ilość. Zdawało im się zrazu, że nie znajdą lepszego drzewa na to, jak jodły niebotyczne, wznoszące się na wybrzeżach jeziora, wkrótce jednak zauważyli inny gatunek, także z rodziny iglastych, a mianowicie cedr himalajski, zwany deodara. Indus nie był jednak wcale zadowolony i ubolewał niezmiernie nad brakiem bambusów. Utrzymywał on, że gdyby tylko mieli bambus pod ręką, sporządziliby drabiny bez najmniejszego kłopotu, prędzej daleko, aniżeli teraz zdołają to olbrzymie drzewo zrąbać.

Trzeba przyznać, że Ossaro nie przesadzał wcale; długa, drzewiasta, a cienka łodyga bambusu, ścięta w gąszczach bengalskich, przewyższyłaby o wiele zwyczajne drzewo, nie przyczyniając żadnych trudów przy obrobieniu.

Dość byłoby poprzewiercać w niej dziurki i szczeble w nie powkładać, bambus jest nadzwyczaj lekki, co w tym razie było ważną rzeczą; ustawienie drabiny niemniej przedstawiało trudności od jej sporządzenia. Rosły wprawdzie w dolinie bambusy odrębnego gatunku, przez krajowców zwane *ringal*, ale te nie mogły się na nic przydać, bo łodyga ich jest nadzwyczaj krucha i znacznie krótsza zwykle od wspaniałych bambusów, które tworzą ogromne zarośla w strefach zwrotnikowych, sięgając wysokości trzydziestu metrów. Nawet na niższych stokach Himalajów można napotkać podobne bambusy, lecz gatunki, rosnące wyżej, nie mają już tych przymiotów.

Cedr deodara miewa także taką wysokość, ale pień jego jest przytem bardzo gruby, dochodzi dziewięciu lub dziesięciu metrów obwodu. W niedostatku bambusu, młodzieńcy wybrali cedr himalajski na swoje drabiny. Drzewo to przeniesione zostało do Anglii i hodowane tam bywa w parkach i ogrodach. Nazwa deodara oznacza gatunek; cedry te znacznie się różnią od libańskich, zbliżają się więcej do jodeł, rosną na różnych wysokościach i w gorących dolinach, i na szczytach, graniczących z linią śnieżną. Ale na niższych wzgórzach są najokazalsze, dają drewno wyborne, a przytem obfitość smoły.

Gdy wyrastają jedne obok drugich, tworząc lasy, cedry himalajskie miewają zwykle postać piramidalną, tak samo, jak jodły, lecz gdy występują pojedynczo, grube ich konary wydłużają się w kierunku poziomym i wtedy mają charakterystyczną postać cedrów. Wspomnieliśmy wyżej, że cedr deodara dochodzi trzydziestu metrów wysokości, niezmiernie też jest ceniony, jako materiał budowlany, gdyż ma drewno trwałe, łatwo bardzo dające się rozcinać w kierunku długości, co niemałą stanowi zaletę w kraju, gdzie mieszkańcy nie znają prawie piły.

W dolinie Kaszmiru budują z tego drzewa mosty, które najlepiej świadczą o jego trwałości. Mosty te przez znaczną część roku są pod wodą, a chociaż niektóre z nich stoją już ze sto lat, są zupełnie mocne i bezpieczne. Smoła, otrzymywana z cedrów himalajskich, nie jest tak gęsta, jak zwyczajna, ma barwę ciemno czerwoną i zapach nadzwyczaj mocny. W Indjach nazywają tę smołę oliwą cedrową, używają jej jako lekarstwa w rozmaitych chorobach ludzi i bydła domowego. Cedr deodara rośnie bardzo powoli, może też z tego powodu tak mało jest rozpowszechniony w Europie i tylko w ozdobnych parkach napotyka się niekiedy.

Młodzińcy nasi wybrali ten cedr na swoje

drabiny dlatego szczególnie, że go mogli z łatwością porozcinać na cienkie szczapy. Z innym drzewem nigdyby tego nie dowiedzieli w obecnym miejscu, pozbawieni narzędzi potrzebnych do takiej roboty. Tu jednak dość było klin wbijać w pień drzewa, aby go rozłupać na części.

Wypatrując cedrów w lesie, myśliwi natrafili na inne iglaste drzewo, które uszłoby było ich uwagi, gdyby botanik nie był go poznał i nie wytłumaczył towarzyszom, jakie im to odkrycie może przynieść korzyści. Był to gatunek sosny, której drewno przejęte jest żywicą, a stąd wyborne daje łączywo. Mieszkańcy Himalajów robią z niego pochodnie. Botanik dodał jeszcze, że żywica ta służy także jako lekarstwo w wielu chorobach skuteczne.

Mnóstwo innych gatunków drzew iglastych pokrywa stoki Himalajów, najobficiej jednak występują jodły pospolite, które tworzą lasy rozległe na grzbietach gór, nie przenoszących dwóch lub trzech tysięcy metrów nad poziomem morza. Nieraz napotkać je można rosnące na gruncie skalistym, trudno pojąć, jakim sposobem się tam rozwijają i utrzymują. Olbrzymie jodły wznoszą niebotyczne wierzchołki ku niebu, a korzenie zapuszczają w skałę granitową, i żywią się tym twardym granitem. Była tam niegdyś zapewne drobna szczelina, wpadło



Młodzieńcy nasi wybrali ten cedr na swoje drabiny... (str. 101).

w nią ziarnko przypadkiem, wypuściło kielek i wydało drzewo wspaniałe, które żyć może przez kilka wieków.

Botanik ucieszył się niezmiernie na widok owej jodły żywicznej, bo miał już teraz zapewnione oświetlenie dla siebie i towarzyszy na wieczory zimowe. Tym sposobem nie potrzebowali obawiać się jesieni i długich nocy, bo mogli pracować przy pochodniach, ociosywać szczeble do swoich drabin i domowe różne roboty załatwiać.

XXVI.

DRABINY.

Rąbanie drzew niedużo czasu zabrało; nasi robotnicy wybierali pnie najcieńsze, uważając tylko, aby były dość długie, gdyż takie były dla nich najdogodniejsze. Byle miały około piętnastu metrów wysokości, to wystarczało dla nich, a niektóre z tych jodeł były tak wysmukłe, że tylko korę z nich zdjąć potrzebowali, aby mieć boki do drabin gotowe. Sporządzenie szcebli niedużo przedstawiało trudności, ale kłopotliwe było niezmiernie, bo każdy kawałek drzewa musiał być starannie ociosany i do miary obcięty.

Najtrudniej im przyszło przewiercać dziurki do wkładania tych szczebli. Mozolna ta robota zajęła im więcej czasu, aniżeli sporządzenie wszystkich części drabin. Gdyby mieli dobry świder, daliby sobie radę z łatwością, ale na nieszczęście brakło im tego pożytecznego narzędzia, a tu potrzeba było wiercić nieskończoną ilość otworków. Sami nie wiedzieli co począć.

Próbowali wyłabiać te otworki ostrym końcem noża, i nieźle im się nawet udawało; ale ileż to czasu potrzeba było na to, aby tym sposobem zrobić kilkaset dziurek! Niedosć, że robota była nudna, żaden nóż nie wytrzymałby do końca, każdyby się wyszczerbił, złamał, może już za trzecią lub czwartą dziurką. Gdyby mieli byli gwoździe, obeszliby się bez dziurek, przybiliby szczeble gwoździami; ale niełatwiej tu było o gwoździe, jak o świdry.

Kłopot to był nielada, i niewiadomo jakby z niego wybrnąć zdołali, gdyby Karol nie znalazł na to rady. W chwili, gdy mu przyszło do głowy, że zapomocą drabin mogą się wydostać z więzienia, obmyślił zarazem i sposób sporządzenia ich należycie. Był to wprawdzie pomysł tylko; doświadczenie miało dopiero wykazać, czy wykonanie było praktyczne. Niejedna piękna teoria spełzła na niczem, gdy przyszło do wykonania. Ale Karolowi powiodło się najpomyślniej.

Karol postanowił przekręcać dziurki w drzewie zapomocą ognia, a raczej zapomocą żelaza rozpalonego do czerwoności. Skądże miał jednak wziąć tego żelaza? zapytacie zapewne. Toż w bezludnej dolinie i o metalowy pręcik nie było łatwo. Zapewne, ale od czegoż dowcip i zmysł wynalazczy? Młodzieniec miał mały kieszonkowy pistolet, lufa jego dochodziła piętnastu centymetrów, była cienka, bardzo gładka i równa. Karol umyślił rozgrzewać tę lufę do czerwoności i świdrować nią dziury w drzewie. Udało mu się to doskonale, rozgrzewał lufę tyle razy, ile było dziur do zrobienia, a więc kilkaset razy, ale nakoniec zrobił swoje.

Łatwo zrozumieć, że mozolna ta praca nie skończyła się za jeden dzień, Karol dobrze się napocił, zanim ostatnią dziurkę przekręcił i niemało łez przytem wylał, nie ze zmartwienia, lecz z powodu dymu, który mu oczy wygryzał. Gdy doprowadził do końca to ważne zadanie, niewiele już do roboty pozostało. Gustaw i Ossaro wkładali szczeble jedne po drugich, łącząc pomiędzy sobą oba boki drabiny, a gdy stanęła pierwsza, wzięli się z kolei do następnych.

Potem wszystkie pozanosili do miejsca, wybranego na ich ustawienie, rozpoczęto robotę ostateczną, niestety! ze smutkiem powiedzieć wam musimy, że cała ta ciężka, długa

praca, okazała się zupełnie nieużyteczną. Ustawiono bez żadnej przeszkody parę pierwszych drabin, wszystko szło jak najlepiej, młodzieńcy wchodzili na nie bardzo zręcznie i podawali jedni drugim dalsze drabiny, już trzy czwarte olbrzymiego muru były przebyte, gdy nagle okazało się, iż dalej ani rusz nie można było się posunąć. Ostatnie piętra skały nie miały już tych wygodnych gzymsów, na których drabiny oprzeć było można, ale przeciwnie brzegi ich wysuwały się naprzód i cała skała pochylała się nieco, jakby w kabłąk. Nie było więc żadnego sposobu umocować tam drabiny.

Zdołu niepodobna było dojrzeć tego szczegółu, Karol pierwszy, dosięgnąwszy wyższego miejsca, spostrzegł odrazu wszystko. Trzebaby chyba mieć skrzydła, aby przebyć skałę podobnego kształtu. Z tem bolesnem przekonaniem biedny botanik powrócił do towarzyszy, którzy z oczu jego wyczytali, że się coś złego stało. Gustaw i Ossaro nie próbowali wchodzić na drabiny.

Cały ten pomysł dowcipny, długa, nużąca praca, wszystko już teraz było na nic. Najpiękniejsze nadzieje spełzły na niczem, a przyszłość znowu przedstawiała im się w barwach najczarniejszych. Żaden z nich mówić nawet nie mógł, w milczeniu oddalili się od miejsca, gdzie ich spotkał taki gorzki zawód, usiedli,

a raczej upadli na murawę i długo otrząsnąć się nie mogli ze straszliwego przygnębienia. W niemej rozpaczycy spoglądali na tę nieprzebytą zaporę, która ich oddzielała od świata, na drabiny, zawieszzone na skale i wyglądające zdaleka, jakby snujące się po głazach pajęczyny. Z taką otuchą pracowali nad niemi, teraz widok tej zmarnowanej pracy najboleśniej-sze na nich wywierał wrażenie.

XXVII.

POWRÓT DO CHATKI.

Długo tak siedzieli, pogrążeni w ciężkim smutku, nie zważając na wiatr mroźny, który smagał ich twarze, cierpienie ich moralne było tak silne, że nie czuli i nie widzieli, co się koło nich działo. Gdyby gromy biły w tej chwili nad ich głowami, możeby tego nie zauważyli i nie uciekaliby przed niemi. Ta myśl okropna, że teraz już całe życie będą musieli spędzić w tem więzieniu, przerażała ich więcej od śmierci. Doznawali takiego uczucia, jak tonący, gdy uczepi się wątlej trzciny i ta przełamie się w jego rękę.

Już od godziny siedzieli na jednym miejscu, spoglądając w milczeniu na różowe chmury, nagromadzone na zachodzie, które zdawały się

im przypominać, że słońce niezadługo skryje się za skałami, i noc zalegnie dolinę. Karol spostrzegł to pierwszy i odezwał się do towarzyszy:

— Bracia—(wspólność nieszczęścia skłoniła go do użycia tej poufalej i serdecznej nazwy względem poczciwego Indusa), bracia, wieczór się zbliża, idźmy do domu.

— Do domu! — powtórzył Gustaw z goryczą—jak możesz wspominać o domu! nazwa ta taki urok miała dla mnie dawniej, a teraz strasznym bólem przeszywa moje serce. Dom! czy my obaczymy kiedy dom rodzinny?

Karol nie odpowiedział na tę rzewną skargę. Jakąż nadzieję lub pociechę mógł dać biednemu bratu? Wstał jednak i, nie już nie mówiąc, skierował się z wolna do chatki, dwaj inni podążyli za nim. Nowa troska ich czekała w mieszkaniu. Jak wspomnieliśmy wyżej, z zapasów zniszczonych przez słońca młodzieńcy uratowali bardzo niewiele, ale w nadziei, że nie na długo ich będą potrzebowali, nie oszczędzali ich i nie myśleli o zaopatrzeniu spiżarni. Nie mieli też czasu polować na jakąkolwiek zwierzynę, bo od rana do wieczora zajeci byli sporządzaniem drabin. Wychodząc z chatki z rana, pozostawili w niej tylko parę kawałeczków suszonego mięsa, które zaledwie na wieczorny posiłek starczyć mogły.

Jakkolwiek znużeni i zmartwieni, młodzieńcy uczuli jednak głód dotkliwy, zbliżając się do swego mieszkania, i z pewnem zadowoleniem pomyśleli o tej skromnej wieczerzy. Człowiek w największem nieszczęściu nie może jednak zapomnieć całkowicie o potrzebach ciała. Gdy na próg wchodzili i objęli wzrokiem ściany swej chatki, tak starannie zaopatrzone, spojrzeli na ognisko, gdzie za chwilę miał zabłysnąć płomień, a nad nim zasyczeć przypieczone mięso, roznosząc zapach smakowity, nie powiemy, aby biedni nasi przyjaciele się rozweselili, ale przynajmniej uczuli się spokojniejsi i smutna rezygnacja zastąpiła rozpacz w ich sercach. Jest to w naturze człowieka, że o najcięższych smutkach może zapomnieć na chwilę, gdy inny przedmiot myśl jego zajmie; i wielkie to szczęście dla człowieka, bo inaczej możeby mu i sił zabrakło do zniesienia cierpień, jakie przebywać musi na tej ziemi.

Chatka nie miała okien, ciemno więc było w niej zupełnie; Karol dobył krzesiwa, rozpałił ogień i wszyscy trzej przedewszystkiem zasiedli przy ognisku, rozgrzewając zlodowaciałe członki. Po chwili chcieli się zabrać do przyrządzenia wieczerzy, ale niestety! mięso znikło. Rabuś jakiś ich uprzedził i pożarł ten ostatni posiłek. Wilk zapewne, lub inny zwierz drapieżny, w czasie ich nieobecności zakradł się do

chatki i pochwycił mięso, zawieszona na pułapie.

Odchodząc z rana, tak byli zaprzątnięci swojemi nadziejami, a nie spodziewali się wcale tu powrócić, że zapomnieli zamknąć drzwi chatki. Złodziej czworonożny mógł więc tam zakraść się bez przeszkody. Ł teraz zgłodniali, zmęczeni, nie mieli czem się posilić, bo oprócz tych resztek mięsa nie było w chatce żadnej najdrobniejszej okruszyny jada. Musieli więc położyć się bez wieczerzy wszyscy trzej, a raczej wszyscy czterej, bo Neron równie był głodny, jak jego panowie.

XXVIII.

POSZUKIWANIE ŚNIADANIA.

Biedni młodzieńcy tak byli spracowani i znużeni, że pomimo dotkliwego głodu, usnęli wkrótce snem głębokim. Ale przespawszy parę godzin, przebudzili się i resztę nocy spędzili na smutnych rozmyślaniach nad straszną teraźniejszością i straszniejszą jeszcze przyszłością. Nie mogli nawet pocieszać się myślą o śniadaniu, którego nie mieli. Chcąc zdobyć pożywienie, trzeba było iść daleko, aż do lasu, upatrzeć jakąś zwierzynę, upolować ją i wracać znów do domu, aby ją przyrządzić przy ogniu.

A gdybyż to szło tylko o czas i trudy! ale upatrzwszy zwierzynę, pozostawało jeszcze zadanie niemałe, obmyślenie środków upolowania tej zwierzyny bez palnej broni. Pamiętajmy, że spiżarnia była zupełnie próżna, więc nie tylko o śniadaniu, ale i o obiedzie i wieczery przynajmniej na jeden dzień pomyśleć należało. Jeszcze doniedawna nie mieli najmniejszego kłopotu z tego względu, Gustaw wybornie strzelał i, póki mu nie brakło prochu, zaopatrywał kuchnię w świeżą zwierzynę prawie codziennie. Ale teraz zręczny strzelec stał się zupełnie bezsilnym, a jelenie, których mnóstwo sнуło się w okolicy, ba! nawet ptaki mogły sobie bezkarnie żartować z Gustawa. Strzelba jego niewięcej była warta od zwyyczajnego kija.

Obaj bracia mieli tylko trzy naboje do użytkowania, dwa spoczywały w dubeltówce Gustawa, jeden, jedyny, w strzelbie Karola. Po tych trzech ostatnich wystrzałach, nigdy już odgłos palnej broni nie miał się odezwać w dolinie bez wyjścia i rozbudzić ech uśpionych.

Pomimo tych ciężkich warunków, myśliwi nasi nie tracili nadziei, że potrafią jakoś zaopatrzyć się w zwierzynę. Odważni młodzieńcy otrząsnęli się z rozpacz i przygnębienia, starali się poddać woli Opatrzności i widzieć przyszłość w mniej czarnych barwach. Nie

mogąc zasnąć, zaczęli rozmawiać i układać różne plany polowania. Ossaro był najlepszej myśli, bo miał łuk i strzały, nie potrzebował więc prochu, a ufał w swoją zręczność. Zresztą, gdyby mu się polowanie nie powiodło, miał przecież sieci, a gdyby i ryb zabrakło, jeszcze pozostawały mu najrozmaitsze sposoby chwytania w sidła czworonożnych zwierząt i ptactwa.

Karol postanawiał zawczasu z nastaniem wiosny zasadzić różne jadalne rośliny, których nasiona znalazł w dawniejszych swych wycieczkach, i urządzić koło chatki ogródek warzywny. Przypomniwał także, iż należało zebrać starannie owoce rozmaite, rosnące w dolinie, zanim mrozy je zwarzą, ażeby się o ile możliwości zaopatrzyć w zapasy żywności na zimę. Niepowodzenie ostatniego przedsięwzięcia, w którym tak wielkie nadzieje pokładali, przekonało ich, że zamiast marzyć o wydobyciu się z więzienia, lepiej było uczynić je jak najznośniejszem.

Oswoiwszy się z taką straszną myślą, że muszą tu żyć i umierać, młodzieńcy zaczęli spokojniej rozmyślać nad tem, aby przynajmniej zabezpieczyć się od niedostatku. Na takich rozmowach zesła reszta nocy, a jak tylko pierwszy brzask poranny ozłocił wierzchołki gór, i przedarł się przez szparę do

środku chatki, trzej towarzysze ubrali się i gotowali do jakiejś walnej wyprawy. Gustaw opatrzył starannie obie lufy swojej dubeltówki, pamiętał on, że to ostatnie naboje, ostatnie ziarenka prochu, więc pragnął ich użyć z korzyścią. Karol także oglądał strzelbę, a Indus uzbierał się w swój łuk, próbował sznura, ładował pęk strzał ostrych w koszyczek z łoziny, który mu służył za sajdak.

Nie potrzebujemy powtarzać, że przyjaciele nasi wybierali się na łowy, a nie mieli czasu do stracenia, bo pilno im było postarać się o śniadanie. Powiadają, że jeżeli myśliwy wybiera się na polowanie z dobrym apetytem, to mu się poszczęści. Gdyby to miało być prawdą, nasi młodzieńcy mogli być pewni niezwykłego powodzenia, bo wszyscy byli głodni jak wilki i jak... poczciwe ich psisko, które także gotowało się szczerze im dopomagać i ostrzyło zęby na wszelkie stworzenie żyjące, czy futrem pokryte, czy pierzem, byle tylko dostało się do jego paszczy.

Trzej myśliwi rozłączyli się i poszli każdy w swoją stronę, tak wypadło z narady. Tym sposobem każdy miał na własną rękę polować i gdyby jednemu, drugiemu się nie powiodło, to zawsze jeszcze trzeci mógł natrafić na lepsze warunki. Gdyby Indus co zastrzelił, miał natychmiast dać znać o tem gwizdawką, którą

nosił przy sobie, a Karol i Gustaw nie potrzebowali go uwiadamić o powodzeniu, bo wystrzał był znakiem dostatecznym. Na wezwanie, czy to gwizdawki, czy palnej broni, wszyscy mieli się zejść natychmiast przy chatce.

Zawarłszy taką umowę i posprzeczawszy się trochę żartami, bo każdy utrzymywał, że on pierwszy ubije przepyszną zwierzynę, rozeszli się w różne strony: Gustaw poszedł na prawo, Ossaro na lewo, a Karol drogą pośrednią i Nerona zabrał ze sobą.

XXIX.

ZASADZKA.

W kilka minut później trzej myśliwi stracili z oczu jeden drugiego. Karol i Gustaw postępowali brzegami jeziora, każdy ze strony przeciwnej, obaj ukrywali się za krzakami i wysokimi trzcinami, wypatrując zwierzyny. Ossaro trzymał się podnóża skał, sądząc, że natrafi tam najłatwiej na ptaka lub mniejsze jakie zwierzątko. Na okazalszą zdobycz nie mógł się porywać.

Gustaw był prawie pewny, że obaczy niezadługo jelenia szczekającego. W dolinie było mnóstwo tych zwierząt, i młodzieniec, ile razy wybrał się na polowanie, zawsze prawie przy-

niósł takiego jelenia. Umiał on zwabiać je odstępem na odległość strzału. Kładł się w trawie, ukrywał strzelbę przy sobie i naśladował głos jelenia, podobny nieco do szczekania, skąd pochodzi właśnie jego nazwa. Zwierzę ma zwyczaj odzywać się, jak tylko niebezpieczeństwo jakie mu zagraża, i w krótkich odstępach czasu powtarza to nawoływanie, póki jest niespokojne, jakby wzywało pomocy.

Biedny jeleń nie pojmuje tego, że tem szczekaniem donośnem, nie obrońców, ale nieprzyjaciela zwabia. Nietylko człowiek, lecz i drapieżne zwierzęta umieją skorzystać z tej głupoty zwierza; jak tylko głos jego usłyszą, biegną śpiesznie w tę stronę i rzucają się na bezbronną ofiarę.

Łatwo jest bardzo naśladować głos jelenia szczekającego, to też Gustaw wyuczył się prędko tej sztuki od Indusa, a i Karol, słuchając ich obu, skorzystał także z nauki. Głód tak okropnie dokuczał Gustawowi, że z upragnieniem wyglądał jelenia szczekającego, chociaż zazwyczaj strzelał doń tylko w braku lepszej zwierzyny, bo mięso jego nie jest zbyt smaczne. Wolał on różne inne gatunki zwierząt przeżuujących, albo tłuste ptactwo, ale teraz nie było czasu wybierać, szło o to, żeby jak najprędzej cokolwiek upolować i głód zaspokoić. Gustaw wiedział, że botanik i Ossaro także dziś nie będą

wymyślni i z największym smakiem zjedzą najgorsze mięso, byle go się doczekali. To też nie marzył nawet o czem innym, tylko o jeleniu szczekającym, bo wiedział, że to najłatwiej mu przyjdzie.

Znał on pewne ustronie, gdzie prawie zawsze pasły się jelenie, małą prześliczną łączką, otoczoną drzewami o liściach trwałych, nieopadających na zimę; było to w pobliżu jeziora. Gustaw często tam zaglądał i nieraz zastał jelenia, leżącego pod drzewem lub skubiącego trawkę; nie wątpił, że i teraz tak będzie. Szedł śpiesznie, nie zatrzymując się, pilno mu było załatwić się z polowaniem, aby na śniadanie podążyć. Zbliżając się do łączki, ostrożniej postępować zaczął, ukrywając się starannie pomiędzy drzewami.

Obawiając się spłoszyć zwierzynę, młodzieniec ukląkł i pełzał, jak kot, wśród gęstwiny. Doszedłszy do skraju lasku, poszukał oczyma dobrej kryjówki, gdzieby mógł się zacząć na jelenia lub inne stworzenie, któreby się pojawiło na odległość strzału. Upatrzył duży, rozłożysty krzak i umieścił się w taki sposób, aby mógł przez gałęzie widzieć wszystko, co się działo na łączce, wspiał się na palce, zajął z uwagą i na twarzy jego ukazał się wyraz niezadowolenia, bo nie obaczył ani jelenia, ani żadnej innej zwierzyny.

Zmartwił się bardzo nasz Gustaw, gdy ujrzał nadzieje swoje zawiedzione. Nie mówiąc już o głodzie, który mu coraz dotkliwiej dokuczał, miłość własna jego cierpiała na tem, że nie mógł dostarczyć zwierzyny towarzyszom, upewniwszy ich o tem solennie. Nie zrażał się jednak; jeżeli jeleni nie było na łączce, mogły się znajdować w pobliżu, a on miał sposób zwabienia ich i postanowił popróbować niezwłocznie. Położył się więc za krzakiem i zaczął szczekać w najlepsze, naśladując jelenia.

XXX.

CZATY PODWÓJNE.

Niemало czasu upłynęło, zanim Gustaw doczekał się skutku swojego podstępu. Cisza głęboka panowała dokoła, myśliwiec powtarzał raz po raz nawoływania swoje w krótkich odstępach czasu, ale żaden głos podobny mu nie odpowiedział, zaczynał już myśleć, że niema tu co robić, i chciał dalej poszukać szczęścia; raz jeszcze odezwał się, usiłując najdoskonalej naśladować jelenia i zabierał się wreszcie do odejścia, gdy usłyszał nakoniec szczekanie po drugiej stronie łączki. Było słabe i zdawało się bardzo oddalone, ale wyraźnie przesłane

w odpowiedzi na uparte nawoływanie strzelca; należało więc zwabić zwierzę bliżej.

Gustaw nie omieszkał dołożyć starań do tego, zaszczekał znowu i czekał odpowiedzi. Usłyszał ją wkrótce, a tak była podobna do jego własnego głosu, jakgdyby nie on jelenia, lecz ten właśnie strzelca naśladował. Zachęcony tem powodzeniem nie ustawał i raz po raz nawoływał, dobierając głosu jak najstaranniej.

Tymczasem jeleni ucichł, Gustaw nasłuchiwał uważnie, echo nawet mu nie odpowiadało, cisza panowała głęboka. Aż naraz odezwał się lekki, zaledwie dosłyszany szelest w gęstwinie po drugiej stronie łączki, szelest miły uszom myśliwca, gdyż zwiastuje obecność zwierzęcia, przeciskającego się pomiędzy krzakami. Przypatrując się z napięciem, Gustaw spostrzegł w tej stronie poruszające się gałęzie, a nakoniec mignął mu tam przez osłonę liści jakiś przedmiot brunatny, zapewne sierść jelenia. Strzelec nasz nie wyobrażał sobie, aby to mogło być co innego.

Łączka nie miała więcej jak dwadzieścia metrów szerokości, odległość więc nie była wielka, a jeleni ukazywał się za pierwszemi krzakami, jednakże Gustaw nie mógł go dojrzeć wyraźnie, tem bardziej, że słońce nie podniosło się jeszcze wysoko i nie oświeciło



...Gustaw nasłuchiwał uważnie... (str. 118).

doliny, bo ukrywało się za szczytami skał. Dość jednak było widno, aby Gustaw mógł dobrze wycelować, a krzak, za którym zwierstał w tej chwili, miał tylko same cienkie gałęzie, nie było więc obawy, aby one kulę zatrzymały. Myśliwiec nie wahał się dłużej, nie chciał tracić tak dobrej sposobności, przyklęknął więc, broń przygotował, cyngiel opatrzył. A strzelba Gustawa miała cyngiel porządny, jeden z tych cyngliów, co to za najlżejszem poruszeniem dają znać, że sprężyna ich jest w dobrym stanie. To też wśród ciszy głębokiej ten trzask przygłuszony ozwał się tak wyraźnie, że można go było z łatwością dosłyszeć o trzydzieści kroków i dalej; Gustaw nawet obawiał się, aby odgłos nie spłoszył jelenia.

Zwierstał się nie poruszył, tylko z miejsca, gdzie był ukryty, ozwał się trzask zupełnie podobny, jakby cyngla palnej broni, a w tejże samej chwili z jednej i z drugiej strony dał się słyszeć okrzyk przerażenia. Wielkie to było szczęście, że cyngle obu braci przestrzegły ich wzajemnie, bo straszne im groziło niebezpieczeństwo. Każdy ze swojej strony udawał jelenia i zwiódł brata, brali też jeden drugiego za zwiersta i każdy o mało nie strzelił.

Spostrzegłszy straszną pomyłkę, zerwali

się obaj na równe nogi, ale tak byli przestraszeni, że słowa przemówić nie mogli, ani poruszyć się z miejsca. Stali jeden naprzeciw drugiego, trzymając strzelby w rękach, wpatrzeni w siebie, jakgdyby się gotowali do pojedynku. Ktoś, patrzący z boku, byłby ich niezawodnie o to posądził, a straszna bladość ich twarzy, wzrok osłupiały, byłyby go utwierdziły w tem mniemaniu.

Wkońcu jednak obaj bracia przyszli do siebie, a przestrach ich zamienił się w radość najwyższą i wdzięczność dla miłosiernego Boga, który ich ustrzegł od takiego okropnego nieszczęścia, od bratobójstwa. Odetchnęli głęboko, przerywane okrzyki wyrwały się z ich piersi, jednozgodnem wiedzeni uczuciem, rzucili strzelby o ziemię, pobiegli naprzeciw siebie, padli sobie w objęcia i długo ściskali się z niewypowiedzianą czułością.

Spotkanie dwóch braci było zupełnie przypadkowe. Karol poszedł wprawdzie w inną zupełnie stronę, ale ani się spostrzegł, jak zawrócił trochę na lewo, podczas gdy Gustaw znów wziął się na prawo. Obaj wpadli na ten sam pomysł naśladowania szczekania jelenia i wzajemnie się wyprowadzili w pole. Gustaw szczególnie tak doskonale udawał głos zwierza, że Karol dokładał wszelkich usiłowań, aby go wiernie naśladować, co, jak widzieliśmy, po-

wiodło mu się zupełnie i o mało nie stało się przyczyną strasznego nieszczęścia. Ciemny, brunatny ubiór obu braci także przez gęstą osłonę liści mógł ujść za futerko jelenia.

XXXI.

HASŁO INDUSA.

Dwaj bracia tak byli wzruszeni, że zapomnieli nawet o głodzie, gdy gwizd przeciągły ozwał się od strony jeziora i myślom ich nadał odmienny kierunek. Było to hasło umówione, którem Ossaro znać dawał, że mu się polowanie lepiej powiodło. Niezadługo dał się słyszeć gwizd powtórny, a echa okoliczne przesyłały je od jednej skały do drugiej. Teraz jednak hasło dochodziło od strony chatki, widocznie więc Indus pośpieszył tam z upolowaną zwierzyną. Na pierwszy odgłos, bracia spojrzeli na siebie znacząco, gdy ozwał się drugi, Gustaw rzekł z uśmiechem:

— Widzisz, Karolu, że Ossaro lepiej od nas obu się sprawił, chociaż miał tylko łuk i strzały, a my nieraz żartowaliśmy sobie z tej broni. Dreszcz mię przechodzi, jak pomyślę, coby się było stało, gdyby strzał którego z nas był uprzedził gwizdawkę?

— Albo gdyby dwa strzały padły były razem — dodał Karol, przyciskając ręką bijące serce—ach, bracie! gdybyś był zginął z mojej dłoni, wolałbym tego nie przeżyć. Ale nie mówmy już o tem, bo to okropne.

— Masz słuszność, dziękujemy Bogu, że nas uchronił od tak straszego nieszczęścia i starajmy się o tem zapomnieć. Śpieszmy teraz do Indusa, ciekawy jestem bardzo, co on tam upolował, czy czworonoga, czy ptaka? ale zawsze jedno z dwojga, prędzej ptaka. Przechodząc koło jeziora, słyszałem zdaleka dziwny krzyk jakiś, właśnie w tej stronie, gdzie poszedł Ossaro. Głos ten jest mi nieznan, ale zdaje mi się, że to ptak być musiał.

— Słyszałem i ja ten krzyk — mówił Karol — a nawet domyślam się potrochu, jakie stworzenie go wydało. Jeżeli przypuszczenie moje się sprawdzi, będziemy mieli śniadanie, któremby sam Lukullus nie pogardził, bo takie właśnie przysmaki zajadał podobno najczęściej. Nie traćmy czasu i idźmy.

Podnieśli strzelby, które im o mało tak okropnego nie splatały figla i, okrążając jezioro, skierowali się do swojej chatki. Zdaleka obaczyli Indusa; siedział na kamieniu przed progiem i trzymał w rękach ptaka. Przepyszne to było stworzenie, a gdy młodzieńcy obaczyli je zbliska, poznali w niem odrazu pawia.

Lecz ptak ten dziki daleko okazalej wygląda od pawi, hodowanych w naszych ogrodach, chociaż i te zachwycają nas bogactwem swych barw jaskrawych, a zwłaszcza przepyszny wachlarzowatym ogonem. Dziki paw jest większy, zgrabniejszy, świetniej zabarwiony, a nadewszystko odznacza się wybornem mięsem, co było obecnie najważniejszą jego zaletą w oczach naszych myśliwców.

Wkrótce też cała powierzchowna świetność ptaka znikła pod palcami Indusa, który niemiłosiernie oskubał przepyszne jego pióra, rzucając je o ziemię z takim lekceważeniem, jakby to było szare pierze najzwyczajniejszej gęsi lub kaczki. Nie zachwycał go wcale w tej chwili, ani przepyszny lazur piórek, pokrywających pierś pawia, ani tęcze blaski jego ogona.

Gdy dwaj bracia nadeszli z próżnymi rękami, Ossaro nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu triumfu. Nie wyrzekł ani słowa, a i ten uśmiech zabłysnął tylko na chwilę, niemniej jednak czuł się dumnym, a Karol i Gustaw spostrzegli to odrazu. Indus nie potrzebował nawet pytać się młodych sahibów, czy polowanie im się udało, wszak żaden nie strzelił, a więc widocznie nie napotkał zwierzyny. On zaś nie potrzebował iść daleko, usłyszawszy krzyk pawia, zaraz zwrócił się w tę

stronę, obaczył ptaka usadowionego na gałęzi i posłał mu strzałę w samą pierś, przepysznie zabarwioną. Ptak spadł natychmiast, a Ossaro pochwycił długie jego nogi i niósł z opuszczonymi skrzydłami i wiszącą wdół głową najpiękniejszego w świecie pawia, tak zupełnie, jak kucharka prostą kurę lub kaczkę, kupioną na targu.

Gdyby mógł był się domyślić, jakie niebezpieczeństwo groziło przed chwilą jego ukochanym sahibom, byłoby go to zapewne wyrwało z jego obojętności; ale młodzieńcy nie mieli czasu opowiadać mu teraz o swoich przygodach, obaj rzucili się gorliwie do skubania ptaka, podczas gdy Ossaro ogień rozpałał, wkrótce też pieczone było na rożnie. Neron pożarł wnętrzności pawia, nie czekając na resztki śniadania panów.

XXXII.

KOZIOROŻEC.

Nasi myśliwi tak się uwinęli ze smakowitem mięsem, i to bez pomocy widelców, że biedne psisko niezbyt się pożywiło resztkami, dostały mu się tylko kości doskonale oczyszczone, nie żałowało też wcale swej przezor-

ności. Obfite i smaczne śniadanie, nietylko fizyczne, ale i moralne siły młodzieńców ożywiło. Zawsze jednak z niepokojem myśleli o kłopotach, które ich czekały z powodu braku prochu. Jak tu teraz zaopatrzyć się w żywność, nie mogąc strzelać do zwierzyny?

A jednak najlepszą na to odpowiedzią było świeżo spożyte śniadanie. Póki Ossaro miał łuk i strzały, nie było czego rozpaczać, a strzał zabraknąć nie mogło, bo Indus sam je sobie sporządzał bardzo zręcznie. Stało więc na tem, że Gustaw umyślił zrobić sobie także łuk i wprawiać się w użyciu tej pierwotnej broni pod kierunkiem Indusa.

Możemy ją najśluszniej nazwać pierwotną, gdyż znana była od czasów najdawniejszych, a i nazwa powszechniej stosowną jest dla niej, bo na całej kuli ziemskiej, we wszystkich częściach świata, dżicy ludzie sporządzają sobie łuki. Mieszkańcy krain tak oddalonych od siebie, że z pewnością nigdy stosunków pomiędzy sobą nie miały, zupełnie jednakowym sposobem naciągają łuki i strzały z nich wypuszczają.

Zaspokoiwszy tedy głód dotkliwy, młodzieńcy nasi, czując się odważniejsi i lepszej myśli, zaczęli się naradzać nad położeniem swoim obecnem. Niedosć było zjeść śniadanie, należało teraz zkolei pomyśleć o obiedzie i o wieczerzy, nietylko na dziś, lecz i na dni

następne. Nie było żadnej pewności, że Ossaro zawsze będzie równie szczęśliwy na polowaniu. Niedawne doświadczenie nauczyło ich, jak to źle jest pozostawać bez żadnych zapasów żywności. Postanowili więc przedewszystkiem obmyśleć środki zaopatrzenia spiżarni na czas dłuższy. Każdy na swoją rękę miał dokładać do tego wszelkich usiłowań.

Tymczasem najpilniejszą rzeczą był obiad dzisiejszy. Zadawano więc sobie pytanie, z czego się miał składać: z ryby, pieczeni, czy pieczystego? Żaden z naszych myśliwców nie wymagał kilku potraw, gotów był jedną się zadowolić, a nawet dużoby dał zato, aby mieć pewność, że ta jedna go nie minie.

Długo więc rozprawiali nad tem, czy pójść ryby łowić wędką, czy wypatrywać drugiego ptaka, pawia, bażanta lub kaczki, czy wreszcie pójść do lasu i czatować na grubszego zwierza? Kwestja ta była jeszcze nierozstrzygnięta, gdy wypadek niespodziewany postanowił o tem bez współdziałania naszych myśliwców, jaką potrawę mieli dostać na obiad. Szczęśliwy ten wypadek dostarczył im zapasów żywności, nie tylko na obiad i wieczerzę dnia tego, lecz na kilka dni następnych i to w takiej obfitości, że mogli nawet i głód Nerona zaspokoić, nie czyniąc sobie uszczerbku.

Młodzieńcy jedli śniadanie na świeżem

powietrzu, siedząc na kamieniach przed swoją chatką. Pogoda była piękna, w cieniu tylko chłód dawał się trochę uczuwać, ale słońce jasno świeciło ponad górami, odbijając się od ubielonych szczytów, i padało wprost na siedzących, rozgrzewając ich swemi promieniami. Nie mieli też i po śniadaniu najmniejszej ochoty powracać do chatki, siedzieli ciągle na tem samym miejscu i naradzali się, jak już wspomnieliśmy wyżej, gdy odgłos osobliwszego rodzaju dał się słyszeć nagle. Było to coś nakształt beczenia kozy, a dochodziło zgóry, jakby z obłoków.

Myśliwi podnieśli oczy i wnet spostrzegli na wierzchołku skały zwierzę czworonożne, którego głos zwrócił ich uwagę. Jeżeli beczenie przypominało kozę, to i o postaci toż samo powiedzieć było można. Bo też w rzeczy samej stworzenie to było dziką kozą. Przyrodnik Karol poznał to od pierwszego rzutu oka, chociaż nigdy przedtem nie widział podobnego zwierzęcia żywego. Dopomogły mu w tem wiadomości jego naukowe, oznaczył też, nietylko rodzinę, ale i gatunek okazu, który mieli przed sobą; był to koziorożec, w języku naukowym zwany *ibex*.

Postać zwierzęcia, barwa jego sierści, a zwłaszcza ogromne rogi, wtył odgięte w kształcie łuku, wszystko to były cechy nie-

wątpliwe; młodzieniec, który z wielkiem zamiłowaniem uczył się zoologii, znał dobrze koziorożca z opisu, a nawet widział go wypchanego w gabinecie, nie mógł więc się omylić.

Indus wiedział tylko tyle, że to była koza dzika, nigdy jednak nie oglądał jeszcze podobnego zwierzęcia, bo pierwszy raz dopiero zapuszczał się na wyżyny himalajskie, koziorożec zaś nigdy nie schodzi w doliny. Gustaw także wiedział doskonale, że ma do czynienia z kozą, nie umiałby był jednak oznaczyć jej gatunku.

Koziorożec stał nieruchomo na samym cyplu skały i wyglądał wspaniale, można go było obejrzeć od stóp do głowy. Zwierzę to znacznie jest większe od kozy domowej, lecz myśliwym naszym wydawało się w tem wielkiem oddaleniu tak małe, jak kozłátko. Przez chwilę wpatrywali się w nie w milczeniu, potem Gustaw pochwycił strzelbę i chciał mierzyć, gdy towarzysze go powstrzymali, przekładając, że nigdy z takiej odległości trafić nie zdoła. Skała, na której stał w tej chwili koziorożec, miała najmniej czterysta stóp wysokości.

Młodzieniec zrozumiał i sam po chwili, że szaleństwem byłoby marnować resztki prochu, skoro nie mógł dosięgnąć tej ponętnej zwierzyny. Nie zapomniał przecież, że miał już

tylko dwa wystrzały i należało je roztropnie zużytkować.

XXXIII.

KOZY I OWCE.

Trzej młodzi myśliwi nie spuszczały z oczu zwierzęcia, które stało ciągle nieruchome i nie myślało się oddalać ze swego stanowiska na cyplu skały. Wyglądało tam zupełnie, jakgdyby chciało się im przedstawić w całej okazałości, lub malarzowi pozowało do portretu. Karol nie omieszkał skorzystać ze sposobności, aby udzielić towarzyszącej niektórym szczegółów naukowych o koziorożcu i jego rodzinie.

— Zwierz ten—mówił młody przyrodnik—znany był od czasów bardzo dawnych i najrozmaitsze o nim bajki opowiadano. Koziorożec, tak postacią powierzchowną, jak i obyczajami, zbliża się zupełnie do naszych kóz domowych. Wiadomo, że kozy hodowane bardzo się różnią pomiędzy sobą, możnaby naliczyć mnóstwo odmian odrębnych tych pożytecznych zwierzątek; w każdej niemal okolicy wyglądają inaczej. Różnice te są prawie tak wybitne, jak w liczonym rodzie psów. Stąd powstała wielka niepewność co do pochodzenia kóz domowych, niewiadomo, od którego dzikiego gatunku

wzięły początek, i uczeni są pod tym względem w niemalym kłopotcie.

— I dotąd nie potrafili tych wątpliwości rozjaśnić?—zapytał Gustaw.

— Prawdopodobnie—mówił dalej przyrodnik — kozy domowe, hodowane u najrozmaitszych ludów, nie pochodzą od jednego, ale od kilku dzikich gatunków. Tak samo i owce, w tak licznych trzodach utrzymywane we wszystkich krajach cywilizowanych, początek swój wiodą od różnych owiec dzikich.

— A więc jest kilka gatunków dzikich kóz?—zapytał Gustaw.

— Przyrodnicy liczą ich ze dwadzieścia — odrzekł Karol—nie wszystkie jednak dokładnie są znane; może też niektóre, za osobne gatunki uważane, są tylko odmianami, a może w głębi puszczych nieznanymi Azji i Afryki środkowej przebywają gatunki, których oko europejczyka nigdy nie widziało. Pedantyzm uczonych zaprowadził ogromny zamęt w klasyfikacji kóz dzikich. Nieraz usiłowano utworzyć nowy rodzaj i nowy gatunek tam, gdzie różnica polegała na nieznacznej wypukłości szczęki, lub odmiennej barwie sierści. Podzielono rodzinę kóz na pięć rodzajów, a ponieważ niektóre z nich mieszczą w sobie tylko po jednym gatunku, więc namnożono tylko tym sposobem dużo nazw niepotrzebnych i utrudnio-

no niezbyt już i tak łatwe rozpoznanie kóz dzikich.

Gromadka kóz, do której koziorożec należy, stanowi rodzinę oddzielną, zaliczoną obok pokrewnych sobie rodzin owiec, jeleni, antylop, do rzędu pochworogich. Pomędzy owcami i kozami dzikimi jest nawet znaczne podobieństwo, i nie rozpoznałibyśmy ich tak łatwo po futrze, jak każda gospodyni rozpoznaje po wełnie domową owieczkę od takiejże kozy. W stanie natury jedne i drugie miewają niekiedy wełnę długą i miękką, a czasem krótką sierść, jak u jeleni.

Ale wtenczas nawet, gdy oba gatunki powierzchowną postacią zupełnie się do siebie zbliżają, różnią się jednak znacznie usposobieniem i obyczajami. Owca jest zawsze łagodniejsza, trwożliwsza od kozy, chociaż w stanie natury nie bywa tak niedołączna, jak hodowana. Koziorożec, którego tu widzimy przed sobą — mówił dalej przyrodnik, wskazując zwierzę, które stało ciągle nieporuszone na cyplu skały — nie jest jedynym himalajskim gatunkiem. Drugi, większy nieco, zwany przez krajowców *tahir*, przytrafia się także w tych górach, a pewny jestem, że w niedostępnych puszczech, nietkniętych stopą wędrowca, kryją się jeszcze i inne.

W Alpach są także koziorożce. Niemcy

nazywają je kozłami skalnymi, *Steinbock*. Pirenejskie noszą nazwę miejscową *tur*, a na Kaukazie zowią je *zak*. Zwierzęta te przebywają także i w górach afrykańskich, lecz mało są dotąd znane. Wszystkie jednak mniej więcej podobne są do siebie. Pewien uczony podróżnik opisał bardzo dokładnie koziorożce himalajskie, które tu na miejscu oglądał; wszystkie szczegóły, zebrane przez niego, są zatem najpewniejsze; a ponieważ je pamiętam doskonale, więc podobno najlepiej zrobię, jeżeli je powtórzę. Słuchajcie więc.

„Koziorożec samiec, powiada ów podróżnik, znacznie jest większy od kóz domowych, sierść jego bywa zwykle jasno brunatna, zaraz po wylenieniu przybiera odcień popielatawy. Zdarzało mi się także parę razy napotkać młode samce i samice, mające sierść czerwonawą, tak prawie, jak u jeleni, stare jednak zawsze są ciemniejsze, zapewne dlatego, że zwykle przebywają na miejscach bardzo wysokich, gdzie temperatura jest niska, i z tego powodu lenieją w porze późniejszej“.

„Sierść koziorożca jest krótka, bardzo zbliżona do wełny dzikich owiec, a w czasie mrozów zimowych skóra ich porasta jeszcze innym włosem, króciutkim, lecz miękkim i puszystym, podobnym bardzo do tej wełny owczej, z której robią szale w Tybecie. W maju i czerwcu

zwierzęta tracą jedną i drugą sierść, a w okolicach, gdzie koziorożce snują się licznymi stadami, krzaki i krawędzie skał bywają pokryte kosmykami tej wełny“.

„Główną ozdobą koziorożca są wspaniałe rogi; u samca rogi te, zaokrąglone łukowato ponad plecami, dochodzą czasem metra długości, a obwodu miewają do dwudziestu ośmiu centymetrów przy nasadzie. Zdarzało mi się nawet widzieć dłuższe jeszcze rogi, ale te już należą do osobliwości. Samiec ma długą, czarną, rozstrzępioną brodę, dochodzącą dwudziestu centymetrów długości. Mniejsza przynajmniej o trzecią część od samca, samica ma także sierść brunatną, zwykle jednak jaśniejszą; rogi jej ~~do~~ dochodzą najwyżej trzydziestu centymetrów długości“.

„Zwierzęta te są nadzwyczaj zgrabne i zwinne. Latem wdrapują się na wysokie szczyty, szukając paszy, i często dalekie odbywają wędrówki. Jak tylko śniegi topnieć zaczynają, koziorożce opuszczają zimowe swoje siedliska w dolinach i wędrują po stokach gór, kiedy niekiedy zatrzymując się dłużej w miejscach, gdzie obfitsze znajdują pożywienie“.

„Samce zbierają się w osobne gromadki, czasem dość liczne, i wspinają się na najwyższe góry. W dzień, gdy słońce przygrzewa, tam zwykle spoczywają, kładą się na śniegu, albo

na skałach nagich, na takich wyżynach, gdzie już żadnej roślinności niema. Rzadko kiedy zasypiają na pastwiskach. Dopiero gdy wieczór nadejdzie, spuszczaają się niżej i wędrują tak czasem bardzo daleko, przebywając po kilka mil. Z początku postępują powoli, ale jeśli mają długą drogę przed sobą, zaczynają biec kłusem, i czasem widzieć można stada całe, cwałujące tym sposobem po stokach gór“.

„Krajowcy utrzymują, że stada samców spędzają całe lato na takich wyżynach, aż do października; wówczas dopiero powracają na niższe miejsca, na leże swoje zimowe. Samice mniej są skłonne do włóczęgi, wędrują także, ale nigdy się nie wspinają na takie wyżyny i rzadko bardzo przekraczają granicę roślinności. Miewają zwykle po dwoje małych koźlątek, które przychodzą na świat w lipcu“.

„Koziorożec jest nadzwyczaj tchórzliwy, wzrok ma bardzo bystry i węch doskonały; czujny na najlżejszy szelest, umyka z błyskawiczną szybkością. Na odgłos strzału, całe stado pomyka w susach potężnych na góry. Sam widok człowieka je przeraża, nieraz w podróżach moich miewałem tego dowody. Raz pamiętam spostrzegłem zdaleka liczną gromadę koziorożców, pasącą się w dolinie; było ich tam pewnie ze sto. Słońce zniżało się ku zachodowi, byliśmy dość daleko od naszego obo-

zu, roztropność nakazywała powracać na nocleg, ale widok koziorożców w taki zapał nas wprawił, żeśmy o roztropności zapomnieli“.

„Zaczęliśmy się skradać do nich, pełzając po ziemi. Możemy nie zachowali dostatecznej ostrożności, bośmy się śpieszyli z powodu spóźnionej pory, dość, że jeszcześmy nie zdołali zbliżyć się na odległość strzału, gdy już kilku samców przewodników nas dostrzegło, i całe stado uciekło, jak szalone“.

„Ponieważ nie mieliśmy czasu do nich strzelać i nie wyrządziliśmy im żadnej krzywdy, więc mieliśmy nadzieję, że je dnia następnego zastaniemy na tem samem pastwisku; ale daremnie szukaliśmy stada naszego i tam, i wszędzie w pobliżu, wyniosło się gdzieś dalej, spłoszone naszym widokiem“.

„Koziorożec z nadzwyczajną zręcznością drapie się na strome góry i przeskakuje ogromne przestrzenie, z jednej krawędzi skały na drugą. Dawniej opowiadano, że zawiesza się czasem rogami na wystającej skale i buja cały w powietrzu, ale to jest bajeczka. Niemniej jednak wędrowni jego po najniebezpieczniejszych miejscach bywają często zadziwiający“.

„Warto widzieć, jak stado, spłoszone wystrzałem, sady przez urwiska, wspina się na skały, wznoszące się prostopadle w górę, to znów spuszcza się z szybkością strzały po

gruncie, pokrytym kamieniami, które za naj-
lżejszem poruszeniem staczają się w przepaść,
lub po miękkim piasku, gdzie stopa innego
zwierza grzęźnie i w głąb zapada. Nieraz ko-
ziorożec znika nagle, jakgdyby runął w prze-
paść, i po chwili ukazuje się dalej i pędzi cią-
gle, nie zatrzymując się ani na jedno mgnienie
oka, przebywając czasem po piętnaście mil na
godzinę. Widok ten dziwne wywiera wrażenie;
kto go raz miał przed oczyma, nie zapomni
go nigdy. Nie znam ani jednego zwierzęcia, któ-
reby dorównało chyżością biegu koziorożcom”.

XXXIV.

W A L K A.

Zaledwie Karol zakończył to opowiadanie,
gdy koziorożec, jakby chcąc ich zapoznać le-
piej jeszcze ze swojemi obyczajami, wyprawił
przed ich oczyma nadzwyczaj ciekawe i malow-
nicze widowisko. Ujrzeli naraz drugiego ko-
ziorożca, idącego wprost ku pierwszemu. Był
to także samiec, łatwo to mogli poznać po dłu-
gości rogów i rozmiarach całej postaci, obaj
podobni byli do siebie, jak bracia rodzeni.

A jednak wcale nie po bratersku spoglą-
dali na siebie, nowy przybysz zwłaszcza oka-

zywał widocznie uczucia bardzo nieprzyjazne, szedł z głową pochyloną, pysk wsunął pomiędzy przednie kolana, brodą dotykał piersi, a rogi nastawił końcami naprzód. Ogonek miał podniesiony do góry i potrząsał nim gwałtownie, co u każdego dzikiego zwierzęcia jest nieomylną oznaką gniewu.

Pomimo ogromnego oddalenia, myśliwcy nasi widzieli to wszystko doskonale, bo postacie koziorożców, stojących na szczycie skały, rysowały się najwyraźniej na jasnym błękitnie nieba, mogli więc śledzić wszystkie ich ruchy. To też poznali odrazu, że zwierz, który się zbliżał w tej chwili w groźnej postawie, miał zamiar wpaść z nienacka na pierwszego, zadumanego na krawędzi skały, i zrzucić go w przepaść.

Zdradziecki ten pomysł byłby mu się może i powiódł, gdyby pierwszy koziorożec pozostał był jeszcze parę minut w swej nieruchomości i nie spostrzegł zbliżenia nieprzyjaciela. Wmieszanie się Gustawa opóźniło na chwilę nieuniknioną jego zgubę. Na widok zdrajcy, zbliżającego się podstępnie od tyłu, młodzieniec nie mógł powstrzymać okrzyku oburzenia. Zwierz nie rozumiał zapewne znaczenia tego odgłosu, ale ocknął się z zamyślenia i rzucił oczyma dokoła. Jedno mgnienie oka wystarczyło mu nato, aby dostrzec niebezpieczeń-

stwo i przedsięwziąć środki obrony. Z błyskawiczną szybkością podniósł się na tylnych kopytach, wykręcił się, jakby na śrubie, i stanął znów na czterech nogach wprost naprzeciw napastnika. Nie myślał wcale uciekać, spojrzał mu śmiało oko w oko i wyzywał do walki.

Trzeba przyznać, że ucieczka była w tej chwili dla niego niemożliwą. Urwista skała, na której ukazał się naszym myśliwym, wysuwała się wąziutkim cyplem ponad doliną, a nieprzyjaciel zagradzał mu jedyną drogę odwrotu. Musiał więc rad nierad przyjąć walkę; okazał się mężnym z konieczności.

Wściekle chrapanie wyrывało się z gardła obu zapaśników, wspięli się na tylne nogi i stanęli naprzeciw siebie, mierząc się groźnie oczyma. Myśliwi przypomnieli sobie w tej chwili walki kozłów domowych, których nieraz byli świadkami. Podczas gdy barany rzucają się na siebie zwyczajnym sposobem, stojąc na czterech nogach, kozły podnoszą się naprzód dęba i tym sposobem spadają całym ciężarem jeden na drugiego, uderzając się wzajemnie wystawionemi rogami.

Koziorożce powtarzały po kilkakrotnie ten manewr, podnosiły się na tylne nogi i wściekle się tłukły rogami, lecz wkrótce zwycięstwo przechyliło się widocznie na stronę napastni-

ka. Stanowisko jego było daleko dogodniejsze; drugi, stojący na wąskim cyplu skały, nie mógł się prawie poruszyć, musiał się ciągle mieć na ostrożności, aby nie runąć w przepaść. Tamten zaś najswobodniej cofał się wtył i z nowym rozpędem rzucał się naprzód, stąpał śmiało, nie mając się czego obawiać, podczas gdy nieszczęśliwy jego przeciwnik czuł się ciągle zawieszonym nad przepaścią, w którą jeden ruch nieostrożny mógł go wtrącić. Bronił się zawzięcie, byłby może i zemknął, zrzuciwszy pychę z serca, gdyby ucieczka była możliwą; miał na to jeden tylko sposób, zuchwały, rozpaczliwy: przywiedziony do ostateczności, próbował przeskoczyć potężnym susem przez łeb nieprzyjaciela.

Ale szalony ten pomysł przyśpieszył tylko jego zgubę. Nieszczęśliwy koziorożec uniósł się, jak ptak prawie, w powietrze, tymczasem drugi pochwycił go na rogi i podrzucił gwałtownie. Zwierz pokonany okręcił się ponad przepaścią, uderzył kilkakrotnie o krawędzie skały i runął wkońcu całym ciężarem w głąb doliny, a martwe jego ciało raz jeszcze, jak piłka kauczukowa, odskoczyło wgórę i opadło bez ruchu na ziemię.

Upłynęło kilka sekund, zanim młodzi myśliwi opamiętali się ze zdziwienia i zdołali sobie zdać sprawę z tego, co się stało przed ich

oczyma. Wypadki podobne wydarzają się jednak bardzo często w górach himalajskich, gdzie przebywają liczne gromadki koziorożców i innych zwierząt podobnych. Zacięte walki pomiędzy samcami, kozłami lub baranami dzikimi, odbywają się zwykle na brzegach strasznych przepaści i kończą się straceniem przeciwnika w otchłań głęboką. Niezawsze jednak zwyciężony ginie tym sposobem, nieraz koziorożec lub baran, spadłszy z niezmiernej wysokości, podnosi się w najlepsze i dalej bieży. Nieraz też zapewne, przy drugim spotkaniu, odda za swoje i pomści się na nieprzyjacielu. Pewien wiarogodny podróżnik opowiada, co następuje:

„Byłem świadkiem zdarzenia tak nadzwyczajnego, że nigdybym w nie nie uwierzył, gdybym go na własne oczy nie widział. Strzeliłem do kozła stojącego na skale, o osiemdziesiąt metrów przynajmniej wyżej ode mnie. Trafiłem go, spadł jak piłka z ogromnej tej wysokości, ale zapewne lekko był tylko raniony, gdyż, odskoczywszy nagle, począł uciekać, a chociaż goniliśmy za nim i widzieliśmy ślady krwi na znacznej przestrzeni, znikł nam jednak z oczu, i nie dowiedzieliśmy się nigdy, co się z nim stało“.

Widziano także wypadki podobne w Ameryce, gdzie w górach skalistych żyją dzikie

owce, tak podobne do azjatyckich, że niektórzy przyrodnicy uważają je za dwie odmiany tegoż samego gatunku. Baran amerykański, uciekając przed myśliwcem, skacze nieraz z ogromnych wysokości, pada na nogi, odskaakuje jakby na sprężynie i znów staje na nogi, nie ponosząc żadnego szwanku. Wszystkie zwierzęta górskie z rodziny kóz i owiec umieją podobne sztuki łamane wyprawiać. Opatrzność każde zwierzę opatrzyła takimi zdolnościami i przymiotami, jakie mu są najpotrzebniejsze w warunkach, w których życie pędzi.

Koziorożec, leżący u stóp skały w niewielkiej odległości od naszych myśliwych, nie podniósł się jednakże, spadł on z wysokości za nadto wielkiej, miał kości pogruchotane, rogi połamane, jednym słowem, były to już tylko martwe szczątki biednego zwierza.

XXXV.

ORŁY BIRKUTY.

Wypadek ten był gratką nielada dla naszych myśliwców, zwierzyna spadła im z nieba w nagłej potrzebie, zupełnie jak manna na puszczy Izraelitom.

— Mamy obiad gotowy! — zawołał Gustaw

uradowany — a nietylko obiad, ale i wieczerzę i zapasy żywności na tydzień przynajmniej.

Trzej towarzysze zerwali się i biegli co prędzej chcąc zabrać koziorożca, gdy usłyszeli krzyk dziwny, który się odzywał z wierzchołka skały i powtórzył się kilka razy. W pierwszej chwili sądzili, że to był okrzyk triumfu zwycięzcy, lecz omyłka ta niedługo trwała. To nie mógł być głos czworonożnego zwierzęcia, wkrótce też naocznie się o tem przekonali.

Koziorożec zwycięzca stał ciągle na wierzchołku skały; spoglądał zapewne na pokonanego przeciwnika, pysznił się swoim dziełem. Strąciwszy go w przepaść, sam teraz zajął jego miejsce na skraju urwiska. Usłyszał on także wrzask przeraźliwy, który się obił o uszy myśliwców, i obejrzał się dokoła, widocznie strwożony.

Młodzieńcy podnieśli oczy w górę, ujrzeli wysoko w powietrzu ponad koziorożcem dwa punkty ciemne, a gdy się niżej spuściły, rozpoznali duże, wysmukłe ptaki, prawie zupełnie czarne. Były to ptaki drapieżne, okazałe orły birkuty. Spuszczały się powoli, zakreślając w powietrzu kręgi coraz mniejsze i powtarzając od czasu do czasu przeraźliwe swoje okrzyki. Łatwo było domyślić się z ruchów ich i z tego wojennego hasła, że się wybrały na łowy i miały zdobycz upatrzoną. Zdobyczą tą był właśnie koziorożec.

Nieborak odgadł także mordercze zamiary ptaków i tak był przerażony, że zupełnie głowę stracił. Nie miał już teraz tej pysznej, zwycięskiej postawy, z jaką spoglądał przed chwilą na trupa przeciwnika; pochylił się, skurczył, nie uciekał, jakgdyby go przestraszył. Drapieżne orły naumyślnie krzyczały tak przeraźliwie, aby wyrzeć na nim takie wrażenie, i doskonale im się powiodło.

Młodzińcy wlepili oczy w aktorów tego nowego dramatu i śledzili wszystkie poruszenia ptaków i koziorożca. Wcale się nad nim nie litowali, przeciwnie, uważali, że zasługiwał na tę srogą karę za okrucieństwo, z jakim zamordował podobną sobie istotę. Zapisano było zapewne w księgach przeznaczenia, że morderca zginie także niezwłocznie śmiercią gwałtowną, ale myśliwi spodziewali się obaczyć długą i zaciętą walkę pomiędzy nim i drapieżnymi ptakami. Tymczasem wszystko się zakończyło bardzo prędko. Nie upłynęła i minuta od chwili, gdy pierwszy krzyk orłów dał się słyszeć, a już oba spadły na skałę i rzuciły się na koziorożca, bijąc go z całej siły dziobami i pazurami. Zwierz ukrywał się prawie pod obszernymi ich skrzydłami, a gdy się z nich wydobył na chwilę, nie próbował nawet uciekać i bronił się bardzo słabo. Napaść za-

skoczyła go niespodzianie, a przestрах odebrał mu siły i przytomność.

Kiedy niekiedy wspinał się na tylne nogi i nastawiał rogi, ale orły wtenczas zwinnie odskakiwały na bok i z nową zajadłością nacierają nań z tyłu. Nedorzeczne to było z jego strony, gdyby był stał mocno na czterech nogach, łatwiejby mógł napastników odpierać, ale zwierz trzymał się odwiecznego obyczaju swego rodu. Każdy kozieł taką postawę przybiera do walki, zawsze staje na tylnych kopytach, gdy ma przed sobą nieprzyjaciela.

Walka ta, jak wspomnieliśmy wyżej, trwała bardzo krótko; koziorożec stał wyciągnięty, jak struna, miał właśnie ochotę ugodzić rogiem w pierś birkuta, zamierzył się dzielnie, gdy ptak rzucił się zajadle na niego, ostrym dziobem pochwycił go za gardło i łeb mu wtył odrzucił. Uderzył przytem szponami po oczach zwierza, odurzył go i oślepił. Koziorożec stracił równowagę, zachwiał się, przechylił ponad krawędzią urwiska i spadł w tę samą przepaść, w którą wtrącił niedawno nieszczęśliwego swego krewniaka.

Młodzieńcy sądzili, że już wszystko było skończone, ale najciekawsza część widowiska miała się jeszcze rozegrać na dole. W chwili, gdy zwierz spadał ze skały, drugi orzeł rzucił się na niego z błyskawiczną szybkością, za-



W chwili, gdy zwierz spadał ze skały, drugi orzeł rzucił się na niego z błyskawiczną szybkością... (str. 144).

trzepotał skrzydłami i ostre szpony zanurzył w jego brzuchu. Spadli tak razem na ziemię, koziorożec widocznie już nie żył, orzeł go nie odstępował, ale co dziwniejsza, wyglądał jakiś niespokojny, rozkładał skrzydła, poruszał się na wszystkie strony, pokrzykiwał, nie były to jednak okrzyki triumfu.

Młodzieńcy przyszli wreszcie do przekonania, że birkut pomimowoli siedzi na szczątkach swej zdobyczy i że sam teraz stał się ofiarą. Zbliżywszy się, obaczyli w rzeczy samej, iż ptak nie mógł wyrwać pazurów, które ugrzęzły w skórze koziorożca i uplątały się w długie kosmyki jego wełny. Trzepotał skrzydłami, wyciągał nogi z całej siły, wszystko nadaremnie. Im więcej się wyrwał, tem silniej go te więzy uplątały. Piękna wełna koziorożca, z której wyrabiają szale kaszmirowe, nadzwyczaj jest mocna.

Wkońcu ptak wyrwał pazury, całe obmontane w kosmyki sierści, niewiele jednak na tem zyskał, bo w tejże samej chwili uwiązał go silniej jeszcze sznurkiem Ossaro. Drugi orzeł przyleciał na ratunek towarzysza, zaczął krzyżeć przeraźliwie i miał wielką ochotę skakać do oczu naszym myśliwcom. Na szczęście wszyscy mieli broń w ręku i odpychali go kolbami; niebezpieczniejsze było położenie Nerrona, który zębami mógł się tylko bronić, gdy

zawzięty ptak rzucił się na niego. Nie byłby sobie pewnie dał rady z tym groźnym napastnikiem i przypłaciłby stratą oka a nawet pary oczu walkę z drapieżnym birkutem, gdyby Ossaro nie przyszedł mu w pomoc, przesywając strzałą pierś ptaka. Strzała ta nie zabiła birkuta odrazu, Indus musiał go jeszcze dobić kilkakrotnem uderzeniem włóczni. Neron patrzył na to zdaleka, warczał tylko i zęby pokazywał; widok straszliwych szponów i ostrego dzioba na dobre przestraszył poczciwego pieska.

XXXVI.

NOWE NADZIEJE.

Karol pierwszy zwrócił uwagę towarzyszy, że w tych wszystkich wypadkach, które ich tak obficie zaopatrzyły w żywność, znać było rękę Opatrzności. Gustaw, który nie miał zwyczaju głębiej się zastanawiać nad niczem, spowaźniał nagle na te słowa brata, a i Ossaro, chociaż nie był chrześcijaninem, przyłączył się do nich, aby dziękczynną modlitwę przesłać Temu, który tak widocznie czuwał nad nimi.

Potem wszyscy trzej zaczęli się przypatrywać koziorożcom i orłom. Czworo tych zwierząt tak niedawno jeszcze bujało swobodnie

poza murami ich więzienia; wszystkie przybyły z tego świata, do którego oni tęsknili daremnie, już to samo czyniło je dla więźniów zajmującymi. Cóżby dali za to, żeby mogli posiadać potężne skrzydła birkutów! Z jakąż radością opuściliby natychmiast tę rozkoszną ustroń, która się stała dla nich prawdziwą łez doliną! Z jakim pośpiechem przekroczyliby wał olbrzymi, śniegiem ubielony, oddzielający ich od reszty ludzi!

Podczas gdy smutne te myśli snuły im się po głowie, nagle czoło przyrodnika się rozjaśniło, widok żyjącego ptaka natchnął go jakąś nową, niewyraźną nadzieją, z której nie umiał sobie nawet dokładnie zdać sprawy. Ale jak tonący chwyta się źdźbła słomy, tak Karol pochwycił ten pomysł i podzielił się nim z towarzyszami.

Birkut ma skrzydła ogromne, mięśnie nadzwyczaj silne, należy do gatunku największych i najpotężniejszych orłów, a orzeł nie darmo zwany jest królem ptaków.

— Patrzcie — mówił Karol, wskazując uwięzowanego ptaka — gdybyśmy go wypuścili, poleciałby jak strzała do góry, w kilka sekund dosięgnąłby szczytu skał i mógłby unieść...

— Co takiego? — zapytał Gustaw, przerywając bratu, który zdawał się wahać — nie

sądzisz przecież, żeby mógł unieść którego z nas?

— Nie — odpowiedział przyrodnik — ale uniósłby może sznur długi, po którym później moglibyśmy wszyscy...

— Ach, rozumiem! — wykrzyknął Gustaw z uniesieniem radości — to znakomity pomysł, Karolu!

Ossaro nic nie powiedział, chociaż uśmiechał się z zadowoleniem, słuchając rozmowy sahibów.

— Cóż ty o tem myślisz? — zapytał przyrodnik.

Indus odpowiedział bardzo ostrożnie; nie ufał on zbyt w powodzenie szalonego pomysłu, radził jednak popróbować. Próba mogła się nie udać, ale w każdym razie nie zaszkodziłaby nikomu, wykonanie jej także nie przedstawiało żadnych trudności. W dolinie rosło mnóstwo dzikich konopi, mogli z nich otrzymać obfitość przędzy, skrócić sznur porządnym, uwiązać go do nogi birkuta i wypuścić ptaka na tej linii. Nie ulegało wątpliwości, że birkut zwróciłby się natychmiast w górę i uniósłby się ponad szczyty skalistego muru, pobyt w dolinie nie musiał mu wcale smakować.

Pomysł Karola świetnie wyglądał z pozoru,

gdy jednak trzech towarzysze zaczęli się nad nim zastanawiać, nadzieja opuszczała ich stopniowo; prawda, że nadzieja ta na słabej bardzo spoczywała podstawie. Dwie wielkie trudności przedstawiały się odrazu. Najpierw więc zachodziło pytanie, czy birkut, pomimo niepospolitej siły swoich skrzydeł, zdoła unieść sznur takiej długości, aby dostał aż do szczytu skały. Gdyby to była nitka lub jakaś cieniutka tasiemeczka, uniósłby ją zapewne z łatwością, chociażby nawet większą miała długość. Ale tu trzeba było urządzić sznur mocny, któryby udźwignął ciężar człowieka, bo domyślacie się zapewne, że młodzieńcy zamyślali wydrapać się po tym sznurze aż na wierzchołek skalistego wału. Dwieście metrów takiego sznura to był ciężar nielada, czy najsilniejszy orzeł podolałby takiemu zadaniu? Rzecz była wielce wątpliwa.

Drugie pytanie, niemniej trudne (do rozstrzygnięcia, przedstawiało się potem. Przypuściwszy nawet, że birkut uniesie sznur i dosięgnie z nim szczytu skał, jakimże sposobem sznur ten miał być tam umocowany? Młodzieńcy nie już na to poradzić nie mogli, trzeba było spuścić się na los szczęścia. Zapewne, że przypadek mógłby im w tem usłużyć, nie nie było niepodobnego, aby birkut, wydostawszy się na wierzchołek, uplątał sznur w krzakach, lub na ostrych krawędziach skały,

a wtenczas i wędrówka jeńców po tej linie stawała się możliwą.

Należało pokonać naprzód pierwszą trudność, obrachować ciężar sznura i siły ptaka wypróbować, resztę postanowili młodzieńcy zdać na wolę losu, bo też inaczej uczynić nie mogli. Najważniejszą więc rzeczą było urządzenie sznura w taki sposób, aby był jak najcieńszy i najmocniejszy. Indus znał się najlepiej na tej robocie, on też wziął ją na siebie, dwaj bracia mieli mu dopomagać.

Przedewszystkiem jednak trzej towarzysze pomyśleli o przysposobieniu zapasów żywności, aby mogli potem bez żadnej przerwy oddać się pracy. Pokrajali więc mięso obu koziorożców na paski i zawiesili je do ususzenia. Orzeł zabity poszedł niezwłocznie na rożen, i tak dnia tego ptaka Junony spożyli młodzieńcy na śniadanie, a ptaka Jowisza na wieczerzę.

XXXVII.

PRÓBA SIŁ BIRKUTA.

Jak tylko młodzieńcy nasi załatwili się z mięsem koziorożców i ze skórami, które także rozwiesili na tykach do ususzenia, zaraz zabrali się do sporządzenia owej sławnej liny,

mającej ich wyprowadzić z więzienia. Mieli właśnie pod ręką ogromny zapas wybornego przedziwa, którego mogli użyć do tej roboty. Indus przygotował je sobie do robienia sieci i złożył w suchem miejscu. Mieli także sporządzony już przedtem sznur mocny i cienki, ten jednak nie był dość długi, nie dosięgnąłby nawet i do połowy kamiennego wału.

Jak powiedzieliśmy wyżej, najważniejszym zadaniem było przekonać się, czy orzeł zdoła udźwignąć sznur tak niesłychanej długości; wszystko zależało od tego.

— Najlepiej byłoby upewnić się o tem zawczasu — rzekł Karol — pocóż mamy rozpocząć taką ogromną pracę nadaremnie.

— A jakimże sposobem możemy się o tem upewnić? — zapytał Gustaw.

— Ja sędzę, że jest na to sposób — mówił Karol i zamyślił się głęboko, rozważając zapewne ten swój pomysł.

— Nie mogę sobie wyobrazić, jak ty to zrobić zamierzasz — rzekł Gustaw.

— To rzecz bardzo prosta — odrzekł przyrodnik — trzeba tylko zważyć sznur, a potem już łatwo będzie siły orła wypróbować. Lepiej w każdym razie wiedzieć naprzód, czego się trzymać, nim się do roboty zabierzemy.

— Jakże ty sznur zważysz, kiedy go

jeszcze nie mamy? a powiadasz, że zrobisz to przed rozpoczęciem roboty.

— Na to nie potrzeba mieć całego sznura — odrzekł Karol — wiemy, jaką długość mieć powinien, mamy kawałek sznura stosownej grubości, zważymy go i dowiemy się, ile zaważy tamten dłuższy, znamy przecież tabliczkę mnożenia.

— Ależ pamiętaj, braciszku, że nie posiadamy tu nic podobnego do wagi, ani szalek, ani funtów.

— Ba! — odparł Karol z tą pewnością siebie, którą się odznaczają zwykle ludzie wykształceni naukowo — potrafimy to wszystko sami urządzić. Każdy kij, byle prosty i równy, posłuży nam do zawieszenia szalek, a i te jakoś zrobimy, zobaczysz.

— Ależ wagi — mówił dalej Gustaw — skądże tu weźmiesz funta? na to już nie tak łatwo poradzić.

— Zdziwiasz mię, Gustawie; czyż to tak trudno zważyć jakiegokolwiek ciężary i oznaczyć pewną wagę? Mamy tu poddostatkiem kamyków i kawałków drzewa.

— To jeszcze niedosyć... — mówił Gustaw, kręcąc głową.

— Czegóż ci więcej potrzeba? Najpierw sam się zważę.

— Bardzo dobrze — rzekł Gustaw — bę-

dziesz miał tym sposobem pewien ciężar — ale czy potrafisz go rozdzielić na ułamki, urządzić z tego taką wagę, jaką stanowi naprzykład funt, podzielony na łuty?

— Poradzę sobie na to bardzo łatwo — mówił Karol — jeżeli sam stanę po jednej stronie wagi, na drugą nakładę kamyków. Potem rozdzielę je tak, aby utrzymać szalki w równowadze; tym sposobem będę miał połowę własnego ciężaru. Podział tej połowy na dwie równe części da mi ćwierć pierwszej całości, a powtarzając to raz po raz, mogę oznaczyć funty i łuty, bo wiem dokładnie, ile sam ważę, sto czterdzieści funtów, ni mniej ni więcej.

— O, braciszku — rzekł Gustaw, potrząsając głową ze smutnym uśmiechem — mogłeś ważyć sto czterdzieści funtów w Londynie, a i ja także ważyłem prawie tyle, ale nędza i kłopoty teraźniejszego naszego życia musiały nam ująć dużo ciężaru. Widzę na oko, że jesteś teraz daleko szczuplejszy, a i ja zapewne musiałem dobrze schudnąć, nieprawdaż?

Karol przyznał słuszność bratu, nie było co myśleć o oznaczeniu funta prawdziwego.

— Ba — rzekł po chwili namysłu — znajdzie się inny sposób na to, już nawet znalazłem; wszak mamy jeszcze parę kul?

— Ach prawdą! rozumiem..

Wszak każda kulka waży dwa łuty?

— Tak, tak, szesnaście idzie na funt.

— Widzisz, mamy więc najlepszą podstawę do naszego obrachunku — powiedział Karol.

— Teraz i ja przyznaję, że możemy mieć wagi prawdziwe, funty i łuty — odrzekł — rzecz załatwiona.

Zabrano się niezwłocznie do obrachowania, ile zaważy sznur takiej grubości, jak ten, którego spory kawałek był gotowy, jeśli długość jego wynosić będzie dwieście metrów. Nie będziemy tu opowiadali szczegółowo, jakim sposobem dwaj bracia urządzili wagę, dość, że ją urządzili i to tak dokładną, jakgdyby mieli złoto na niej ważyć.

Potem na jednej szalce położyli dwadzieścia metrów sznura, na drugiej pewną ilość kamyków, odważonych już wprzód zapomocą kulek. Oznaczywszy ciężar tych dwudziestu metrów, potrzeba było pomnożyć go tylko przez dziesięć, aby otrzymać wagę całej liny, która miała dosięgnąć szczytu skały. Młodzieńcy mogli już teraz przystąpić niezwłocznie do próby ostatecznej, przekonać się, czy birkut będzie w stanie podobny ciężar udźwignąć. Skały niewszędzie miały jednakową wysokość, ale można było zapomocą sznura skierować lot ptaka w stronę, gdzie były najniższe, a i tak

miałby zawsze sto kilkadziesiąt metrów do dźwigania.

Młodzieńcy wynaleźli wkrótce kłodę drewnianą, mającą ciężar właściwy, uwiązali do niej jeden koniec sznura, drugi przymocowali do nogi ptaka, a potem uwolnili go z więzów, na których był trzymany, i oddalili się nieco, aby mu zupełną swobodę pozostawić.

Birkut, uszczęśliwiony, podleciał szybko i wzniósł się w powietrze w kierunku prawie pionowym. Leciał zrazu z wielką szybkością, a widzowie wydawali okrzyki radości. Lecz radość ta niedługo trwała, niestety! Orzeł przebył przestrzeń dwudziestu metrów, to jest całą długość sznura, lecz gdy ten wyciągnął się, jak struna, nie mógł poruszyć ciężkiej kłody i równie szybko spuszczać się zaczął do ziemi. Potem znów się zatrzymał, zdziwiony tą niespodziewaną przeszkodą, zaczął trzepotać skrzydłami, a odzyskawszy równowagę w powietrzu, wzniósł się po raz drugi.

Ptak widocznie wyteżył wszystkie siły, sznur się wyciągnął, nawet i kłoda uniosła się w powietrze, ale wkrótce opadła, i orzeł spuszczać się zaczął. Nie mogąc udźwignąć ciężaru prosto w górę, ptak latał nisko ponad ziemią, ciągnąc za sobą kłodę, uderzał skrzydłami o skały, kiedy niekiedy unosił nieco ciężar, to znów wraz z nim się usuwał.

Patrząc na to, młodzieńcy ze smutkiem przyjść musieli do przekonania, że birkut nie będzie w stanie podlecieć ze sznurem potrzebnej długości na wierzchołek skał, bo nie brakło mu pewnie ochoty wyswobodzić się z więzienia, a jednak nie mógł tego uczynić. Jednym słowem, przedsięwzięcie spełzło na niczem, trzej towarzysze, zawiedzeni w swoich nadziejach, ze smutkiem spojrzeli jeden na drugiego, to znów śledzili oczyma nieszczęsnego orła, wlokącego kulę u nogi i daremnie próbującego pokonać tę przeszkodę.

XXXVIII.

NOWE USIŁOWANIA.

Trzej młodzieńcy pogrążeni byli w smutnej zadumie, żaden z nich się nie odzywał, nowe to rozczarowanie boleśnie ich dotknęło. Gustaw jednakże mniej był przygnębiony od dwóch innych, chociaż ani brat, ani Indus nie spostrzegli tego i nie zapytali go o przyczynę. Ale Gustaw nie miał ochoty ukrywać pomysłu, który go nową natchnął otuchą, i wkrótce, słuchając jego wywodów, Karol i Indus także się otrząsnęli ze swojego przygnębienia.

Młodzieniec wprawdzie nie wynalazł nic nowego, pokładał on zawsze nadzieję w ptaku

i linie, tylko odmienną obmyślił kombinację, która powodzenie czyniła możliwem. Już od początku całej tej próby Gustaw zastanawiał się nad tem, jakimby sposobem ująć nieco długości sznura, mówiąc innemi słowy, szukał sposobu dopięcia tegoż samego celu zapomocą znacznie krótszego sznura. Nie wspominał nic o tem towarzyszom, bo nie wiedział, na czem się próba zakończy.

Teraz, gdy okazało się, że birkut zawiódł nadzieje, które w nim pokładano, Karol i Ossaro knuli na biednego ptaka najczarniejsze spiski, zamyślali ni mniej ni więcej, tylko włożyć go na rożen. Gustaw jednakże nie przestał jeszcze liczyć na niego, nie chciał króla ptaków na taką nędzną śmierć skazywać, póki życie jego mogło im się na cokolwiek przydać.

— Ciężar jest za wielki — mówił do towarzyszy — ptak nie mógłby podnieść tak długiego sznura, to rzecz oczywista, ale gdyby sznur był o połowę lżejszy, wszystkoby poszło doskonale. Niepodobna jednak robić cieńszego sznura, bo taki nie miałby dostatecznej mocy, sznur musi być koniecznie krótszy.

Temu nikt nie zaprzeczał, ale żaden ze słuchaczy nie mógł zrazu zrozumieć, do czego te wywody prowadzić miały.

— I cóż nam z tego przyjdzie — mówił przyrodnik — jeśli birkut ten krótszy sznur

uniesie? Choćby się z nim nawet dostał najpomyślniej na szczyt skały, choćby go tam przymocował, jakże zdołamy osiągnąć końca sznura, zawieszzonego na kilkadziesiąt metrów nad głowami naszymi?

— A ja ci mówię, braciszku — odparł Gustaw — że go z największą łatwością pochwyćmy rękami.

— Żartujesz, Gustawie, jakimże cudem zdołamy podlecieć tak wysoko? Sam powiadasz, że sznur musi być przynajmniej o połowę krótszy, ażeby go birkut mógł udźwignąć.

— Otóż widzisz, braciszku, choćby był nawet jeszcze krótszy, niż o połowę, zaręczam ci, że go osiągniemy.

Karol spoglądał z podziwieniem na brata widział, że nie żartuje, nie mógł jednak pomysłu jego odgadnąć, ale Indus rzekł z uśmiechem:

— Wiem już, wiem, młody sahib ma na myśli drabiny, nieprawdaż?

— Otóż właśnie, odgadłeś, Ossaro, drabiny nam to ułatwią.

— Ach, teraz i ja rozumiem — rzekł Karol, nie dzielając jednak zapалу brata — myśl jest dobra, i gdyby się udała, nie potrzebowalibyśmy nawet nowego sznura robić, bo ten kawałek będzie dostateczny. Niebardzo ja w to

wierzę, aby ten orzeł zechciał nam w tem dopomóc, spróbować jednak nie zawadzi i nawet odkładać nie potrzebujemy próby.

— Gdzie birkut? — zawołał Gustaw, szukając ptaka oczyma.

— Jest tam—odrzekł Ossaro, wskazując na skałę.

Orzeł siedział spokojnie w szczelinie skały, nie próbował już nawet walczyć z przeszkodą, której pokonać nie mógł. Zdawał się mocno przygnębiony, ale gdy Indus go chciał pochwycić, zerwał się i dalej odleciał. Kłoda, podźwignięta na chwilę, opadła znowu ciężko na ziemię, Indus wziął sznur do ręki i wkrótce biedny orzeł był znowu w niewoli.

Odwiązano kłodę, sznur tylko, w którym młodzieńcy nasi takie pokładali nadzieje, pozostał uwiązany do nogi orła. Ossaro wziął drugi koniec jego do ręki, i ptak, wypuszczony powtórnie, chyżo frunął w górę, a tym razem lot jego, niczem niepowstrzymany, ziścił w zupełności nadzieję Gustawa. Dopiero, gdy cały sznur się wydłużył, a Ossaro szarpnął nim silnie, poznał nieborak, że sobie z niego żartowano, i musiał, jak niepyszny, powracać na ziemię. Nie ulegało wątpliwości, że ptak potrafiłby unieść ten sznur na najwyższy wierzchołek kamiennego wału, może nawet na szczyt góry Czamulari. Szło więc już tylko o to,

aby lot jego skierować w sposób właściwy i młodzieńcy, nie odkładając, wzięli się do dzieła.

XXXIX.

UCIECZKA BIRKUTA.

Należało przedewszystkiem wypróbować moc sznura. Drabiny były gotowe, można więc było niezwłocznie wejść na najwyższą i stamtąd ptaka wypuścić. Z pewnością poleciałby prosto do góry i, gdyby tylko uplątał mocno sznur na jakim cyplu skały, oswobodzenie jeńców było niezawodne. Sama myśl o tem dodawała sił nowym trzem towarzyszom i powróciła im wesołość.

Wiedzieli oni jednak dobrze, iż nie potrafią przebyć tak długiej drogi na sznurze, dopomagając sobie jedynie rękami. Najwprawniejszy i najzręczniejszy majtek nie dokazałby tej sztuki. Inny więc obmyślili sposób, przytwierdzili na sznurze parę deseczek drewnianych, które mogli kolejno wkładać pomiędzy żebra jego, nakształt szczebli drabiny.

Ukończywszy te wszystkie przygotowania, przyjaciele nasi postanowili wypróbować starannie moc liny, której mieli życie swoje po-

wierzyć. Chcieli ją najpierw uwiązać do drzewa i ciągnąć z całej siły wszyscy trzej razem. Karol i Gustaw sądzili, że jeżeli się nie urwie, będzie to dowód dostateczny trwałości sznura, ale Ossaro innego był zdania. Miał on pomysły jeszcze lepszy, dwaj bracia przyznali to jednoznacznie. Indus wdrapał się na drzewo, zabierając sznur z sobą, tam uwiązał go mocno do grubej gałęzi i rzucił drugi koniec sahibom, wołając, aby się obaj razem na nim unieśli. Sznur utrzymał wybornie ciężar obu braci, nie było więc wątpliwości, że utrzyma jednego.

Gdy i ta próba wypadła pomyślnie, Ossaro owinał sznur na lewej ręce, pod pachę prawej wziął ptaka i poszedł prosto do miejsca, gdzie ustawione były drabiny na skałach. Karol i Gustaw szli za nim, na samym końcu biegł Neron. Pochód ten odbywał się z pewną uroczystością i powagą, jak przystało ludziom, którzy tak ważne przedsięwzięcie mieli przed sobą.

Gdyby je byli szczęśliwie doprowadzili do końca, opowiadanie nasze nie potrwałoby już długo; przedstawilibyśmy wam tylko w krótkich słowach wejście triumfalne naszych wędrowców na wierzchołek wyniosłej skały, a raz oswobodzeni z więzienia, pewnieby już dalszych przygód nie szukali.

Niestety! zakończenie owego pamiętnego dnia całkiem było odmienne. W chwili, gdy słońce zniżało się ku zachodowi, trzej myśliwcy, zamiast wędrować wśród śnieżystych wyżyn, powracali ze smutkiem do swojej pustelni, którą opuścili z rana w tej błogiej nadziei, że nigdy jej więcej nie obaczą. Do tyłu zawodów przybył jeszcze jeden, nowe to przedsięwzięcie nie powiodło się lepiej od dawniejszych.

Ossaro puścił się pierwszy na drabinę, trzymając w ręku birkuta, a gdy stanął na ostatnim stopniu, wypuścił ptaka, który rozwinął potężne skrzydła i szybko podleciał, unosząc z sobą długą linę. Indus był pewny, że orzeł skieruje się prosto w górę, a linę zwiesi na skale, stało się jednak inaczej. Birkut zwrócił się nagle w bok, odleciał w stronę przeciwną, wlokąc za sobą linę, i gdyby Indus nie był jej wporę z rąk wypuścił, byłby życiem przypłacił śmiałe swe przedsięwzięcie.

Dwaj bracia, patrząc na to zdołu, sądzili zrazu, że Ossaro nieroztropnie się wziął do rzeczy i mieli żal do niego, ale on łatwo się wytłumaczył z tego zarzutu; gdyby był próbował zawrócić lub zatrzymać orła, nie wyszedłby pewnie cało z tej przygody.

XL.

PARA DRAPIEŻNIKOW.

Trzej towarzysze postępowali w milczeniu, gorycz przepęłniała ich serca, głowy pospuszczali do ziemi, a i Neron także zwiesił uszy i ogon schował pod siebie, dzielając strapienie panów. Gdy ujrzeli przed sobą ubogą chatkę, tę chatkę pustelniczą, którą tyle razy żegnali z nadzieją w duszy, a do której zawsze z nowem rozczarowaniem powracać musieli, dziwne wzruszenie ich opanowało. Karol pierwszy przemówił:

— Dobrze przynajmniej, że mamy jakiegokolwiek schronienie i dach nad głową. Ja zaczynam się przywiązywać do tej poczciwej chatki, zawszeż tu mamy ognisko domowe.

Gustaw nic nie odpowiedział, tylko westchnął głęboko; w tej chwili stanęło mu w myśli inne ognisko domowe, w dalekiej, zachodniej krainie, na ziemi ojczystej. Tej ustroni górskiej, pomimo całej jej piękności, nie mógł nazywać inaczej tylko więzieniem. Nawet i Ossaro przeniósł się myślą do innej okolicy, gdzie stała chatka bambusowa nad brzegiem strumyka, w cieniu palm wyniosłych i różnych pięknych drzew zwrotnikowych.

Milczenie trwało czas jakiś, po wieczery dopiero Gustaw ozwał się trochę weselej:

— Ja jednak nie tracę nadziei, że nam się uda wkońcu obmyślić jakiś sposób wydostania się z tego więzienia. Ten niegodziwy orzeł nie chciał nam w tem dopomóc, ale czy to on jeden umie latać?

— Liczysz więc na innego ptaka?—zapytał Karol—nie widzę tu jednak ani jednego, któryby był w stanie udźwignąć długą linę. Może masz na myśli gęsi, pływające po jeziorze? Pozwól sobie powiedzieć, że ptaki te zaledwie same unieść się zdołają w powietrze, chociaż mają obszerne skrzydła; gdybyś najlżejszy przedmiot do nóg im uwiązał, nie byłyby w stanie latać. Darmo się łudzisz, braciszku, jeżeli w tych gęsiach pokładasz nadzieję.

— Ależ ja wcale nie myślałem o gęsiach—odrzekł Gustaw—zupełnie co innego przyszło mi do głowy...

— Daj pokój — przerwał Karol — niema w całej tej dolinie żadnego ptaka, któryby wyrównał siłą birkutom. Jest tu mnóstwo różnych sokołów, jastrzębi, niektóre są nawet duże i silne, zaręczam jednak, że nie uniosą nawet motka cienkiego szpagatu na wierzchołek skały. Oto właśnie mamy przed sobą najwspanialsze okazy skrzydlatej rzeszy tutejszej; czy widzisz

tę parę drapieżnych ptaków, szybującą w powietrzu?

— To kanie, nieprawdaż?— spytał Gustaw.

— Tak, kanie himalajskie, nadzwyczaj drapieżne i złośliwe stworzenia. Nie spodziewaj się jednak, Gustawie, abyś z nich miał jakąkolwiek pociechę.

— Mniejsza tam o nie — odrzekł Gustaw z uśmiechem — mam ja lepszy pomysł. Ale co te kanie sobie myślą? Czyżby się chciały porwać na Nerona? Nie sądzę, aby mu dały radę.

Ogar siedział spokojnie pod krzakiem o dwadzieścia kroków od chatki, a kanie rzeczywiście krążyły nad nim, zakreślając coraz ciałśniejsze koła, nieprzyjazne ich zamiary były aż nadto widoczne.

— Ja myślę — rzekł Karol — że muszą mieć gniazdo w tych zaroślach i obawiają się, aby pies piskłębom nie wyrządził szkody, chcą go więc odpędzić. Nie zaczepiałyby go bez powodu.

Kanie zbliżały się coraz więcej do psa, krzycząc przeraźliwie i trzepocząc skrzydłami.

— Niezawodnie o piskłęta im idzie — mówił Karol.

— Wcale nie, sahibie — odrzekł Ossaro — co innego im w głowie; Neron zajada kawałek pieczeni z koziorożca, a ptaki chcą mu wydrzeć wieczerzę.

— Czy być może! — zawołał Gustaw — jakże te szalone kanie mogą sobie wyobrazić, że Neron im odstąpi taki smaczny kęs? Poczciwe psisko zajada w najlepsze, nie zważa nawet na tę napaść.

Neron rzeczywiście nie zwracał prawie uwagi na zuchwałych napastników, zawarczał tylko parę razy i spojrział na ptaki z podełba. Gdy jednak zniżyły się tak, że skrzydłami muskały go po oczach, zaczęło go to już niecierpliwieć, warczał coraz głośniejsze i groźniej, a nawet uszy nastroszył i wyszczerzył zęby. Nakoniec walka na dobre się rozpoczęła, a chociaż dzielny pies za nic miał skrzydlatych swych przeciwników, musiał się jednak bronić, gdy ptaki z dwóch stron uporczywie nacierać nań zaczęły. Kanie przypuszczały atak w taki sposób, że gdy jedna skakała psu do oczu, druga znów zachodziła go od tyłu; wzięły więc nieboraka we dwa ognie. Za ledwie miał czas pierwszej zęby pokazać, gdy już i z drugą rozprawiać się musiał.

Ta druga była zuchwalsza i, nie poprzestając na groźbach i wrzaskach, zapuściła ostre pazury w skórę psa i to w najczulsze miejsce, pod łopatką. Tego już Neron znieść nie mógł, wpadł w gniew szalony, rzucił mięso na ziemię i odwrócił się żwawo, aby ukarać napastnicę, jak na to zasługiwała. Ale przebiegła kania



Tego już Neron znieść nie mogli... (str. 166).

umknęła wporę i, zanim pies wystąpił do walki, podleciała tak wysoko, że jej nie mógł do-
sięgnąć.

Neron zawarczał gniewnie i chciał się znów zabrać do przerwanej uczyty, lecz mięsa już nie było na miejscu, gdzie je zostawił. Podczas gdy się na chwilę odwrócił, aby dokuczliwą kanię odpędzić, druga tymczasem pochwyciła mu zręcznie mięso z przed nosa. Biedne psisko w bezsilnej złości spoglądało z łbem podniesionym do góry na parę niecnych rabusiów, ulatujących coraz wyżej w powietrze ze swoją zdobyczą i niknących wśród wieczornego mroku.

XLI.

BIEDNY NERON.

To wydarzenie, w którem Neron tak smutną odegrał rolę, przerwało rozmowę dwóch braci o nowych planach Gustawa. Zapomnieli nawet o swoim strapieniu, patrząc na psa, który tak zabawnie wyglądał, gdy ścigał oczyma ptaki, unoszące w powietrze jego wieczerzę, że niepodobna było powstrzymać się od śmiechu. To też trzej towarzysze serdecznie się uśmieśli.

W oczach biednego psiska malowały się różne gwałtowne uczucia, najpierw zdziwienie

ogromne i smutek, pomieszany ze złością, co wszystko nadawało mu minę nadzwyczaj zabawną. Stał dość długo z łbem podniesionym, jakby nie pojmując dobrze, co się to stało, a dysząc zemstą widocznie. Nigdy zapewne w całym swoim życiu, nawet gdy słyszał nad uchem odgłos trąby słońia samotnika, poczciwy Neron nie żałował tak mocno, że go przyroda nie obdarzyła skrzydłami. Nigdy brak ten nie dał mu się tak dotkliwie uczuć, a gdyby rozporządził w tej chwili różdżką czarodziejską, z pewnością byłby sobie przyprawił parę skrzydeł, niekoniecznie wspaniałych, o piękność mu wcale nie chodziło, ale silnych i chyżych, aby mógł dopędzić niegodziwe kanie, pomścić swoją krzywdę i wymierzyć rabusiom karę do-rażną za tak straszliwe zuchwalstwo.

Wejdźcie tylko w położenie Nerona; słyszał on dotąd z odwagi i waleczności, a dziś sromotnie był ograbiony przez nędzne ptactwo, które za nic sobie ważył. Zdumienie, połączone ze straszną złością, nadawało mu wyraz tak pocieszny, że trudno było patrzeć na niego bez śmiechu. Biedny pies zabawniej jeszcze wyglądał, gdy zwrócił oczy na śmiejących się, iakby im wyrzucał ten brak współczucia. Spojrzenie to, zamiast rozrzewnić młodzieńców, pobudziło ich tylko do coraz głośniejszych wybuchów śmiechu, co zdawało się do rozpaczy

doprowadzać Nerona. Panowie, do których był tak przywiązany, nie mieli nad nim żadnej litości! Nie mógł on na to patrzeć, wzięwszy ogon pod siebie, odbiegł do chatki i ukrył tam wstyd swój i zmartwienie przed oczyma niemiłosiernych panów, którzy drwili z jego niešťczęsnej przygody.

Dziwicie się może tej wesołości młodzieńców, nie pojmujecie, jak mogli się śmiać tak serdecznie, przy tylu zmartwieniach i kłopotach, doznawszy przed kilku godzinami najboleńszego zawodu. Niema w tem jednak nic nadzwyczajnego, dusza ludzka pełna jest sprzeczności podobnych, radość i smutek występują w niej kolejno, jak pogoda i burza w przyrodzie; często po gwałtownych wybuchach zmartwienia, zniechęcenia, następuje bardzo prędko usposobienie całkiem odmienne, spokój i nadzieja powracają niespodzianie i bez żadnego wyraźnego powodu.

Dlaczego? trudno wytłumaczyć, ale Opatrzność postanowiła tak w swej mądrości dla dobra człowieka. Niedarmo wyrzekł poeta: „Wiosna utraciłaby urok swój cały, gdyby trwała nieustannie“. Doświadczenie potwierdza to zdanie nawet w znaczeniu dosłownem. Podróżnicy, którzy przebywali w krainach zwrotnikowych, gdzie wiosna nigdy nie ustaje, liście nie opadają, a kwiaty następują po sobie bez

przerwy, utrzymują jednogłośnie, że nawet ta najpiękniejsza pora roku uprzykrzyć się może. Mieszkaniec stref północnych tęskni tam za zimą, za mrozem i śniegiem, za ostrym podmuchem wichru. Jakkolwiek cudną jest świeża zieloność lasów, z upodobaniem jednak patrzymy na mieniające się złotem i purpurą barwy jesienne, a jasny błękit nieba piękniejszym się nam wydaje, gdy przypomnimy sobie szarą, ołowianą barwę chmurnych obłoków. I dusza ludzka potrzebuje doznać chwil burzliwych, aby pogodę ocenić umiała, nigdy też nie trwa długo w smutku, po najcięższych nawet ciosach następuje zwolna uspokojenie.

XLII.

NOWE NADZIEJE.

Gdy Neron znikł im z oczu, młodzieńcy przestali się śmiać, i dwaj bracia przypomnieli sobie przerwany przedmiot rozmowy.

— Wspomniałeś o tem, Gustawie — rzekł przyrodnik — gdy orzeł nas tak haniebnie zdradził, że moglibyśmy poszukać innego latającego stworzenia, któreby nam dopomogło sznur przenieść na wierzchołek skały. Nie mogę jednak odgadnąć, jakiego ptaka masz na myśli.

— Sam przecież powiedziałaś — odparł Gustaw z uśmiechem — że żaden z ptaków tutejszych nie jest do tego zdatny. Ja też nie o ptaku myślałem, nie o żadnej istocie żyjącej.

— Coraz mniej cię rozumiem, Gustawie.

— Ach, jaki dziś niedomyślny jesteś, braciszku — mówił Gustaw, zawsze uśmiechając się figlarnie — czyż to tak dawno urządzaliśmy razem tę rzecz skrzydłą, latającą, z długim ogonem...

— Latawiec! — zawołał Karol — masz słuszność, duży latawiec mógłby naprawdę unieść linę i łatwiej byłoby kierować nim dowolnie. Ale nie wiem...

— Nie kończ, braciszku — przerwał Gustaw — zgaduję, co chcesz powiedzieć, nie mamy tu papieru na latawca. Otóż to właśnie kłopot, ja także nie wiem, jak z tego wybrnąć. Łatwo jest sporządzić szkielec latawca, i ogon od biedy dałoby się dorobić, ale czem go wykleić, to sęk! O! cóżbym dał za to, żebym tu miał porządną pakę starych dzienników! Na nieszczęście, życzenia niewiele pomogą, a bez papieru latawca nie zrobię.

Karol nic nie mówił, pogrążony był w myślach głębokich, raz po raz dotykał ręką czoła, jakgdyby sobie coś przypomnieć usiłował. A wtem raptem twarz jego się wypogodziła i, wskazując na lasek pobliski, rzekł wesoło:

— Kto wie, może tam znajdziemy ten niezbędny materiał.

— Co, papier?—zapytał Gustaw zdziwiony.

— A tak; bo on w tej strefie właśnie wyrasta.

— Co ty mówisz! — rzekł Gustaw z wzrastającym zdumieniem — papier ma tu wyrastać w tym lesie?

— Jeżeli nie papier—odparł Karol poważnie — to przynajmniej roślina, z której go wyrabiają. Jest to drzewo a raczej krzew duży, zaliczany do rodziny tymiałkowatych. Należy do niej także nasze pospolite wilczelyko. Tymiałkowate rosną w różnych częściach świata, najokazalsze gatunki właściwe są Azji i Ameryce. Najosobliwszym przedstawicielem tej rodziny jest koronkowiec siatkowaty, *Daphne lagetto*, tak przezwany dlatego, że włókna wewnętrznej warstwy jego kory tworzą siatkę, naśladowującą koronkę. Drzewo to dochodzi dwudziestu stóp wysokości, rośnie na Antylach a panie tamtejsze używają tych drewnianych koronek na kołnierzyki, oszycia sukien i różne ozdoby. Za czasów niewolnictwa murzyni, zbiegli od panów i kryjący się po lasach, robili sobie odzienie z koronkowca, a panowie ich sporządzali znów z tych włókien powrozy do wiązania nieszczęśliwych niewolników i bicze, któremi ich smagano.

— I ty sądzisz — mówił Gustaw — że znajdziemy podobne drzewo w tym lesie i zrobimy z niego papier na latawca?

— Niejeden gatunek z rodziny tymiałkowatych ma korę zdatną na papier. Drzewa takie rosną i na przylądku Dobrej Nadziei, i na Madagaskarze, najwięcej jednak napotkać ich można w Chinach i w górach himalajskich. Wilczelyko konopioвате *Daphne cannabina*, zwane w Indjach *bolua*, używane jest w Nepalu do wyrabiania wybornego pakowego papieru. Na przeciwległych stokach tych gór, w Chinach, w Japonji, rosną inne gatunki podobne. Chińczycy z kory drzew tymiałkowatych wyrabiają swój papier żółty, w który owijają herbatę i inne towary, wysyłane do Europy z państwa Niebieskiego. Widzisz więc — mówił dalej przyrodnik, spoglądając w stronę lasu — że wniosek mój jest dość prawdopodobny. Jeżeli wilczelyko, dające materiał na papier, rośnie wszędzie w okolicy gór himalajskich, czemużby się znaleźć nie miało w tej rozkosznej dolinie, gdzie klimat jest zupełnie do tego stosowny, a roślinność wogóle bardzo bogata. Nasiona zwykle są przenoszone przez ptactwo i tym sposobem się rozsiewają, a trzeba wiedzieć, że często trujące dla zwierząt czworonożnych jagody i ziarna bezkarnie bywają spożywane przez rzeszę skrzydlatą.

— Czy widziałeś kiedy takie drzewo, Karolu—zapytał Gustaw—czy pewny jesteś, że je poznasz?

— Jeśli mam prawdę wyznać, nie widziałem go na własne oczy — odrzekł Karol — poznałbym je odrazu po kwiatach, ale na nie szczęście nie spodziewam się, aby kwitło w tej porze roku; może nam się uda znaleźć owoc, a zestawwszy go z liśćmi, łatwiej mi będzie rodzinę drzewa oznaczyć. Liście powinny być lancetowate, gładkie i świecące, do wawrzynowych podobne, bo też rodzina wawrzynowatych zbliżona jest bardzo do tymiałkowatych. I kora wygląda odrębnie, jest mocna i elastyczna. Wszystkie te cechy dopomogą mi do odszukania tego szacownego drzewa. Nie trać więc nadziei, że ci dostarczę materiału do sporządzenia twojego latawca.

— A czy nigdy nie dostrzegłeś podobnego drzewa w lasach tutejszych? — zapytał jeszcze Gustaw.

— Owszem — odpowiedział botanik — prawie pewny jestem, że je widziałem, ale już dość dawno. Przechodziłem przez zarośla niewielkich krzaków, pokrytych kwiatami fiołkowemi, zebranemi w grona wierzchołkowe. Zauważyłem, że kwiaty te, pięknie woniejące, miały jedno tylko okrycie, kielich, lecz brakło im korony. Jest to właśnie cecha rodziny tymiał-

kowatych. I liście także, o ile sobie przypominam, miały kształt taki, jaki przed chwilą opisałem. Nie zwróciłem wówczas uwagi na to wszystko, ale teraz krzaki te tak żywo stoją mi przed oczyma, jakgdybym na nie patrzył, i prawie pewny jestem, że to było wilczelyko.

— Czy pamiętasz przynajmniej, w którym miejscu widziałeś te zarośla? — mówił Gustaw.

— Doskonale—odparł Karol—tam właśnie, gdzieśmy o mało nie strzelili jeden do drugiego.

— Wierzę bardzo, że ci pozostało w pamięci wszystko, coś widział dnia tego. Ale powiedz mi, uczony mój braciszku, naco nam się przyda to papierowe drzewo, jeśli nie potrafimy z niego zrobić papieru? Bo ja nie podejmuję się tej sztuki.

— Ale ja podejmę się z największą chęcią — rzekł Karol — czytałem w jakimś dziele o przemyśle chińskim dokładny opis fabrykacji tego papieru i pamiętam go doskonale. Nie rękę, czy mi się uda zrobić papier taki, na którymby można było pisać, ale do wyklejenia latawca pewnie będzie dobry. Nie potrzebujemy tu papieru listowego w tej pustelni, gdzie poczta nie dochodzi. Ba! cóżbym dał za to, żebym kiedy jeszcze w życiu list z poczty odebrał! Ostatecznie, jeśli zdołam sporządzić choćby najlichszy papier pakowy, będziesz z niego

zapewne zadowolony i nie zażadasz lepszego gatunku.

— Możesz być o to spokojny—powiedział Gustaw z uśmiechem—wolę nawet grubszy, bo będzie mocniejszy. Ale możebyśmy zaraz poszli poszukać tego kochanego wilczego łyka? Jak myślisz, bracie?

— A więc chodźmy — odparł Karol, powstając z wesołą miną.

Wszyscy trzej wyruszyli natychmiast, bo Ossaro słuchał uważnie rozmowy dwóch braci i dzielił wszystkie ich nadzieje. Gdy Neron spostrzegł, że panowie wybierają się na jakąś wycieczkę, przestał się dąsać i, wysunawszy się z kąta, w którym był ukryty, pobiegł zwa-wo za nimi.

XLIII.

DRZEWO PAPIEROWE.

Przeczucia przyrodnika sprawdziły się, ku wielkiej radości całej gromadki wędrowców. Z liści opadłych, zaścielających ziemię dokoła, i z jagód, pozostałych na gałęziach, pomimo pory spóźnionej, poznano z łatwością wilcze-łyko i przekonano się, iż całe zarośla prawie z tych drzew się składały. Ossaro wziął w usta kawałeczek kory, rozgryzł ją i wnet krzyknął

przeraźliwie; doznał takiego uczucia, jakgdyby mu kto wezykatorję przyłożył do języka. Był to nowy dowód, że natrafili na prawdziwe wilczelyko; wszystkie krzewy tego rodzaju mają tę własność, nawet i nasze europejskie wilczelyko.

Karol upewnił towarzyszy, że to był gatunek, zwany *bolua* w Neapolu i używany tam do wyrabiania grubego pakowego papieru; nie tracąc więc czasu, wszyscy trzej zabrali się do roboty. Trzeba przyznać, że bez umiejętnej pomocy botanika Karola Gustaw i Ossaro niewieleby zyskali na odkryciu drzewa papierowego, bo niedość było mieć korę, należało jeszcze wiedzieć, jakim sposobem ją na papier przerobić.

Sądząc z powierzchowności, nikt nie domyśliłby się nawet, że ten krzew więcej od innych nadawał się do tego. Kora niejednego drzewka odmiennego gatunku, odstająca dużymi płatami, była napozór o wiele podobniejsza do grubej tektury, aniżeli kora wilczego łyka, która przy oddzieraniu dzieliła się na wąskie paski. Nigdyby Gustawowi nie przyszło nawet do głowy, że z czegoś podobnego można zrobić latawca.

Ale Karol wiedział dobrze, co mówił, i dwaj towarzysze pod kierunkiem jego rozpoczęli niezwłocznie czynności, które miały tę korę przekształcić i zamienić na papier. Najpierw

więc wszyscy trzej nacięli ogromną ilość kory; nie potrzebowali do tego ścinać pni drzewek, tylko je zręcznie zapomocą nożów ogołacali z kory. Praca ta zajęła im dzień cały, oderwali się od niej tylko na krótką chwilę, aby się posilić zimną pieczeńią koziorożca; dopiero gdy słońce skryło się za wierzchołkiem góry Czamulari, powrócili do swojej chatki, uginając się pod ciężarem ogromnych ładunków kory. Neron biegł za nimi, pokręcając wesoło ogonem, jakgdyby rozumiał, że nowe nadzieje budziły się w sercach jego panów.

Zarośla, przez które przeszli młodzi robotnicy, smutny bardzo przedstawiały widok; na znacznej przestrzeni ani jedno drzewko nie pozostało tam w całości, wszystkie były ogołoczone z kory, a białe ich pnie wyglądały, jak szkielety. Cała trzoda kóz, znanych szkodników, nie sprawiłaby się lepiej.

Nasi młodzieńcy, spracowani, nawet i po powrocie do chatki nie myśleli o odpoczynku, ale zabrali się natychmiast do nowej roboty. Niedosć było nazbierać kory, należało jeszcze papier z niej sporządzić. Noc zapadła tymczasem, pracowali więc przy świetle pochodni. Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że zapas tych pochodni przysposobili dawniej jeszcze z owej sosny, której drewno przesiąknięte żywicą wybornie się do tego nadaje.

Pierwsza czynność z korą była bardzo łatwa, i młodzieńcy mogli się nią zająć wieczorem, bez wielkiego zachodu, polegała bowiem na pokrajaniu kory w drobne kawałeczki. Przy tej robocie ożywiona rozmowa nie ustawała ani na chwilę przez cały wieczór, młodzieńcy żartowali i śmiali się w najlepsze, zapomniawszy o troskach, a marząc o lepszej przyszłości. Gdy już cały zapas kory był pokrajany, zasiedli do wieczerzy, potem spać poszli, postanawiając wstać bardzo rano i zabrać się tak gorliwie do pracy, aby jak najprędzej się załatwić z przysposobieniem papieru.

Dnia następnego robota naszych młodych przyjaciół była już znacznie mniej uciążliwa, wymagała tylko cierpliwości. Idąc za wskazówkami Karola, należało teraz korę, w drobne kawałki pokrajaną, włożyć do kotła, przysypać popiołem i zalać wodą, a następnie gotować przez kilka godzin. Nasi fabrykanci nie posiadali ani kotła, ani garnka nawet, i byłiby się znaleźli w niemałym kłopotcie, gdyby nie pewna szczęśliwa okoliczność, o której nie wspomnieliśmy dotąd.

Wpobliżu chatki, w zagłębieniu skały, tryskało źródło wrzącej wody. Musiało mieć zapewne lecznicze jakieś własności, ale o to nie szło wcale młodzieńcom; dotychczas wcale nie korzystali z gorącego źródła, Ossaro tylko

zanurzał w niem ptactwo przed oskubaniem. Teraz jednak przydało się bardzo, chociaż nie wszystkie trudności odrazu były pokonane. Mieli wprawdzie wodę wrzącą, ale niedość było oblać nią korę, Karol twierdził bowiem, że musiała czas jakiś w niej pozostać, aby należycie zmiękła i zmieniła się w rodzaj miazgi. Zawsze więc naczynie jakieś było w tym razie rzeczą nieodzowną. Tymczasem woda z gorącego źródła wyciekała nieustannie nazewnątrz, tworzyła bystry strumyczek i ostatecznie wpadała do jeziora. Gdyby więc chcieli poprostu zanurzyć korę, przesypaną popiołem. w źródelku, prąd wody wyrzuciłby ją natychmiast i uniósł, zanimby dostatecznie rozmiękła.

Trzeba więc było najpierw pokonać tę trudność, i nasi młodzieńcy obmyślili na to sposób bardzo dowcipny. Mieli skóry yaków, wybrali największą, związali w nią korę z popiołem, pozostawiając otwór, aby woda wejść mogła do środka, i worek ten zanurzyli w źródle wrzącem. Po kilku godzinach wyjęli korę, która już przez ten czas rozgotowała się doskonale.

Gorliwi robotnicy nie próżnowali jednak przez ten czas, gdy kora w gorącym źródle mokła; Gustaw sporządził sobie wyborny młotek drewniany, wiedział bowiem od przyrodnika, że narzędzie podobne będzie mu potrzebne przy dalszych czynnościach z korą. Ossaro

tymczasem zrobił coś nakształt sita z cieniu-
teńkich pręcików bambusowych, splecionych
i osadzonych w drewnianą ramę. Powierzono
mu tę robotę, gdyż, jako rodowity Indus, umiał
doskonale się obchodzić z bambusem, który
w tym kraju służy do najrozmaitszych użyt-
ków. Sito było także potrzebne do fabrykacji
papieru, jak obaczmy niezadługo.

Gdy kora rozgotowana ostygła nieco
i przyschła, trzech robotnicy kolejno rozbijali ją
drewnianym młotem, aż póki nie zmieniła się
w rodzaj ciasta, które powtórnie włożono w wo-
rek skórzany i zanurzono, tym razem nie w go-
rącym źródle, ale w jeziorze, w wodzie zimnej.
Zaraz też na powierzchni ciasta zaczęły się
tworzyć męty, które po kilka razy zbierano
starannie, aż póki masa nie oczyściła się na-
leżycie.

Teraz dopiero można z niej było robić pa-
pier, i fabrykacja rozpoczęła się pod kierun-
kiem przyrodnika Karola. Czynność ta nie
była trudna, wymagała jednak niepospolitej
zręczności; trzeba było nabierać ciasto w sito
i poruszać niem szybko, ażeby się masa rów-
niuteńko ułożyła na pleciance bambusowej.
Po obeschnięciu, tworzył się z tego arkusz
papieru, który nie był zapewne ani piękny,
ani cienki, zawsze jednak doskonale mógł być
użyty na latawca. Robota to była długa i mę-

zolna; trwała dni kilka, bo mając jedno tylko sito, młodzieńcy nasi musieli każdy arkusz osobno nakładać i suszyć, nie ustalili jednak, aż póki nie zabrakło ciasta, i ułożyli ogromny stos papieru, dostateczny na zrobienie olbrzymiego latawca z ogonem.

Teraz z kolei Karol i Gustaw zabrali się do sporządzenia ram drewnianych i wkrótce ukończyli szkielec. Ossaro tymczasem, według wskazówek obu braci, przygotował długi, wspinały ogon. Najwięcej czasu zabrała im robota stosownych sznurów, bo trzeba było, aby łączyły w sobie moc i lekkość; gruby sznur na nicby się nie przydał, bo latawiec nie uniósłby go w górę, tak samo jak orzeł.

Ossaro z przykładną cierpliwością zabrał się do oczyszczenia i przebrania przedziwa, odrzucił wszystkie gorsze włókna, pozostawiając tylko najrówniejsze i najlepsze. Indus pojmował ważność tego zadania, nie żałował więc trudów i ukręcił linę doskonałą, cieniutką, równą i mocną. Co do szkieletu, nie potrzebujemy dodawać, że cały był zrobiony z bambusu, trudno było wybrać do tego stosowniejszy materiał.

Brakło już tylko kleju do przytwierdzenia papieru na ramach, ale i na to poradził przyrodnik; znalazł on pewien gatunek obrazkowca,

Arum, którego korzeń, utłuczony na miazgę i wymoczony w wodzie wrzącej, daje masę zupełnie podobną do krochmalu.

XLIV.

LATAWIEC.

Młodzieńcy drżeli z niecierpliwości, musieli jednak czekać z wypuszczeniem latawca, aż zerwie się wiatr silniejszy i zwróci się w stronę, gdzie rozwieszono były drabiny, a gdzie nie udało im się skierować lotu birkuta. Wdrapali się na stos głazów, spiętrzonych wprost naprzeciw tej skały, i przypatrywali się jej z uwagą. U samego szczytu widać było ogromne kamienie, czy bryły lodu, nagromadzone bezładnie i śniegiem przypruszone. Więźniowie mieli nadzieję, że latawiec zaplącze się pośród tych głazów i uwięźnie tam dość mocno, aby sznur mógł ich bezpiecznie udźwignąć. Chcąc mu to zadanie ułatwić, przytwierdzili do latawca rodzaj haków drewnianych, powyginanych nakształt kotwicy. Nie zaniedbali więc nic, ażeby to przedsięwzięcie uczynić możliwym, nie szczydzili trudów i wysilili cały swój dowcip.

Cierpliwość ich nie była wystawiona na próbę zbyt długą, latawiec od trzech dni za-

ledwie był całkowicie wykończony, gdy silny wiatr się zerwał i zwrócił się właśnie w tę stronę, w którą młodzieńcy wpatrywali się z takim niepokojem. Nie tracąc czasu, trzej towarzysze zabrali latawca i udali się na miejsce, skąd miał być wypuszczony. Naprzód już ułożyli, że Karol go wypuści, podczas gdy Gustaw i Ossaro trzymać będą linę i biec z nią naprzeciw wiatru, a we dwóch zaledwie mogli temu podolać. Przygotowali sobie drogę, poświęcali krzaki, które im mogły przeszkadzać, zwinęli linę porządnie i czekali znaku przyrodnika, bo jemu jednoznacznie powierzono przywództwo przedsięwzięcia.

Z bijącym sercem stanął każdy na stanowisku, Karol przy latawcu, Gustaw dalej nieco z ogromnym zwojem sznura w ręku, a obok niego Ossaro, podtrzymujący także linę i gotów na skinienie obu sahibów. Karol ustawił latawca na ziemi, potem, zebrawszy wszystkie siły, dźwignął go nieco w górę i wypuścił; on zerwał się i płynął za powiewem wiatru prosto na wierzchołek skały, piętrzącej się ponad drabinami.

Karol wydał okrzyk radości, widząc spełnienie swych nadziei, Ossaro i Gustaw nie mieli czasu mu odpowiedzieć, dopiero gdy latawiec uleciał tak wysoko, że już prawie dotykał szczytu skały, zatrzymali się, i donośne

ich wiwaty jednym chórem zabrzmiały w powietrzu.

— Wypuszczajcie sznur aż do końca!—zawołał Karol — strzeżcie się tylko, aby wam z rąk nie umknął.

Gustaw zaczął rozwijać szybko zwój sznura, a Ossaro pochwycił w ręce koniec i trzymał go z całej siły. Latawiec uniósł się wysoko, zawisnął ponad wierzchołkiem skały, a gdy lina wyprężyła się jak struna, zaczął się kołysać na wszystkie strony, pochylił się ponad szczytem skały, przez chwilę pomykał za wichrem w kierunku poziomym, aż wreszcie osunął się i zniknął za ogromnemi głazami.

Młodzieńcy byli uszczęśliwieni, tego właśnie pragnęli, aby latawiec dostał się na sam wierzchołek i tam się zatrzymał. Teraz zachodziło tylko pytanie, czy uwiązał dość mocno pomiędzy głazami, aby sznur zdołał ich udźwignąć. Gdyby przedsięwzięcie nie powiodło się od razu, mogli je przecież rozpocząć na nowo, z latawcem w każdym razie łatwiejsza była sprawa niż z ptakiem, mogli próbować raz, drugi, trzeci i dziesiąty.

A jednak wszystkich ogarnął niepokój, gdy Karol drżącą ręką zaczął za sznur ciągnąć; zrazu nie miał odwagi pociągnąć mocno, ale po chwili coraz więcej wyteżał siły i poruszył go nieco; Karol owinął sznur na ręce raz i drugi,

ściągnął go tym sposobem parę metrów i twarze biednych więźniów zaczęły się zasepiać. Wypogodziły się jednak znowu, bo Karol napotkał nagle silniejszy opór, daremnie ciągnął obiema rękami, pochylając się wtył całym ciałem, sznur wyprężył się znowu, i młodzieńiec nie mógł go poruszyć. Wówczas dwaj towarzysze przyszli mu dopomóc, lecz nawet połączone ich usiłowania nie zdołały ściągnąć latawca.

Znowu ozwały się przeciągłe wiwaty, młodzieńcy zbliżyli się do stóp skały, lina wyciągnięta rysowała się na niej od samego szczytu aż do dołu, jakby pręt żelazny. Wówczas radość trzech towarzyszy nie miała granic, skakali, wykrzykiwali, trzymając ze wszystkich sił za koniec liny, w której widzieli wybawienie swoje.

Karol pierwszy oprzytomniał i doradził, aby linę uwiązać mocno u podnóża kamiennej ściany. Wybrano do tego niską, śpiczastą skałę, umocowano do niej koniec sznura jak najstaranniej; nie było żadnej obawy, ażeby mógł się oderwać. Robota jednak nie była jeszcze ukończona; już wspomnieliśmy wyżej, że młodzieńcy mieli zamiar uwiązywać do sznura szczeble drewniane, bo przebycie takiej przestrzeni na sposób majtków, którzy po wyprężonej linie włączają na szczyt maszty, było

niepodobieństwem. Zabrali się więc gorliwie do ciosania tych szczebli, wiedzieli, że to im jeszcze dużo czasu zabierze, ale mogli już teraz czekać cierpliwie, mając prawie pewność ocalenia. Pracowali wesoło parę godzin, nie oddalając się od miejsca, gdzie lina była uwiązana, obawiali się spuścić jej z oczu. Głód dopiero skłonił ich do powrotu do chatki, a nie potrzebujemy dodawać, że obiad dnia tego smakował im lepiej niż zwykle.

XLV.

DRABINA.

Dnia następnego młodzieńcy od samego rana wzięli się do roboty i nie odrywali się od niej aż do wieczora, ale też sporządzili z półtorasta szczebli. Nie było to wcale zanadto, bo skalista ściana, piętrząca się ponad najwyższą drabinę, miała jeszcze około stu metrów wysokości. Zrazu chciano te szczeble umocować w skrętach sznura, ale po namyśle obawiano się, aby go tym sposobem nie osłabić, postanowiono zatem uwiązywać je w pewnych odstępach na linie mocnymi sznurkami osobnymi. Szczeble te nie potrzebowały zresztą być osadzone bardzo mocno, bo młodzieńcy nie mieli

się na nich opierać całym ciężarem, szło im tylko o to, aby mieli jakikolwiek punkt oparcia, zawsze przecież trzymaliby się sznura z całej siły rękami. Nie byłoby wielkiego nie-szczęścia, gdyby który szczebel i osunął się przypadkiem.

Znowu więc cały dzień poszedł na sporządzenie krótkich sznurków. Nazajutrz rozpoczęła się najtrudniejsza, ale już ostatnia część przedsięwzięcia, to jest przytwierdzenie szczebli do sznura; czytelnicy rozumieją już zapewne, jakim sposobem ta robota miała się odbywać. Trzeba było umocować jeden szczebel, stanąć na nim, uwiązać drugi, trzeci, czwarty i t. d., wspinając się coraz wyżej, aż do wierzchołka skały. Jeden z trzech towarzyszy musiał się tego podjąć, pracą tą nie mogli się podzielić, a ponieważ z nich wszystkich Indus był naj-silniejszy, najzręczniejszy i na trud najwytrwalszy, więc ważne to i niebezpieczne zadanie jemu przypadło w udziale.

Ossaro wygramolił się ze zwinnością kota na drabinę, przytwierdzoną do skały, a stanąwszy na jej szczycie, uwiązał do wiszącej liny dwa szczeble, jeden nad drugim i zaraz na pierwszy przeskoczył. Zabrał on z sobą ze dwanaście szczebli w sajdaku od strzał, więcej nie mógł udźwignąć. Karol i Gustaw siedzieli u stóp skały i z gorączkowym niepoko-

jem śledzili wszystkie poruszenia Indusa, nawet i Neron oczu z niego nie spuszczał, domyślał się widocznie, że ważne jakieś gotują się wypadki.

Niełatwe wcale zadanie miał przed sobą Ossaro, bo nietylko uwiązanie szczebli, ale i utrzymanie się w równowadze na tak wątlej podstawie wymagało niepospolitej zręczności. Inny na jego miejscu powykręcałby sobie nogi niezawodnie, ale Indus mógł iść o lepsze w gimnastyce z małpami, którym rodacy jego cześć oddają, i potrafiłby niezawodnie tańczyć na linie, nietylko po cienkich kijkach stąpać. Załatwił się więc wybornie z kilkunastu szczeblami, które zabrał z sobą, a gdy je wszystkie pouwiązywał, zaczął znów jak kot zeskakiwać z jednego szczebla na drugi, aż póki nie stanął na ziemi.

Dziwicie się może, że Karol i Gustaw nie oszczędzili mu daremnego trudu i nie podali nowego zapasu szczebli, ale nasz Ossaro zmęczył się strasznie swoją robotą i potrzebował odpocząć. Niedługo jednak siedział beczynnie, jak tylko uczył, że mu nowych sił przybyło, a kurcze w nogach ustały, natychmiast chwycił nowy pęk szczebli i podążył z niemi do swojej drabiny. I tak pracował przez dzień cały, odpoczywając za każdym tuzinem szczebli; raz tylko jeden, w porze obiadowej, odpoczynek

ten trwał dłużej nieco. Rozumie się, że dnia tego dwaj bracia sami zajęli się przyrządzeniem posiłku, dokładając do tego wszelkich starań.

Nie potrzebowali powracać do chatki na obiad, zabrali z sobą z rana potrzebne zapasy, to jest suszone mięso koziorożca, bo nic innego nie mieli w spiżarni, ognisko zaś można było rozpalić tak samo u stóp skały, jak i przy chatce. Ale Karol chciał uraczyć lepiej niż zwykle poczciwego Indusa i wyszukał w lesie różnych smacznych korzonków i owoców, które dodał do mięsa, i skromną pieczeń zamienił tym sposobem na potrawę wyszukaną. Niemało też i apetyt przyczynił się do podniesienia uczty.

Po obiedzie Ossaro z nowym zapalem zabrał się do roboty i przed wieczorem uczepił z pięćdziesiąt szczebli, trzecia część drabiny była więc już ukończona. Słońce zaszło tymczasem i trzej towarzysze powrócili na noc do swej chatki. Karol i Gustaw starali się przez całą drogę najserdeczniejszymi wyrazami okazać wdzięczność swoją poczciwemu Indusowi, który sam jeden za trzech pracował, a zdawało się, że i Neron z większą życzliwością niż zwykle spoglądał na niego, jakgdyby chciał uczcić w nim bohatera dnia. Ile razy Ossaro zbiegał z drabiny, zmyślny pies wyskakiwał na

jego spotkanie, kręcił ogonem, i łąsił się przy nim przez cały czas odpoczynku. Gdy powracali na noc do chatki, te oznaki przyjaźni stały się jeszcze żywsze, Neron co chwila skakał na Indusa, zaglądając mu w oczy, jakgdyby chciał dowieść, że i on umie ocenić jego zasługi narówni z panami.

XLVI.

WYPADEK NIEPRZEWIDZIANY.

Nazajutrz przyjaciele nasi spożyli śpiesznie śniadanie i podążyli do swojej drabiny. Ossaro zabrał się znów do roboty, dwaj bracia śledzili go oczyma. Dnia tego, na nieszczęście, pogoda im nie sprzyjała, od rana wiał silny wicher, który chwilami zrywał się ze straszliwą gwałtownością. Biedny Ossaro był w przykrem bardzo położeniu, nawałnica raz po raz unosiła linę o kilka stóp od skały, a on kołysał się w powietrzu, zawieszony, jak pająk, nad głębiną. Przerażający to był widok dla dwóch braci, którzy zdołu na niego spoglądali, dreszcz ich przejmował i mimowoli zamykali oczy, bo co chwila im się zdawało, że wierny Indus rozbije się o skałę, lub spadnie ze strasznej wyżyny i zginie w ich obecności śmiercią najokropniejszą.

Nakoniec, nie mogąc przenieść tej myśli, obaj zaczęli wołać na niego, aby zszedł na dół, a gdy powracał na zwykły odpoczynek, błagali go, aby zaniechał dalszej roboty, póki wiatr się nie uspokoi. Ale Ossaro śmiał się z ich przestachu; przyzwyczajony od dzieciństwa do wszelkich niebezpieczeństw, nie obawiał się niczego, a walka z gwałtownością żywiołów sprawiała mu pewnego rodzaju przyjemność. Gdy lina kołysała się w przestrzeni, jak wahadło olbrzymiego zegara, on na to wcale nie zważał, ale z najzimniejszą krwią przywiązywał szczeble jeden za drugim i nie ustawał w swej pracy ani na chwilę.

Tak upłynął cały ranek aż do południa; Indus nie dawał się namówić do przerwania roboty i byłby niezawodnie wytrwał do samego wieczora; zdawał się igrać z szalonym wichrem, i tenby go pokonać nie zdołał, oparłby się z pewnością najstraszniejszej nawałnicy, gdyby go tylko sznur nie zawiódł. Ale groziło mu inne niebezpieczeństwo, o którym ani on nie pomyślał, ani dwaj bracia.

O południu Ossaro spuścił się na dół i pozostał już do obiadu, a posiliwszy się i naładowawszy w sajdkak nowy zapas szczebli, poskoczył znów na drabinę. Karol i Gustaw nie spuszczały z niego oczu, a chociaż byli już znacznie spokojniejsi, nie mogli jednak oswoić

się z tym widokiem, bo wicher nie ustawał, przeciwnie zdawał się nawet wzmacniać. Indus wspinał się coraz wyżej, jak wiewiórka przeskakiwał z jednego szczebla na drugi, już miał nowy zaczepiać, gdy nagle okrzyk trwogi wyrwał się z jego piersi, a dwaj bracia skoczyli na równe nogi, mrowie przeszło im od stóp do głowy, i krew ścięła się w ich żyłach.

Niedługo pozostawali w niepewności, w tej samej prawie chwili, gdy usłyszeli okrzyk, ujrzeni powód, który go wywołał: Ossaro spuszczał się na dół, ale nie schodził po szczeblach, sznur cały osuwał się szybko wzdłuż skały. Widocznie latawiec musiał się odzepić, a ciężar ciała Indusa ściągał go wraz z liną i nic go już teraz zatrzymać nie było w stanie.

Zrazu zsuwał się tak wolno, że dwaj bracia byliby może nawet nie spostrzegli tego, gdyby nie usłyszeli krzyku Ossara, ale teraz zrozumieli doskonale, jak straszne niebezpieczeństwo mu zagrażało.

Czy latawiec zsunie się z wierzchołka skały, czy zaczepi się znów na jakiej krawędzi, czy sznur aż do dołu spuszczać się będzie powoli, czy też z chyżością przyśpieszoną, według praw mechaniki? Wszystkie te pytania w mgnieniu oka przedstawiły się wyobraźni naszych młodzieńców, ale nie mieli czasu zastanowić się nad niemi, ani obmyśleć środków

ratunku dla nieszczęśliwego Indusa, tylko z bijącym sercem wpatrywali się w niego, gdy wtem latawiec ukazał się na szczycie skały. Przez chwilę kołysał się na wszystkie strony, potem nagle zerwał się, jak ptak, gdy skrzydła rozwinię, i uleciał w powietrze, unosząc sznur z sobą.

Ossaro go z rąk nie wypuszczał, uniósł się także razem ze sznurem, ale na szczęście dla niego, ciężar jego ciała utrzymał latawca w równowadze i nie dał mu wynieść się wyżej. Z drugiej strony szczęśliwie było także, że ciężar ten nie zaważył zbyt wiele, gdyż latawiec byłby w takim razie spadł z wielką gwałtownością. Tymczasem wszystko poszło, jak z płatka; Indus dostał się bez szwanku aż na dół, a jak tylko dotknął stopą ziemi, wypuścił z rąk linę, latawiec, pozbawiony balastu, uniósł się znowu w powietrze i latał tu i ówdzie, krążąc ponad doliną. Wicher miotał nim na wszystkie strony, nakoniec zaczął się spuszczać po raz drugi i jakby znużony legł na ziemi tuż obok Indusa, który odskoczył z takim pośpiechem, jakgdyby się obawiał, żeby rozszałały latawiec nie porwał go znowu poniewolnie w napowietrzne szlaki.



Ossaro go z rąk nie wypuszczał... (str. 194).

XLVII.

DALSZE LOSY LATAWCA.

Widząc, że Indus zdrowo i cało wyszedł z tak straszliwej przygody, dwaj bracia przejęci byli najżywszą radością i zapomnieli zupełnie o niepowodzeniu swego przedsięwzięcia; ale nawet i po namyśle nie martwili się tem zbyt, bo przecież osunięcie się latawca mogło być przypadkowe, gwałtowna burza przyczyniła się zapewne do tego, wicher oderwał kotwicę, a ciężar ciała Indusa dokończył reszty. Należało popróbować raz jeszcze, wybrawszy lepszą pogodę; cóż łatwiejszego, jak wypuścić latawca, choćby i kilka razy, póki się sztuka nie uda. Tak pocieszali się przyjaciele nasi po owej niefortunnej przygodzie.

Ponieważ dnia tego wiatr się odwrócił, więc postanowiono czekać cierpliwie sposobniejszej chwili, a obawiając się, aby latawiec na deszczu nie zamokł, młodzieńcy ukryli go starannie pod stosem gałęzi. Tymczasem zajęli się znowu przysposobieniem obfitszych zapasów żywności, bo nie mogli już teraz odgadnąć, jak długo jeszcze będą musieli pozostać w dolinie bez wyjścia, a wędzone mięso koziorożca chcieli zaoszczędzić na drogę.

Próbowali różnych sposobów, zastawiali

sidła na ptactwo i drobniejszą zwierzynę, łowili ryby w jeziorze, najczęściej Ossaro popisywał się strzelaniem z łuku, a taką w tem miał wprawę, że ile razy wypuścił strzałę, czy to w gęstwinę leśną, czy w nadbrzeżne sitowia, zawsze padał piękny paw, o skrzydłach jaskrawych, okazały argus, tłusta gęś lub kaczka. Dwaj bracia mieli wprawdzie strzelby nabite, ale pamiętają zapewne czytelnicy, że to były ostatnie ich naboje, nie chcieli więc ich marnować, woleli broń nabitą zostawić na drogę, na obronę od zwierząt drapieżnych, które napotkać mogli, wydostawszy się z doliny.

W jeziorze pełno było ryb, więc wędka Gustawa nigdy nie próżnowała; najobficiej poławiały się ogromne tłuste węgorze, dość było wędkę zapuścić, aby napewno węgorza wyciągnąć, a każdy miał co najmniej półtora metra długości. Młodzieńcy nasi niebardzo smakowali w rybach, ale w każdym razie radzi byli z tego odkrycia, bo przynajmniej głód im teraz nie zagrażał, gdy mogli zawsze z łatwością nałowić węgorzy, ile tylko chcieli.

Tak upłynął tydzień i zerwał się wreszcie wiatr pomyślny. Wydobyto latawca z ukrycia i zaniesiono go na miejsce, skąd pierwszy raz był wypuszczony. I znowu powtórzyło się to wszystko, cośmy już wyżej opowiedzieli: latawiec wzniósł się w powietrze, podleciał wyso-

ko, a gdy przekroczył wierzchołek skały, spadł i znikł z oczu naszych przyjaciół. Wszystko więc doskonale się składało, tak przynajmniej wyobrażali sobie młodzieńcy w pierwszej chwili, gdyż wkrótce, niestety! okazało się, że się omylili.

Zaczęli ciągnąć za sznur w nadziei, że i teraz haki uczepliły się mocno na jakichś głazach lub krzakach, ale sznur przesuwiał się z łatwością, dawał się zwijać, aż wkońcu i latawiec ukazał się na krawędzi skały. Uniósł się znowu w powietrze, bujał tam przez chwilę, potem go ściągnięto na ziemię. Nie dano mu jednak odpocząć, Karol wypuścił go znowu, a Ossaro z Gustawem popędzili ze sznurem, lecz latawiec wziął się widocznie na biednych jeńców, bujał tu i ówdzie w powietrzu, a gdy nareszcie spadł na szczyt góry, z największą łatwością tym razem dał się ściągnąć na ziemię. Młodzieńcy uporczywie powtarzali próby raz po raz, i raz po raz latawiec, jak niepyszny, osuwał się im pod stopy.

Zaczęli już wkońcu upadać na siłach i tracić odwagę, że dwadzieścia razy wypuszczali latawca nadaremnie, nie udało im się doprowadzić go do tego, aby się uczeplił, czy to do krawędzi skały, czy do ciernistego krzaka lub bryły lodu. A jednak za pierwszym razem, trzymał się doskonale; gdyby nie ta burza

bylby może spełnił swoje zadanie najpomyślniej; więc rzecz ta przecież była możliwa i myśl ta dodawała cierpliwości naszym młodzieńcom, pobudzała ich do nowych usiłowań. Jeszcze z pięć razy wypuścili latawca, zawsze z tym samym niefortunnym skutkiem, aż wreszcie tak się pomęczyli, że musieli odpocząć.

Tymczasem latawiec tłukł się po skałach i krzakach, podziurawił się w kilku miejscach i młodzieńcy spostrzegli, że przy ostatnich próbach nie bujał już tak lekko i wspaniale w powietrzu. Umyślili więc najpierw go ponaprawiać, a potem w inne miejsce przenieść się z dalszemi próbami, bo nie mogli się wyrzec tego przedsięwzięcia, w którym takie pokładali nadzieje, a niepowodzenie przypisywali przypadkowi; jak tonący brzytwy się chwyta, tak oni uchwycili się tego nieszczęsnego latawca.

Siedzieli wszyscy trzej u stóp urwistej skały, spoglądając żałośnie na sznur, zwieszający się z jej szczytu aż do ziemi; koniec wypuścili z ręki, nie spodziewali się, aby latawiec im miał umknąć. Gdy spostrzegli, że sznur poruszył się nagle, już było za późno, podskoczył on w górę z taką szybkością, jak-gdyby niewidzialna ręka pociągnęła go ze szczytu skały, dla wypłatania figla biednym młodzieńcom, i nim zdążyli zerwać się z miej-

sca, już koniec liny bujał gdzieś w niezmiernej wysokości.

Ossaro podskakiwał, jak na sprężynach, wywijając rękami w powietrzu, Gustaw pochwycił długą tykę, Karol poskoczył nawet na drabinę w nadziei, że liny dosięgnie, wszystko nadaremnie. Ujrzeni tylko latawca, bujającego ponad wierzchołkiem skały, sznur pomykał coraz chyżej, nakoniec zniknął razem z latawcem na tych wyżynach niedostępnych, na które jeńcy spoglądali tęskniami oczyma.

XLVIII.

DAREMNE POSZUKIWANIA WILCZEGO ŁYKA.

W pierwszej chwili młodzieńcy byli tak zdumieni, że nie mogli przyjść do siebie, gdy się nareszcie opamiętali, twarze ich przeciągnęły się smutnie. Latawiec i przedtem wprawdzie zawiódł był ich oczekiwania, pierwsza próba nie wypadła pomyślnie, ale raz przecież już byli na dobrej drodze, trzymał się znakomicie przez półtora dnia, dźwigając cały ciężar ciała Indusa. Widocznie więc jedynym powodem późniejszego niepowodzenia był jakiś nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Teraz im się zdawało, że ta nadzieja ocalenia, którą tak nieopatrznie z rąk wypuścili, była prawie pewnością, że latawiec mógłby ich

niezawodnie wywieść z więzienia. I otóż własna nieuwaga pozbawiła ich jedyne go środka ratunku. Przed chwilą zwątpili byli o wszystkim, a teraz znów wyobraźnia przedstawiała im w najświetniejszych barwach wędrówkę po tej zbawczej linie, która bujała gdzieś po górach, zażartowawszy z nich okrutnie.

Dziwicie się zapewne, że młodzieńcy nie pomyśleli o sporządzeniu drugiego latawca; ale nie była to wcale rzecz tak łatwa, jak wam się zdaje. Gustawowi przyszło to wprawdzie zaraz do głowy.

— Nie traćmy czasu—zawołał—trzeba się brać do roboty, kręcić sznury i innego latawca kleić.

— Niema o czem myśleć — odpowiedział Karol, spuszczac smutnie głowę—zostało nam wprawdzie trochę papieru, ale to nie wystarczy na wyklejenie latawca.

— To zrobimy nowy zapas papieru — odrzekł Gustaw.

— Nic z tego nie będzie—mówił przyrodnik z westchnieniem.

— A to dlaczego?—zawołał Gustaw — czy to tak trudno?

— Nietylko trudno, lecz niepodobna papieru sporządzić bez wilczego łyka—odpowiedział Karol—a tu na nieszczęście ogołociliśmy wszystkie drzewa tego gatunku z kory i wiem,

że ich niema więcej w całej dolinie, bo już myślałem o tem i nadaremnie przeszukałem wszystkie zarośla.

Nie było więc sposobu powetowania tej straty, ale młodzieńcy nasi, chwytając się cienia nadziei, pytali jeden drugiego, czy latawiec nie mógł spaść gdzieś dalej w dolinę, pobujawszy po górach? I zaczęli biec wzdłuż kamiennego muru, zaglądając w każdą szczelinę, to znów podnosząc oczy wgórę, nigdzie jednak nie dostrzegli najmniejszego śladu latawca, ani liny. Musieli uwierzyć nakoniec, że się z nim więcej nie obaczą.

Ale dość było zastanowić się, aby zrozumieć, że wiatr nie mógł go zawrócić w dolinę, tylko popędził go dalej i dalej w tym samym kierunku. Musiał się wznieść na wyższe jeszcze szczyty, albo ugrzęznąć w jakiej szczelinie skały, uplątać się w krzakach, ucześcić się do głazów, niestety! Gdyby najmocniej trzymał się teraz, na nic to już nie mogło się przydać biednym naszym więźniom.

— Ach! nie mamy szczęścia—rzekł Gustaw żalonym głosem — nic się nam nie udaje.

— O, braciszku! — mówił Karol z łagodnym wyrzutem — jak możesz tak mówić? Spotkało nas nieszczęście, to prawda, wielkie nieszczęście, ale samiśmy temu winni. Własna to nasza nieroztropność, niedbalstwo nasze spra-

wiło, że ten latawiec nam się z rąk wyrwał unosząc z sobą ostatnią nadzieję ocalenia.

— Wiem ja to dobrze — mówił Gustaw — zawsze to jednak bardzo smutne — a po chwili milczenia dodał:—Czy ty jesteś pewny, Karolu, że w całej dolinie niema już więcej drzew papierowych?

— Dowodów na to nie mam—odparł przyrodnik — tylko własne przekonanie. Zresztą możemy rozpocząć nowe poszukiwania; jeżeli nie znajdziemy wilczego łyka, kto wie, czy nie natrafimy na inne drzewa, które je zastąpić będą mogły. W górach Nepalu i Tybetu rośnie także gatunek brzozy, o szczególnej korze, dzielącej się na warstwy cieniutkie, prawie tak, jak papier.

— I możnaby z tej kory zrobić latawca?— zapytał Gustaw z żywością.

— Zapewne, może nawet łatwiej niż z wilczego łyka—odpowiedział Karol.—Gdybym był odrazu to drzewo napotkał, nie zadawalibyśmy sobie byli tyle kłopotu z tym papierem. Na nieszczęście, nie widziałem tu nigdzie brzozy po lasach; drzewa do tej rodziny należące, trzymają się zwykle zimniejszego klimatu, zapewne też rosną tam wyżej, na tych górach, które nas otaczają, ale stamtąd ich tu sprowadzić nie możemy. Gdybyśmy się mogli dostać na te wyżyny, obeszlibyśmy się bez tej kory.

Nie rozpaczajmy jednak — dodał przyrodnik, usiłując natchnąć odwagą towarzyszy — ktoś wie, czy nie znajdziemy jeszcze tych szacownych brzoź w dolinie. Nie traćmy więc czasu i rozpoczynajmy poszukiwania.

Karol jednak nie łudził się wcale i jeśli przeszukiwał starannie wszystkie gąszcze, czynił to jedynie dla zaspokojenia Gustawa. Nigdzie nie znaleźli po lasach ani wilczego łyka, ani żadnych brzoź, nie mieli już sposobu zrobić nowego latawca, trzeba było się wyrzec tej nadziei, która im się tak uśmiechała. Biedni nasi przyjaciele musieli się zgodzić z wolą Opatrzności.

XLIX.

B A L O N.

Każdemu zapewne latawiec przywodzi na myśl inny przyrząd, unoszący się także w powietrzu, a mianowicie balon. Niedziw, że i Karolowi przyszedł balon do głowy i jednocześnie prawie Gustawowi, nie moglibyśmy nawet powiedzieć, który z nich wcześniej o nim pomyślał. Jeżeli mogli pokładać nadzieje w latawcu, to cóż dopiero, gdyby im się udało sporządzić balon?

Karol długo się nad tem zastanawiał, długo rozważał, bo co do Gustawa, ten zrazu powiedział sobie, że w obecnem ich położeniu zrobić balon było to prawie toż samo, co zdjęć gwiazdę z nieba, i zupełnie o tem nie myślał. I Karol także rozumiał, że niepodobna sporządzić balonu, nie mając potrzebnych materiałów pod ręką, bo gdyby tylko miał materiały, podjąłby się tej roboty bez wahania. Młodzieniec nie mógł się pozbyć tej myśli, balon tak mu zajechał w głowę, że nie pojmował już teraz, poco tyle czasu stracili na latawca?

Przypomniał sobie wszystko, co kiedykolwiek czytał i słyszał o budowie balonów i w każdym przedmiocie, który napotkał w dolinie, szukał materiału stosownego do tej roboty. Na nieszczęście przez czas długi szukał nadaremnie. Gdyby nawet i wilcze łyko znalazło się znowu, na nicby się tu przydać nie mogło. Najmocniejszy papier nie może oprzeć się ciśnieniu powietrza, i chyba na zabawkę można zrobić mały balonik papierowy. Na większy balon taki, któryby mógł udźwignąć ciężar człowieka, potrzeba mocnej tkaniny.

Darmo więc przyrodnik nasz łamał sobie głowę, nie było tu co myśleć o balonie. Wiedział on dobrze, że balon przedewszystkiem musi być hermetycznie zamknięty, przyszło

mu nawet było zrazu na myśl, ażeby użyć do tego skór zwierzęcych; po krótkiej rozwadze spostrzegł, że skóry były na to za ciężkie. Mieli tu wprawdzie obfitość przędzy i gdyby im się udało zrobić z niego płótno, mogliby je napuścić jakim klejem, nie przepuszczającym powietrza. Nie brakło w dolinie rozmaitych klejów roślinnych. Ale sporządzenie płótna gęstego, mocnego i lekkiego zarazem nie było wcale łatwą sprawą; gdyby nawet zczasem zdołali tej sztuki dokazać, potrzebowali na to długiej nauki i wprawy. W każdym razie powodzenie było tak niepewne, że nie warto było na to czasu tracić.

Gdy dwaj bracia po stracie latawca po raz pierwszy pomyśleli o balonie, Gustaw rzekł do Karola:

— Jaka to szkoda, że nie mamy tu żadnej tkaniny. Wszak to podobno z kitajki jedwabnej robią się balony?

— Tak — odpowiedział Karol — jedwabna tkanina jest do tego najstosowniejsza, bo może być bardzo cienka, gęsta i mocna.

— A czy inne materiały nie mogą do tego służyć?—pytał znów Gustaw.

— I owszem; robią balony rozmaite, nawet i papierowe, chociaż takie są bardzo nietrwałe i prędko pękają w powietrzu. Nieraz podobne małe baloniki puszczają ludzie dla zabawki.

Nigdy jednak nie słyszałem, aby kto duże balony robił z papieru.

— Ale z czegożby się dało zrobić, oprócz kitajki, której tu przecież dostać nie możemy?

— Ach, braciszku—rzekł Karol z westchnieniem — już ja oddawna nad tem przemyśliwam.

— Czy płótno przydałoby się na to?

— Zapewne — mówił przyrodnik — byleby było cienkie i gęste; my takiego z pewnością zrobić nie potrafimy.

— Kto wie — rzekł Gustaw — ja ręczę, że nasz Ossaro umie się obchodzić z kądzielą lepiej od Omfali i od Herkulesa.

— Skądże ci to, braciszku, mitologia przyszła do głowy?—powiedział Karol z uśmiechem.

— Ba! — mówił Gustaw — czy myślisz, że zdziaczałem już zupełnie na tej puszczy i zapomniałem o tem, co się niegdyś czytało w książkach? Prawda i to, że ta nauka książkowa nie na wiele mi się tu przyda, wolałbym umieć zbudować balon, chociaż najdowcipniejszy człowiek nie zdoła przecież zbudować go z niczego. Ale ty, Karolu, powiedz szczerze, czy potrafiłbyś balon sporządzić, gdyby ci tak dostarczyć potrzebnych materiałów?

— Czemużbym nie potrafił?—rzekł Karol—czyż myślisz, że to taka wielka sztuka? wszystko jedno, co bańkę mydlaną wydmuchać. Byle

tylko mieć worek zamknięty hermetycznie, napełnić go powietrzem ogrzanem i balon gotowy. Potem można już łatwo obrachować, jaki ciężar ten balon udźwignie.

— Jakimże to sposobem napełnia się balon powietrzem ogrzanem?

— Wielkie rzeczy! zapala się ogień pod otworem worka hermetycznego—odrzekł Karol.

— Ależ powietrze ogrzane tym sposobem oziębi się pewnie bardzo prędko.

— Zapewne—mówił przyrodnik—i wówczas balon zacznie się spuszczać, to rzecz prosta. Nie potrzebuję ci mówić przecież, że powietrze ogrzane jest znacznie od zimniejszego lżejsze, Dlatego to balon, napełniony powietrzem ogrzanem, unosi się wgórę póty, póki nie napotka warstwy powietrza równie lekkiej; wówczas przestaje się wznosić i płynie z prądem powietrza, jak statek po wodzie. Pęcherz powietrzem nadęty, a nawet najprostszy korek, w wodzie zanurzony, wyjaśni ci doskonale to zjawisko.

— Czyż myślisz, że ja już tego nie rozumiem — rzekł Gustaw nieco urażony, że brat starszy tłumaczył mu wszystko to, jak małemu dziecku. — Widzę jednak z tego, że balon nie może się długo utrzymać w powietrzu, jeżeli powietrze nie będzie w nim raz po raz ogrzewane. Wnoszę stąd, że na nicby się to nie

przydało, gdybyśmy nawet mieli materiał na sporządzenie balonu, bo skądżebyśmy wzięli rusztu, do podtrzymania pod nim ognia?

— Moglibyśmy się obejść bez rusztu — odpowiedział przyrodnik — potrzebny on jest tylko do dłuższej żeglugi napowietrznej, a nam idzie tylko o to, aby się wydostać na góry. Do tego wystarczyłoby aż nadto jednorazowe ogrzanie powietrza w balonie. Chociaż ja sądzę, że możnaby ruszt żelazny w razie potrzeby zastąpić innym przyrządem.

— Ciekawym jakim? — zawołał Gustaw zdziwiony.

— Zrobiłbym zwyczajny koszyczek — rzekł Karol — i wyłożyłbym go gliną, a ogień utrzymałby się w nim tak doskonale, jak w rondelku metalowym, przynajmniej przez czas jakiś. Trzeba ci wiedzieć, że teraz już nikt nie używa rozgrzanego powietrza do nadymania balonów, ale wypełniają je lekkimi gazami, najczęściej wodorem. Ponieważ nie mamy tu wodoru pod ręką, a raczej nie mamy środków do wydzielania go z wody, więc musielibyśmy się trzymać najdawniejszego sposobu, którego używał Montgolfier, wynalazca balonów.

— Sądzisz więc — mówił Gustaw — że pokonałbyś wszystkie trudności, gdybyś tylko miał materiał stosowny na balon?

— O! daj mi tylko ten materiał, a już ja ci balon sporządzę — rzekł Karol z zapalem.

Gustaw był to chłopak pomysłowy i roztropny, umilkł i zastanawiał się długo nad wszystkimi płodami, które wydawała dolina bez wyjścia.

— Potrzeba coś lekkiego, mocnego, nie przepuszczającego powietrza — mówił zwolna, a oczy jego błyszczały, jakgdyby, już znalazł rzecz, posiadającą te trzy przymioty połączone w sobie.

— Otóż to właśnie — rzekł Karol — jak powiadasz, potrzeba coś lekkiego, mocnego i nieprzepuszczającego powietrza...

— Co do mocy i nieprzepuszczalności, jestem spokojny — powiedział Gustaw dobitnie — nie jestem tylko pewny, czy to będzie dość lekkie...

— Ale cóż takiego? — przerwał przyrodnik bez tchu prawie.

— Skóry węgorki — odpowiedział tamten.

I.

SPORZĄDZENIE BALONU.

— Tak, tak, braciszku — mówił dalej Gustaw, widząc, że Karol w milczeniu przyjął tę wiadomość i zrobił minę nawpół zdziwioną,

a nawpół tylko ucieszoną — trudno wymyślić coś lepszego na ten użytek od skór węgorki.

— Bardzo to być może — odrzekł nakoniec przyrodnik, po dłuższym namyśle — rzecz zdaje się nawet prawdopodobna, nie śmiałbym jednak zaręczyć...

— Co, co! — przerwał Gustaw z żywością — czy sądzisz, że te skóry nie będą dość mocne?

— O, wcale nie o to mi idzie — mówił Karol.

— Więc cóż, czy może powietrze przez nie przechodzi?

— I to nie.

— A co do szwów — ciągnął dalej Gustaw — o to także możesz być spokojny; z pomocą Ossara zeszyjemy je delikatnie i powlecemy ścięgi gumą tak, że i przez szwy nie przecisnie się powietrze.

Przyrodnik znowu pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że trudność w czem innem leżała.

— Domyślam się — rzekł nakoniec Gustaw — obawiasz się, aby skóry węgorki nie były za ciężkie.

— Otóż właśnie — potwierdził Karol — tego się w rzeczy samej obawiam jedynie. Niechno Ossaro przyniesie tu jedną taką skórę, muszę ją dobrze obejrzeć.

Indus poszedł do chatki i powrócił wkrótce, niosąc przedmiot długi, pomarszczony, w któ-

rym na pierwszy rzut oka trudno było poznać skórę węgorza. Myśliwi nasi mieli ich zapas spory na składzie; jakby przecuciem wiedzeni, nie wyrzucali skór złowionych węgorki, i teraz niezmiernie się z tej przezorności cieszyli.

Karol wziął do ręki przyniesioną skórę, obejrzał ją, położył na dłoni i ciężar jej wypróbował. Gustaw nie spuszczał oczu z brata, czekał niespokojnie, co powie; ale Karol za całą odpowiedź pokręcił głową z powątpiewaniem i milczał.

— Teraz jest ciężka, bo nieoczyszczona — rzekł Gustaw — przedewszystkiem trzeba te skóry wygotować w wodzie, a gdy odejdą z nich wszystkie części tłuszczu i mięsa, zaraz się zrobią znacznie lżejsze.

— Masz słusność — mówił przyrodnik — nie ulega wątpliwości, że staranne oczyszczenie ujmie im dużo ciężaru.

Nie tracąc czasu, Karol poszedł prosto do gorącego źródła i zanurzył skórę w wodzie wrzącej, uwiązawszy ją sznurkiem do skały. Mokła tam z godzinę, potem osuszono ją i oskrobano ostrożnie nożem. Przyrodnik znowu wówczas tę samą skórę położył na dłoni i zważył, a chociaż to nie była wcale dokładna próba, nie wątpił jednak, że tym razem daleko mniej zaważyła. Gustaw wyczytał to z oczu

brata, nie śmiał jednak jeszcze triumfować, Karol zaś przemówił w te słowa:

— Znowu ci powtórzę toż samo; bardzo być może, że się nam uda to przedsięwzięcie, spróbować w każdym razie nie zawadzi, a więc próbujmy.

— Wiwat! — zawołał Gustaw — budujmy balon.

Nie było co odkładać, niezwłocznie też zabrano się do dzieła. Najpierw należało przygotować potrzebne materiały, bo zapas skór, zebrany poprzednio, nie był jeszcze dostateczny na pokrycie dużego balonu. Ossaro zabrał swoje rybackie przybory i puścił się śpiesznie w stronę jeziora.

Tymczasem Karol, który był biegłym matematykiem, zaczął obliczać, jakich rozmiarów miał być ów balon, aby mógł udźwignąć ciężar człowieka. Potem zapomocą rachunku doszedł, że na pokrycie podobnego balonu potrzeba będzie zeszyć najmniej pięćset skórek węgorszy, a ponieważ część mogła się zepsuć, rozedrzeć, więc młodzieńcy nasi postanowili mieć oprócz tego kilkadziesiąt skór w zapasie na wszelki wypadek.

Połów węgorszy nie był rzeczą uciążliwą, Ossaro nie uważał tego wcale za pracę, zakładał przynętę na wędkę, zapuszczał ją w wodę i potem tylko zaglądał od czasu do czasu, czy



Połów węgorzy nie był rzeczą uciążliwą... (str. 212).

węgorz haczyk przelknął, a wówczas go na brzeg wyciągał. Ale nasz Indus miał przytem inną robotę daleko mozolniejszą, którą jednocześnie wykonać musiał. Oto potrzeba było przygotować zapas mocnych a cienkich nici do zszywania skórek. Nikt inny nie mógł tego wziąć na siebie, Gustaw niedarmo twierdził, że Ossaro z najlepszą prządką potrafiłby iść o lepsze w tej sztuce. To też wkrótce sporządził kilka motków najwyborniejszych nici. Następnie ukręcił porządny zwój sznura, na którym balon miał być wypuszczony na próbę.

Przez ten czas Gustaw zajął się gorliwie oczyszczaniem skór, zanurzając je w gorącym źródle, oskrobując nożem i osuszając. Starszy brat, zajmujący stanowisko naczelnego inżyniera, miał nadzór nad wszystkimi robotami, a często i czynnie przy nich pomagał. Często też robił wycieczki do lasu, przynosił stamtąd zapasy kleju, który miał służyć do napuszczania szwów. Był to kauczuk, zbierał go z figowców pewnego gatunku, które rosną wszędzie w Indjach, nawet i na stokach Himalajów.

Przygotowawcze te roboty trwały przez cały tydzień, każdy w swoim wydziale pracował gorliwie, i wkońcu młodzieńcy nasi mieli już dostateczną ilość materiałów, potrzebnych na balon, pora więc była przystąpić do dzieła. Tu znowu najważniejsza rola przypadła Indu-

sowi, on to miał zająć się zszywaniem skór, a na szczęście znalazły się wyborne igły w szkatułce Karola, który zaopatrzył się przed podróżą w drobiazgi rozmaite, chociaż ani on, ani Gustaw, nie umieli użyć tych igieł.

Przez ciąg drugiego tygodnia siedział Indus nad szyciem, aż dnia ósmego ogromny worek, który miał utworzyć balon wydęty, był całkowicie ukończony, szwy powleczone klejem, na koniec przytwierdzono lekką łódkę, przeznaczoną dla napowietrznych żeglarzy.

LI.

DALSZE PRZYGOTOWANIA.

Karol jeden z pomiędzy trzech towarzyszy miał dokładne wyobrażenie o urządzeniu balonów. Tłumaczył on bratu, jak wspomnieliśmy wyżej, że gdyby chciał dłużej utrzymać się w powietrzu, musiałby zabierać z sobą przyrząd do rozpalania ogniska. W razie potrzeby, byłby i na to znalazł sposób, zwyczajny koszyk, gliną wyłożony, zastąpiłby zupełnie naczynie metalowe. Ponieważ jednorazowe rozgrzanie aż nadto wystarczało do wzniesienia balonu na szczyt skalistego muru, przyrodnik nie myślał wcale o tym przyrządzie.

Nie mógł jednakże obejść się bez łódki; gdyby ta miała służyć do dłuższej podróży, należałoby ją bardzo starannie urządzić, aby się nie popsukała w drodze. W obecnych okolicznościach ta łódka nie potrzebowała być bardzo mocna, zwyczajny koszyk bambusowy zupełnie wystarczał, byle był porządnym sznurkiem uwiązany do balonu.

W dolnej części worka, który miał być wypełniony rozrzedzonym powietrzem, pozostawiono mały otwór okrągły, objęty bambusową obręczą, do niej też uwiązana była łódka. Domyślcie się zapewne, do czego miał służyć otwór; wszakże należało wprowadzić ogrzane powietrze do wnętrza balonu, ażeby go wydać. A teraz zapytacie może, jakim sposobem ogrzewa się w takim razie powietrze? Gustaw i Ossaro także o tem nie mieli dokładnego wyobrażenia, zadanie to wziął na siebie przyrodnik. Każdy odgadnie, że nie mógł tego dokonać inaczej, tylko zapomocą ognia, ale jak tu podłożyć ogień pod taki worek, który się z łatwością zapalić może, a uchronić go jednak od uszkodzenia?

Karol to wszystko obmyślił już zawczasu, lecz na pytanie towarzyszy uśmiechał się tylko, powtarzając, że sami obaczą przecież, jakim sposobem on tej sztuki dokaże. Dopiero więc wówczas wyjaśnił im w kilku słowach rzecz

całą, gdy nadeszła pora brać się do dzieła. Najpierw według wskazówek jego umieszczono worek na tykach w ziemię wbitych, zwracając go otworem wdół, w pewnym oddaleniu od ziemi. Teraz pozostawało tylko zapalić ogień w tem miejscu, to jest pod tym otworem, ażeby powietrze rozgrzane i tem samem lżejsze, powoli wchodziło do balonu, wypychając stamtąd powietrze zimne i cięższe. Balon, wypełniony całkowicie takim powietrzem, musiałby się stać tak lekkim, że uniósłby się wgórę, jak korek, wypływający na powierzchnię wody. Było to bardzo łatwe do zrozumienia.

Takim porządkiem miały się odbyć rzeczy, gdyby się przedsięwzięcie powiodło. Karol jednakże coraz więcej o tem wątpić zaczynał, im bliższą była chwila stanowcza. Widział on doskonale, że skóry węgorki, pomimo najstaranniejszego oczyszczenia, wymoczenia w wodzie wrzącej i oskrobania, zawsze były znacznie cięższe od tkaniny jedwabnej. Wszystko jednak zależało od lekkości balonu.

Inna jeszcze okoliczność zwiększała niepokój młodego przyrodnika. Miejscowość, w której się znajdowali, wzniesiona była na 3,000 metrów najmniej nad poziomem morza. Na takiej wysokości, jak wiadomo, powietrze jest znacznie rzadsze, niż w miejscach niżej położonych; dlatego to ten sam balon, który szybko wznosi

się w górę, gdy jest wypuszczony na morskiem wybrzeżu, przeniesiony na wysoką górę, wcale nie wzleci w powietrze. Tu więc potrzeba było mieć balon daleko lżejszy od zwyczajnego, aby ziścił pokładane nadzieje.

Takie to myśli snuły się ciągle po głowie Karola i odbierały mu do reszty ufność w powodzenie zamierzonej żeglugi napowietrznej. Nieraz też, zastanawiając się nad temi rozmaitemi przeszkodami, chciał rzucić wszystko, lecz potem znów powstrzymywała go myśl, że, nie znając dokładnie zasady urządzania balonów, mógł się mylić, mógł obliczać fałszywie, a jeżeli było choćby najmniejsze prawdopodobieństwo powodzenia, choćby jedna szansa na sto lub tysiąc nawet, zawsze należało popробować, skoro się raz tyle trudów podjęło.

Stało się więc na tem, aby przystąpić niezwłocznie do wypuszczenia balonu, jak tylko wszystkie przygotowania wstępne zostaną ukończone. Pewnego tedy pięknego rana, w najpiękniejszą pogodę, gdy worek przymocowany już był należycie na tykach drewnianych, łódka uwiązana do niego w równowadze, rozpalono pod otworem małe ognisko, przeznaczone do rozgrzania powietrza. W ognisku tem jednakże nie paliły się zwyczajne drewka, ani inny pospolity rodzaj paliwa, chociaż i tym sposobem byłoby się potrzebne ciepło wywiązało.

Karol przypomniał sobie opisy pierwszych doświadczeń braci Montgolfierów, wynalazców żeglugi napowietrznej, oraz następców ich z tego początkowego okresu, gdy jeszcze do nadymania balonów nie używano wodoru lub gazu oświetlającego. Otóż wówczas rozgrzewano powietrze pod balonem, paląc tam wełnę i słomę drobno pokrajaną, doświadczenie okazało bowiem, iż to było najdogodniejsze do tego paliwo. Młody nasz przyrodnik, idąc za przykładem tych znakomitych poprzedników swoich, nagromadził zapas trawy suchej, zamiast słomy, i dodał do tego trochę sierści koziorożców, w zastępstwie wełny. Już wspomnieliśmy wyżej, że sierść ta jest miękka, z niej to wyrabiają na wschodzie piękne szale kaszmirowe.

Koszyk, uwiązany pod balonem, był niewielki, inaczej bowiem przyczyniłby za dużo ciężaru. Oczywiście też nie mógłby był pomieścić trzech pasażerów, nie licząc już ogromnego ogara, bo nie przypuszczacie zapewne, aby Neron miał być zapomniany przez swoich panów. Pocziwy pies dzielił z nimi złe losy, czyżby w pomyślności rozstawać się z nim chcieli? Koszyk, zastępujący łódkę balonu, przeznaczony był na jedną tylko osobę i to było zupełnie dostateczne dla naszych jeńców. Gdyby jeden z nich tylko zdołał wydostać się na wierzchołek skały, inni nie potrzebowaliby

już balonu, aby się wyswobodzić, towarzyszy znalazłby na to z łatwością sposób. Udałby się jak najspieszniej do miejsc zamieszkałych, a te nie były zbyt oddalone, dzień lub dwa dni drogi starczyłyby nato, aby osiągnąć jakiej wioski, tam zaś można było znaleźć potrzebną pomoc i dostać drabiny takiej długości, aby je można było puścić w głąb doliny.

Uradzono zawczasu, który z trzech jeńców miał się puścić balonem, domyślacie się zapewne, że jednogłośnie wybrano do tego Indusa, on zaś chętnie się na to zgodził. Dwaj bracia wcale nie dlatego ustąpili mu pierwszeństwa, aby się mieli obawiać niebezpieczeństw napowietrznej podróży, lecz wiedzieli, że żaden z nich w tym razie nie potrafi się tak dobrze sprawić jak Ossaro, który znał język miejscowy, wszędzie więc łatwiejby się porozumiał z krajowcami. Zresztą był on tak zręczny i pomysłowy, że gdyby nawet nie znalazł pomocy u mieszkańców okolicznych, sam w ostateczności obmyśliłby środki ratunku dla towarzyszy, sporządziłby drabinę, lub coś podobnego i z pewnością nie pozostawiłby ich długo w dolinie bez wyjścia.

LII.

CHWILA STANOWCZA.

Młodzieńcy nasi przystąpili nakoniec do najważniejszej części swojego dzieła, do nadymania balonu. Ułożyli w miejscu właściwem, pod samym otworem, stos suchej trawy, zmieszanej z sierścią koziorożca, Karol wziął w rękę pochodnię zapaloną, Gustaw trzymał sznur, uwiązany do balonu, aby mu nie dać umknąć zbyt prędko, a Ossaro stał w pogotowiu do podróży, tuż przy koszyku, do którego miał wskoczyć na znak dany i puścić się w drogę.

Niestety! czemuż są wszystkie zamiary i obliczenia rozumu ludzkiego? Ileż razy najlepiej obmyślane plany zawiodły w chwili stanowczej! Nadzieje naszych młodzieńców i teraz jeszcze miały być zawiedzione. Prawda, że wszyscy byli na to przygotowani; Karol zwłaszcza od początku wątpił bardzo w powodzenie śmiałego tego przedsięwzięcia, przystępował do niego jedynie, aby nic sobie nie mieć do wyrzucenia, a jednak gdy się przekonał, że przeczucia jego się sprawdziły, doznał tak strasznej boleści, jakgdyby nie był wcale do tego przygotowany.

W księdze przeznaczeń nie było zapisane, aby Ossaro zajął wyznaczone sobie miejsce

w koszyku, uwiązany pod balonem, i popróbowował żeglugi napowietrznej. Karol przytknął pochodnię do paliwa, umieszczonego pod balonem, sucha trawa i wełna zajęły się z łatwością, buchnął płomień z dymem zmieszany, ogrzane powietrze wchodziło do balonu, który zaczął się zwolna wydymać, na koniec powłoka jego rozciągnęła się zupełnie i przybrała kształt olbrzymiej kuli.

Wówczas balon począł się lekko kołysać, wzniósł się nieco w powietrze, pociągnął za sobą sznury, ale niestety! nie zdołał nawet poruszyć koszyka, bujał tylko ociężale nad samą ziemią, a kiedy niekiedy opadał zupełnie, potem znów podrywał się do lotu; wszystko to jednak było nadaremne, balon oczywiście za nadto był ciężki, aby mógł jakikolwiek ciężar, choćby próżny ów koszyk, unieść w powietrze.

Karol nie przestawał podtrzymywać ogniska, dokładał ciągle paliwa, ale balon był dostatecznie wydęty, tylko siły mu brakło, a tej nikt mu dodać nie mógł. W niższej jakiej miejscowości, na morskiem wybrzeżu, możeby się uniósł w powietrze, choć niezbyt wysoko, tu ani się poruszył i ciągle bujał w równowadze ponad koszykiem, spoczywającym na ziemi.

Młody przyrodnik nie szczędził usiłowań i przez całą godzinę podtrzymywał ogień pod balonem; zaczął dodawać do niego smolnego

łuczywa, sądząc, że wyższa temperatura spowodzi większe rozrzedzenie powietrza i balon na koniec wypchnie w górę. Ale na nic się to wszystko nie przydało. Ciężki przyrząd kilka razy wprawdzie podźwignął się na parę łokci od ziemi, podniósł nawet i koszyk, zawsze jednak opadał napowrót i kołysał się w jednej mierze ponad ogniskiem.

Nakoniec Karol utracił cierpliwość, nadzieja go ostatecznie opuściła, wahał się przez chwil parę, spoglądał z żalem na balon, potem odwrócił się od niego i odszedł wolnym krokiem do chatki. Gustaw także udał się za nim, westchnąwszy z goryczą.

Indus sam pozostał, zbliżył się więcej jeszcze do balonu i przez czas jakiś przypatrywał mu się uważnie, jakgdyby chciał obrachować wszystkie ściegi, które wykonał własnoręcznie, zanim zdołał sporządzić ten olbrzymi wór skórzany. To go doprowadziło do ostatecznej złości, wymówił w języku swym ojczystym parę słów, które nie musiały zawierać pochwały balonu, sądząc z wyrazistych jego gestów, ale raczej na przekleństwa wyglądały. Wkońcu, nie mogąc się powstrzymać, Ossaro podniósł nogę i ugodził nią z całej siły w niegodziwy przyrząd, który sobie tak zażartował z niego, skóra pękła, a reszty domyślacie się zapewne: powietrze rozrzedzone, znajdując

ujście wygodne, szybko poczęło odpływać na zewnątrz i układać się do równowagi z powietrzem otaczającym, powłoka balonu wypróżniała się tym sposobem, kurczyła, nareszcie worek pochylił się i spadł całym ciężarem na niewygasłe ognisko. Skóry, siatka sznurowa, obręcz z bambusu, wszystko to spłonęło do szczętu, z okazałego balonu, z mozolnej pracy trzech towarzyszy, równie jak i z nadziei, które w tym przyrządzie pokładali, pozostała tylko kupka popiołu.

Dwaj bracia, siedząc na progu chatki, spostrzegli co się działo, widzieli ogień wybuchający w górę i pożerający balon, ale nie poruszyli się nawet z miejsca. Gdyby się to było stało przypadkiem przed dwiema godzinami, byliby utratę balonu uważali za największe nieszczęście, ubolewaliby nad nią gorzko. Ale teraz patrzyli na to z taką obojętnością, z jaką, według świadectwa historyków, okrutny cesarz Neron patrzył na pożar Rzymu.

LIII.

ZNIECHĘCENIE.

Nigdy jeszcze, przez cały czas pobytu swego w dolinie bez wyjścia, przymusowi jej mieszkańcy nie czuli się tak przygnębieni, jak

teraz, gdy balon ten, jakby olbrzymia bańka mydlana, rozwiął się i znikł im z przed oczu, pozostawiając po sobie smutne wspomnienie jedynie. Wyczerpali na to ostatnie przedsięwzięcie resztki cierpliwości, zręczności, przemyśłu, zdawało im się, że już teraz niezdolni są nic wymyśleć, ani wykonać. A nie było to przygnębienie chwilowe, powstające wskutek znużenia, lub zawodu jednorazowego, uczucie to graniczyło z rozpaczą.

W położeniu ich rozpacz niczem jednakże nie była usprawiedliwiona; nie groziło im przecież w tej chwili żadne nowe niebezpieczeństwo, życie ich było znośne, nie brakło im żywności, wygody nawet dla ludzi tak mało wymagających mieli dostateczne. Ale nacóż się zdało to wszystko, skoro życie ich było nieużyteczne w tej pułtynie, odciętej od reszty świata i społeczeństwa ludzkiego?

Karol myślał czasem, że gdyby miał książki i mógł się oddawać ulubionej pracy naukowej, długie dni samotności upływałyby mu daleko znośniej; to pewna jednak, że i nauka wkońcu musiałaby mu się uprzykrzyć, gdyby nie miał żadnej sposobności spożytkowania jej dla dobra bliźnich. Człowiek stworzony jest do życia towarzyskiego; osamotniony, pozbawiony widoku innych ludzi, współbraci swoich, nie znajdzie zadowolenia, ani w cudach przyrody, ani nawet w nauce.

Gustaw nie rozmyślał i nie zastanawiał się zbyt wiele nad położeniem swoim, starał się nawet ile możności zapominać o niem, bo na samą myśl, że do końca życia będzie musiał pozostać w tej pustelni, krew mu się w żyłach ścinała.

I Ossaro niemniej był od sahibów swoich stroskany; oni tęsknili za krainą północną, za cywilizacją europejską, Indus wzdychał ciężko na wspomnienie spiekłych równin Bengalu, palmowych i bananowych gajów, a wszyscy trzej podobno najwięcej byli spragnieni widoku ludzkich twarzy.

Ta myśl przypominała im jednak, że położenie ich, jakkolwiek smutne, nie było pozbawione wszelkiej pociechy. Wszakże każdy z nich w tej pustelni miał dwóch towarzyszy, nie mógł więc uważać się za osamotnionego zupełnie, bo trzech ich było razem. Ilużto nieszczęsnych rozbitków spotkał los daleko sroższy! Byli pomiędzy nimi tacy, którzy mowy nawet zapomnieli, przebywszy lata całe na bezludnej wyspie. Historia Robinsona nie jest wcale wymysłem, niejeden Robinson istniał rzeczywiście na świecie.

Myśli te i wiele innych podobnych snuły się po głowie naszych młodzieńców przez cały wieczór i cały dzień następny. Upływały długie godziny jedna po drugiej; a oni niczem nie

starali się ich skrócić; zapomnieli nawet o jedzeniu i głód dopiero dotkliwy przypomniał im, że bądź co bądź trzeba posilić ciało, choćby duch upadał pod brzemieniem smutku. Karol pierwszy ocknął się z tego ciężkiego przygnębienia.

— Jeżeli już niema dla nas żadnego ratunku — rzekł do towarzyszy — jeżeli mamy całe życie spędzić wśród tego pustkowia, starajmy się znosić ten los cierpliwie i zgodzić się z wolą Bożą. Narzekanie i zagłębianie się w smutku nie może nam przynieść żadnej ulgi; najlepszym sposobem osłodzenia ^{sobie} życia jest zawsze praca, bo bezczynność nawet wśród rozkoszy prowadzi do nudów i zasmucenia. Szukajmy więc rozrywki, krzepmy się, jak możemy, nie upadajmy na duchu. Pomyślmy o tem, żeby sobie zabezpieczyć na czas dłuższy obfity i smaczny pokarm. Zapewne, że najwyszukańsze przysmaki pocieszyć nas nie zdołają, ale tu idzie o to, żebyśmy ^{się} ruszali i mieli nieustannie coś do roboty.

Pocziwy botanik starał się pokonać własne przygnębienie, a żeby dodać odwagi bratu, a i biedny Ossaro miał ^{twarz} tak przeciągniętą, że przykro było patrzeć na niego. Karol zwrócił się także do Indusa z kilku serdecznymi słowami, miał on ^{sobie} za ^{obowiązek} podtrzymać moralnie obu towarzyszy, uchronić ich

od rozpacz. Zrazu mu się to niezbyt udawało, ale czasem i oni zrozumieli, że tylko jedna rezygnacja mogła im przynieść ulgę, a praca jakąkolwiek rozrywkę. Zresztą żaden z nich nie miał ochoty umierać z głodu, a tu spiżarnia była pusta, należało ją zaopatrzyć jak najspieszniej. To też młodzieńcy, zrzuciwszy pychę z serca, powrócili do dawniejszych swych zajęć.

Gustaw zaczął polować, zastawiał sidła na rozmaitą zwierzynę, wprawiał się w strzelaniu z łuku, Ossaro łowił ryby, on bowiem z trzech towarzyszy najlepiej umiał się obchodzić z wędką i z siecią. Botanik zajął się wyszukiwaniem rozmaitych roślin pożytecznych; nieraz w wycieczkach swoich napotykał krzewy i zioła, których owoce, korzonki lub liście mogą służyć za pokarm, lub posiadają własności lecznicze; ponieważ był bardzo uważny, więc pamiętał, w którym miejscu rosły, i umiał je odnaleźć. Dotąd na szczęście żaden z nich nie chorował, niemniej jednak Karol zbierał starannie wszelkie zioła, które się w takim razie przydać mogły, suszył je i chował w bezpiecznym miejscu.

Ze wszystkich roślinnych pokarmów, których dostarczała flora doliny bez wyjścia, najszacowniejsze były dla naszych młodzieńców ziarna jadalne pewnego [gatunku sosny, zwa-

nej w klasyfikacji naukowej: *primus gerardiana*. Szyszki jej są duże, jak karczochy, a pod łuskami ukrywają się orzeszki, z kształtu i rozmiarów podobne do pistacyj. Karol nazbierał także spory zapas amarantów dzikich, które Indus wymłócił, a nasiona starł na mąkę i upiekł z niej wcale dobre placki. Smak ich nie mógł zapewne iść w porównanie z pszenym lub żytnim chlebem, ale dla ludzi, którzy oddawna pozbawieni byli najlichszych sucharów, zawsze to był przysmak nielada.

Nawet i w jeziorze, oprócz węgorzy i ryb rozmaitych, znajdowały się rośliny wodne jadalne. Tak naprzykład, między innymi botanik znalazł tam kotewkę, *trapa bicornis*, której ziarna, zwane przez mieszkańców himalajskich *ingara*, stanowią pokarm bardzo smaczny i zdrowy. Wyrastała tam także obficie wspaniała lilja wodna, czyli nurzykłąb, *nelumbium*, o liściach obszernych i dużych kwiatach różowych. Karol znał dobrze tę roślinę z opisów, wiedział, że nietylko ziarna jej, do orzeszków podobne, ale i łodygi jadane są przez ubogich mieszkańców Kaszmiru, gdzie nurzykłąb jest bardzo pospolity.

Botanik opowiedział towarzyszom mnóstwo ciekawych szczegółów o rozmaitych użytkach tej pięknej rośliny w Indjach. Rybacy zrywają ogromne jej liście i wkładają je na głowę

w miejsce kapeluszy, dla ochrony od palących promieni słońca; gruba zaś, wydrążona łodyga służy im za naczynie do czerpania wody. Dla naszych młodzieńców najważniejsze były jednak własności pożywne tej rośliny, nagromadzili też spory zapas nasion i łodyg, i tak w krótkim przeciągu czasu spiżarnia ich zaopatrzona została w żywność wszelkiego rodzaju, i nie potrzebowali obawiać się głodu na porę zimową.

LIV.

FASOLA PITAGORASA CZYLI FASOLA EGIPSKA.

Wspaniały ten nurzykłąb zwrócił był uwagę młodych myśliwców zaraz po przybyciu ich do doliny bez wyjścia; często też przyglądali mu się z wybrzeża, gdy jeszcze był w kwieciu. Ogromne liście, płasko rozłożone na powierzchni wody, zbliska tylko były widoczne, lecz piękne kwiaty różowe zdaleka nawet rzucały się w oczy. Gdy trzej towarzysze spostrzegli je po raz pierwszy, mała zatoka, na której wodna ta roślina wyrastała najobficiej, przedstawiała widok tak szczególny, że zrazu nie mogli sobie wytłumaczyć tego niezwykłego zjawiska. Pośród tych kwiatów, wyglądających z pewnej odległości, jak parter ogrodowy,

przechadzała się gromada ptaków tak swobodnie, jakgdyby nie po wodzie, lecz po ziemi stąpały. Były to ptaki duże, wysmukłe, o wysokich nogach, przyrodnik poznał odrazu, że należały do rzędu brodzących, jak czaple, bociany i inne, nie mógł jednak zdaleka oznaczyć ich gatunku.

Ptaki te wcale nie pływały, ale chodziły po wodzie, a czasem stawały na jednej nodze, według zwyczaju brodzących. Gustaw przypatrywał się temu z wielkiem podziwieniem, ale Karol, po chwili namysłu, odgadł, jakim sposobem ptaki mogły się utrzymać na powierzchni wody. Przyszło mu do głowy, że muszą stąpać po dużych liściach roślin wodnych. Czytał on właśnie przed wyjazdem z Europy opis owej wspaniałej lilji wodnej, odkrytej niedawno w Ameryce zwrotnikowej, zwanej koroniarką gujańską, *victoria regia*. Tam właśnie była wzmianka o ptakach brodzących, długoszponych, *jacana*, które zazwyczaj przechadzają się po rozłożonych liściach koroniarki. Karol nie wątpił, że miał przed sobą długoszpony bengalskie, ptaki, odznaczające się nadzwyczaj długimi palcami u nóg i niemniej długimi szponami.

Zbliżywszy się ostrożnie do wybrzeża, botanik nasz przekonał się, że domysł jego był słuszny, ptaki stąpały rzeczywiście po liściach

nurzykłąbu, które są mało co mniejsze od liści koronjarki.

Karol opowiedział towarzyszom, że piękna ta roślina wodna sławna już była w starożytności; Grecy nazywali jej ziarno fasolą Pitagorasa, lub fasolą egipską. Nurzykłąb musiał być dawniej pospolity w Egipcie, może go tam nawet hodowano, gdyż często przedstawiony, był z największą dokładnością na rzeźbach, a Grecy ziarna jego sprowadzali z Egiptu. Dziś jednak nigdzie go już napotkać nie można w dolinie Nilu. Niektórzy utrzymują, że sławna nazwa *lotusu*, który był czczony przez starożytnych, odnosi się do nurzykłąbu, co jest bardzo prawdopodobne, chociaż dziś nazywają zwykle lotusem inny gatunek grzybienia wodnego, mniej okazały, rosnący na wodach Nilu. Ziarno nurzykłąbu, podobne do bobu, jest smaczne, zdrowe i posiada tę własność, że orzeźwia i gasi pragnienie.

W Chinach nurzykłąb zwany jest *lien-wha*, przyrządzają tam z korzeni i ziarn tej rośliny potrawę bardzo wyszukaną. Korzeń kraje się na cienkie paski, przekłada się miazgą z ziarn, z dodatkiem kasztanów i migdałów, na to znów kładzie się warstwę słodkiej galarety zamrożonej. Przysmak ten bywa podawany przy najpłodniejszych ucztach; wielcy mandaryni chińscy traktują nim zwykle posłów europejskich.

Chińczycy robią także konserwy z korzeni nurzykłąbu, marynowanych w occie i soli.

W Japonji roślina ta jest także wysoko ceniona, jako produkt spożywczy, a oprócz tego otaczana czcią religijną. Nieraz tam widzieć można wyobrażenia bóstw, siedzących na szerokich liściach nurzykłąbu. Kwiat jest bardzo ozdobny, pięknie woniejący, biały, żółty lub różowy, ma kształt ogromnego tulipana, lecz, gdy liczne płatki zupełnie się rozwina, przybiera postać róży.

LV.

ŻNIWO WODNE.

Trzej towarzysze zapomnieli byli o roślinie wodnej, gdy piękne kwiaty znikły im z oczu. Przyrodnikowi pierwszemu przyszło teraz do głowy, że po okwitnieniu musiały zostać ziarna, których szacowne własności tak dobrze mu były znane. Sądząc z obfitości wspaniałych kwiatów różowych, pokrywających znaczną przestrzeń na jeziorze, i na ziarna musiał być dobry urodzaj, to też dnia pewnego młodzieńcy wybrali się na żniwo.

Każdy zabrał z sobą spory koszyk z sitowia roboty Indusa. Karol i Gustaw podnieśli spodnie aż do kolan, ażeby się nie zamaczać,

i zdjęli obuwie. Ossaro nie potrzebował robić żadnych przygotowań, bo krótka jego spódniczka ledwo do kolan dostawała i nie obawiała się wcale wody. Gdy zbliżyli się do wybrzeża, długoszpony, których zawsze pełno było pośród zarośli nurzykłąbu, umknęły w sitowia, a żniwiarze wodni weszli w mieliznę, zaczęli zbierać torebki nasienne i zsypywać je do koszyków. Wiedzieli, że jezioro w tem miejscu nie było głębokie, mogli więc brodzić po niem bez najmniejszej obawy.

Żniwo szło żwawo i koszyki były już prawie pełne, młodzieńcy chcieli na brzeg powracać, gdy spostrzegli na powierzchni wody cień jakiś duży, poruszający się leniwie, a po chwili i drugi podobny zjawił się tuż obok. Widok ten zdziwił ich i zastanowił, podnieśli oczy w górę, a to, co ujrzeli, w większe jeszcze wprawiło ich podziwienie.

Ponad ich głowami w powietrzu krążyła para olbrzymich ptaków. Szerokość skrzydeł ich rozłożonych wynosiła pewnie przeszło cztery metry od jednego końca do drugiego. Z pomiędzy tych skrzydeł, od piersi ptaków, wychodziła niezmiernie długa szyja, prosta, jak strzała, wyciągnięta w kierunku poziomym i zakończona dziobem szczególnego kształtu. Można by go porównać do wydłużonego słupka bodziszka, *geranium*. Właściwiej byłoby jednak ów

słupek porównać do dzioba ptaka, gdyż właśnie od tego podobieństwa pochodzi naukowa nazwa bodziszka, *geranium*, a i u nas kwiat ten bywa niekiedy zwany przez pospólstwo bocianim noskiem.

Były to w rzeczy samej ptaki z rodzaju bocianów, niezupełnie jednak podobne do naszych pospolitych, które gniazda budują na chatach wiejskich i łowią płazy na bagnach poleskich. Bocian ten, daleko większy i okazałszy od tego przyjaciela naszego, zwany jest w Afryce i w Indjach marabutem.

Karol i Gustaw poznali go odrazu, a nie potrzeba do tego zbyt rozległych wiadomości ornitologicznych, aby marabuta odróżnić od innych ptaków. Kto raz jeden widział go wypchanego w gabinecie zoologicznym, lub na wystawie sklepowej, nie pomyli się z pewnością, napotkawszy go potem żywego. Ale nasi młodzieńcy widzieli już w Indjach, w okolicach Kalkuty, liczne gromadki marabutów, przechadzające się po bagnistych nizinach.

Domyślacie się, że i Ossaro znał dobrze ptaka, który jest poświęcony Brahmie i jak bóstwo prawie czczony przez jego wyznawców. Widok ten tak gwałtowne wywarł na nim wrażenie, że z wielkiej radości opuścił koszyk i ziarna w wodę wysypał.

Postać marabuta jest nadzwyczaj odrębna i uderzająca. Ma on grzbiet przykryty płaszczem ciemno brunatnym, spód ciała śnieżnej białości, długa szyja naga, jak u sępów, opatrzona jest workiem koloru ceglastego. Łatwo też dostrzec pod ogonem jego pióra puszyste, tak wysoko cenione przez strojnisię pod nazwą marabutów.

Ptaki leciały powoli, jakby znużone, widocznie szukały wygodnego miejsca na wypoczynek. Krążyły jeszcze czas jakiś ponad jeziorem, nakoniec spuściły się zwolna i stanęły na brzegu jeden obok drugiego. Wybrały do tego wzniesiony nieco, zaostrzony cypel małego przylądka, wchodzącego głęboko w jezioro i tworzącego ową zatokę, zarosłą wodnemi grzybieniami. Stąd właśnie młodzieńcy weszli do wody, rozpoczynając zbiór nasion. W chwili gdy ptaki stanęły na brzegu, trzej żniwiarze brodzili w wodzie o kilkanaście kroków od tego miejsca, ale marabuty patrzyły na nich spokojnie, nie okazując najmniejszej obawy, widocznie nic sobie nie robiły z ich obecności i nie podejrzewały ich o żadne złe zamiary.

LVI.

M A R A B U T Y.

Trzeba przyznać, że ptaki, stojące na brzegu jeziora, nie były wcale piękne, a brzydota ich miała w sobie coś dziwnie śmiesznego. W licznej gromadzie ptaków brodzących nie znaleźlibyśmy ani jednego, któryby się dał porównać do marabuta, taka to jest postać odrębna, śmieszna a dziwaczna.

Gdy stoi nieruchomo na wysokich swych nogach, niby na szczydlach, ogromny ten bocian ma około dwóch metrów wysokości. Dziób jego dochodzi stopy długości, przy końcu zakrzywiony jest i wydęty, nieco garbaty. Skrzydła jego, gdy są zupełnie rozwinięte, zajmują przestrzeń czterech metrów przeszło, nie ustępują więc rozmiarami największym ptakom, jak albatros lub kondor amerykański. Barwę mają taką, jak wszystkie bociany, czarną z białem; ale czarny płaszcz jest jakby osmolony, w brunatny odcień wpadający, a i białosc brzucha nie może się nazwać śnieżną, co głównie stąd pochodzi, że ptak ustawicznie grzebie się w błocie, a z największą rozkoszą przebywa na bagnach, gdzie obfite znajduje pożywienie.

Naturalny kolor nóg marabuta jest ciemny, zawsze jednak nogi te pokryte są warstwą

błota i pyłu, trudno więc dopatrzeć prawdziwej ich barwy z pod tej powłoki. Ogon brudnawo czarny osłania owe puszyste białe pióra, używane do strojów kobiecych. W Afryce żyją także marabuty, odmienne nieco, nie tak bardzo brzydkie, jak azjatyckie, jedne i drugie najwięcej są cenione dla pięknych piór. Co najwięcej oszpeca azjatyckiego ptaka, to szyja obnażona, czerwona, pomarszczona, jakby ze skóry odarta, porośnięta brunatnym włosem w młodości; z wiekiem porost ten znika zupełnie.

To obnażenie szyi zbliża marabuty azjatyckie do sępów, które także bynajmniej wdzięczną postacią się nie odznaczają. Dodajmy do tej obrzydliwej szyi worek z takiejże samej skóry, wiszący na piersiach, dochodzący czasem trzydziestu centymetrów; barwa jego przybiera różne odcienie, od brunatno cieliściego, aż do ognistego, jak mięso świeżo ze skóry odarte.

Inny dodatek, równie potworny, uczepiony jest na karku ptaka, wprost naprzeciw owego worka, i wygląda nakszałt garbu. Jest to rodzaj pęcherza, który się dowolnie wypełnia powietrzem, uczeni nie doszli jeszcze na pewno, do czego to może służyć. Prawdopodobnie jest to coś podobnego do pęcherza pławnego u ryb, i musi ułatwiać lot ptakowi. Zau-

ważono, że worek ten rozszerza się, gdy słońce przygrzeje, zapewne z powodu rozprężenia ogrzanego, a tem samem rozrzedzonego powietrza. Ponieważ marabut wznosi się czasem bardzo wysoko, więc zapewne potrzebuje tego pomocniczego przyrządu do utrzymania się w wyższych warstwach atmosfery, gdzie powietrze jest rzadsze. W dorocznych swoich wędrówkach ptak przelatuje zwykle ponad szczytami Himalajów, a możeby nie potrafił tej sztuki dokazać, gdyby nie miał sposobu zmniejszenia ciężaru swego ciała.

Jak wszystkie ptaki tej rodziny, marabut jest nadzwyczaj żarłoczny i nie przebiera wcale w jedzeniu. Mięsożerny i drapieżny, żywi się najchętniej padliną i najobrzydliwszymi rzeczami, czem także przypomina sępy. Pożera zwykle, jak bracia jego bociany, żaby, węże, a czasem i małe czworonożne zwierzątka, i ptactwo; widziano raz marabuta, pochłaniającego odrazu sporego kuraka. Dałby z pewnością rady i większym stworzeniom, ale wogóle nie lubi polować, bo pomimo ogromnych rozmiarów i siły niepospolitej, jest tchórzem, jakich mało. Dziecko uzbrojone w pręcik odpędza go z łatwością, a odważna kwocznica nigdy go nie dopuści do swoich piskląt.

Prawda, że nie ucieka pokornie, ale podnosi hałas, nadyma gardziel, przybiera groźną

postawę, a z dzioba, otworzonego szeroko, wychodzi głuchy odgłos, jakby mruczenie tygrysa lub niedźwiedzia. Wszystko to jednak są przechwałki, bo jeśli tylko słabszy przeciwnik nie ustąpi, zuchwalec spuszcza z tonu i wkońcu umyka, jak niepyszny.

Wspomnimy tu jeszcze o innych gatunkach marabutów; żaden z nich nie dochodzi olbrzymich rozmiarów bengalskiego, opisanego powyżej. Afrykański, żyjący w strefie zwrotnikowej, jakkolwiek mniej szpetny niż azjatycki, nie ma jednak tak pięknych i delikatnych piór. Inny gatunek, odmienny nieco, żyje na wyspie Sumatrze, widziano także marabuty na Jawie.

Dziwna rzecz, że takie szczególne stworzenia przez czas długi prawie nieznanne były uczoneму światu. Przyrodnicy dopiero od lat kilkudziesięciu zaczęli się bliżej przypatrywać marabutom, a i teraz jeszcze nie zbadali dokładnie ich obyczajów. Jest to tem dziwniejsze, że ptak ten nie należy wcale do osobliwości w Indjach, marabuty snują się licznymi gromadami na wybrzeżach Gangesu, nieraz nawet przechadzają się po ulicach Kalkuty i można je wziąć za ptaki oswojone.

Prawda, że mieszkańcy Indyj szanują je niezmiernie i nigdy im najmniejszej krzywdy nie wyrządzają, a czynią to głównie przez

wdzięczność, gdyż marabuty niepospolite im oddają usługi, oczyszczając okolice mieszkań ludzkich z wszelkich płazów, z padliny i zgnilizny. Nie zważają więc na to, gdy marabut oprócz żab i węzów porwie kiedy niekiedy kurczę, kaczę lub inny drobiazg z pomiędzy ptactwa domowego. Zdarzało się nawet, że zuchwaly ptak zakradał się do środka mieszkalnego domu, chwycił ze stołu mięso, przygotowane na obiad lub wieczerzę, i uciekał z niem, zanim służba się opatrzyła.

Czasem gromadka marabutów przechodzi w bród przez płytką wodę, a wówczas rozkłada skrzydła i wygląda zupełnie jak flotylla małych czólenek. Wyszędłszy na wybrzeże, ptaki snują się leniwie po bagnach i moczarach, schylając się co chwila po jakąś zdobycz, a jeśli zwęszą gdzie padlinę, zbiegają się zewsząd stadami, pożerają chciwie zgniłe szczątki wszelkiego rodzaju zwierząt, a nawet i trupy ludzkie, które zabobonni Indusi wrzucają do świętej rzeki Gangesu, a które fala na brzeg wyrzuca. Często przy jednej podobnej zdobyczy napotkać można gromady marabutów, sępów i psów zdziczałych.

LVII.

SZCZEGÓLNY SEN.

Przybycie tych niespodziewanych gości do doliny wielkie wywarło wrażenie na obu braciach, a większe jeszcze na towarzyszu ich Indusie. Ossaro patrzył na ptaki tak zupełnie, jak na dawnych przyjaciół, którzy go nawiedzili w więzieniu, a chociaż nie wyobrażał sobie, aby mogły mu do oswobodzenia dopomóc, doznał jednak na widok ich bardzo przyjemnego uczucia.

Stworzenia te, jakkolwiek niepiękne, przypominały mu rodzinną zagrodę. Przekonany był, że to ta sama para marabutów, która się gnieździła wśród gałęzi ogromnej figi świątynicowej, rosnącej przy chatce jego ojca. Było to zapewne urojenie ze strony Indusa, bo czyliż on mógł odróżnić tę parę ptaków z pomiędzy niezliczonych gromad marabutów, wędrujących rokrocznie z równin bengalskich ku północnym wyżynom Himalajów?

Ossaro sam zrozumiał po chwili, że to przypuszczenie nie miało najmniejszego prawdopodobieństwa, a jednak nie przestał się cieszyć widokiem ptaków, które niezawodnie przybywały prosto z Bengalu, niedawno zapewne

przechadzały się na wybrzeżach świętej rzeki, siadały na strzechach jego współbraci.

Odmienne myśli snuły się po głowie Gustawa, gdy spoglądał na ptaki, unoszące się ponad jeziorem. Te skrzydła potężne budziły w nim nową nadzieję, mimowoli zaczął przemyślać nad tem, czy nie dokonałyby zadania, które się nie udało birkutom, i z latawcem spełzło na niczem?

— Bracie! — wykrzyknął wreszcie — jak ci się zdaje, czy taki ogromny marabut nie uniósłby sznura na wierzchołek skały? Patrząc na nie, możnaby przypuszczać, że potrafiłyby nawet którego z nas podnieść w powietrze.

Karol nic nie odpowiedział, ale się zadumał głęboko, ważył on w myślach słowa Gustawa.

— Gdybyśmy mogli przynajmniej którego z nich pochwycić—mówił dalej brat młodszy—ciekawa rzecz, czy one tu zlecą? patrzcie, patrzcie, spuszczają się naprawdę! Co ty o tem myślisz, Ossaro? ty znasz lepiej obyczaje tych ptaków.

— Tak, tak, sahibie, spuszczają się, to nie ulega wątpliwości — odrzekł Indus — one lecą zdaleka, muszą być bardzo zmęczone, a także głodne i spragnione. Tu jest woda i z pewnością zatrzymają się na tem wybrzeżu.

Zaledwie Ossaro tych słów domawiał, gdy

w rzeczy samej tak się stało. Jeden z marabutów spuścił się pierwszy na ziemię, drugi poszedł za jego przykładem i oba, jak już wspomnieliśmy wyżej, stanęły na wysokich swych nogach na samym końcu wyniosłego przyładka, o kilkanaście kroków od miejsca, na którym młodzieńcy brodzili w wodzie, zbierając nasiona nurzykłąbu.

Ptaki najzabawniejszy w świecie przedstawiały widok. Zdawałoby się, że, dotknąwszy stopą ziemi, pochylią się zaraz do wody i zaspokoją pragnienie, lub zaczną szukać żywności. Ale długodziobe te stworzenia nie pomyślały o tem; jeśli im głód dokuczał lub pragnienie, to jednak potrzeba odpoczynku daleko silniej uczuwać się dawała, i tę przedewszystkiem zadowolić musiały. Zaledwo stanęły na stałym gruncie, oba natychmiast przybrały osobliwszą postawę, każdy wciągnął długą szyję, jakgdyby ją wsunął w jakiś pokrowiec, głowę spuścił na piersi, koniec długiego dzioba zwracając prosto do ziemi; a jednocześnie podniósł jedną nogę i ukrył ją pomiędzy piórami na brzuchu.

Wszystkie te ruchy odbyły się szybko, jednozgodnie, jakby na komendę; w kilka sekund para marabutów była w głębokim śnie pogrążona, powieki ich szczelnie przystawały do siebie, a całe ciało przybrało postawę zu-

pełnie nieruchomą; najbystrzejszy wzrok niee zdołałby w nich dopatrzeć nawet lekkiego drżenia skrzydeł, wyglądały jak posągi marabutów.

Trudno sobie wyobrazić coś równie śmiesznego, jak te ogromne, niezgrabne ptaki, utrzymujące się w równowadze na jednej nodze, długiej a cienkiej i sztywnej, jak patyczek; marabuty spały sobie smacznie bez najmniejszej obawy, bo też cprawda i nie miały się czego obawiać, nikt im tu krzywdy wyrządzać nie myślał.

Indus zanadto był oswojony z takim widokiem, aby go miał rozśmieszać, ale Gustaw boki sobie zrywał, patrząc na uśpione ptaki. Nawet i Karol nie mógł się powstrzymać i zaczął się śmiać razem z bratem, a echa okoliczne powtarzały te głośne wybuchy wesołości dwóch braci.

Sądziecie może, że hałas ten rozbudził i spłoszył ptaki? Bynajmniej; wprawdzie usłyszeć musiały śmiechy, bo jeden po drugim otwierał oczy do połowy, przeciągał lekko szyję, podnosił dziób, zaklekotał nim nawet, ale po chwili oba zapadły znowu w sen spokojny i przybrały też samą postawę. Ta dziwna obojętność śpiochów zwiększała jeszcze wesołość naszych młodzieńców, a głośne ich śmiechy brzmiały przez kilka minut, zanim się zdołali powstrzymać i uspokoić.

LVIII.

SPRAWKA NERONA.

Trudno śmiać się bez końca; gdy więc już nawet i Gustaw miał dosyć tej głośnej wesołości, trzej towarzysze postanowili odnieść koszyki do chatki i zabrać się do schwywania marabutów. Indus upewniał, że to nie będzie trudno, podejmował się własnoręcznie zarzucić im pętle na szyję, bez przebudzenia ich ze snu. Uczyniłby to niezawodnie, lecz nie miał w tej chwili przy sobie ani kawałka sznurka lub tasiemki. Trzeba było koniecznie pójść do chatki po to.

Coprawda, trzej towarzysze sami nie wiedzieli dobrze, w jakim celu chcieli te marabuty pochwyć. Gustaw zamyślał o wypuszczeniu którego z nich z liną, uwiązaną do nogi, ale Karol pokręcał na to głową, bo nie pokładał żadnej nadziei w tej nieszczęsnej linie, która ich tyle razy już zawodziła.

Ossaro miał inny zamiar; sądził on, że w tej pustelni przyjemnie im będzie przyswoić te ptaki i mieć z nich niejako towarzystwo. Sam widok marabutów, jak wspomnieliśmy, miły był dla niego, budząc w nim wspomnienia rodzinnej ziemi. Tak więc, nie zdając sobie dobrze sprawy ze swoich zamysłów, wszyscy

trzej śpiesznie podążyli do chatki, ażeby zabrać stamtąd sznurek i pochwycić śpiące marabuty.

Dwaj bracia z wielką ostrożnością teraz wychodzili z wody, starali się nie robić najłżejszego szelestu, aby nie przebudzić ptaków przedwcześnie; Ossaro żartował sobie z tej przeczności.

— Bądźcie spokojni — mówił — czy one na nas zważają? Gdyby się nawet zbudziły, z pewnością nie odlecą tak prędko.

Indus miał słuszość. W okolicach nadgangesowych nietylko zabobon mieszkańców, ale i prawa krajowe zapewniają bezpieczeństwo marabutom, które tak są śmiałe do ludzi, że wcale od nich nie uciekają, a czasem im z drogi schodzić nie chcą. Nie było wprawdzie wiadomo, czy para, która zawitała do doliny bez wyjścia, przebywała przedtem w okolicach zamieszkałych, czy też w dzikiej jakiej pustyni; w takim razie, nie znając ludzi, mogła nie mieć do nich wielkiej ufności.

Powiedzmy odrazu, że przyrodnik miał pewną myśl, o której tymczasem nie chciał jeszcze wspominać towarzyszom; przyszła mu do głowy w chwili, gdy razem z Gustawem śmiał się do rozpuku, patrząc na zabawną postawę śpiących marabutów, i ta myśl tak go

zajęła, że odpadła mu ochota do śmiechu skłonił też i brata, aby się uciszył.

Karol wziął nadzwyczajnie do serca pochwycenie marabutów, obmyślał najlepsze sposoby do tego, doradzał, wydawał rozporządzenia, których jak zwykle słuchano bez szemrania, a tak gorliwie zajmował się tą całą sprawą, napozór niezbyt ważną, że Gustaw zaczął się czegoś domyślać.

Do chatki było niedaleko, Karol wyprzedził obu towarzyszy i, nim zdążyli za nim, powyciągał już wszystkie sznurki, jakie się naprędce znaleźć dały, opatrzył je i przygotował. Ossaro urządził pętlę po swojemu i uwiązał sznurek do długiej tyki bambusowej. Tak uzbrojeni, myśliwi nasi powrócili niezwłocznie na wybrzeże.

Zbliżając się do jeziora, obaczyli z radością, że ptaki ani myślały się przebudzać. Musiały daleką podróż odbyć i zmęczyć się porządnie, odsypiały też zapewne długą bezsenność i trudy niezwykle. Może ta zgodna para śniła o gnieździe, które zostawiła na konarach figi świątynkowej, albo na szczycie jakiej pagody, poświęconej bóstwu Brahmie. A może widziała we śnie malownicze wybrzeża Gangesu, woniejące bagna i moczary, a na nich smakowite różne przysmaki, gnijące mięsiwo, lub żywe żabki i węże.

Sny marabutów mało obchodziły naszego Indusa, który trzymał w ręku świeżo przyrzą-

dzony przyrząd z pętlicą; czy śniły o czemkolwiek, czy nie śniły wcale, wszystko mu to było jedno, byle tylko spały. Ossaro postępował cicho, bez najmniejszego szelestu, jak tygrys, gdy czatuje na zdobycz. Jeszcze parę kroków, a już miał dotrzeć do ptaków i pochwycić je w sidła.

Ale nie mów hoc, póki nie przeskoczysz. Indus przekonał się o prawdzie tego przysłowia. Zaledwie miał czas podnieść długi swój bambus, jeszcze się dobrze nie zamierzył, gdy oba marabuty zerwały się nagle, zaklekotały dziobami, wyciągnęły szyje i uleciały do góry, a krzyki ich wściekłe, podobne do ryku lwa, przebijały powietrze.

Biedny Ossaro nie był winien temu, co się stało, sprawiła to nieroztropność Nerona, chociaż poczciwe psisko nie miało także złych zamiarów, bo nie przypuszczało, aby który z panów pożądał podobnej zdobyczy. Trzeba wiedzieć, że Neron spał spokojnie w chatce, podczas gdy młodzieńcy zbierali ziarna wodnych roślin na jeziorze, nie widział więc jeszcze marabutów i spostrzegł je dopiero w chwili, gdy Ossaro podniósł bambus i zamierzył się swoją pętlą, na co pies jednak nie zważał. Jak szalony poskoczył naprzód, schwycił bliższego ptaka za ogon i cały pęk przepysznych piór pozostał mu w pysku, moż-

naby sądzić, że mu jedynie o tę piękną ozdobę chodziło.

Myliłby się jednak mocno, ktoby tak sądził. Neron był zanadto porządnym psem, aby miał przeszkadzać panom w czasie polowania, zamiast im przyjść z pomocą; tu jednak zachodziły okoliczności wyjątkowe, widok tej zwierzyny, którą nagle obaczył przed sobą, wyprowadził go z cierpliwości i pozbawił zwykłego umiarkowania. Trzeba wiedzieć, że Neron miał szczególniejszą nienawiść do marabutów, dokuczyły mu one więcej od wszystkich innych ptaków i zwierząt indyjskich; zaraz wyjaśnimy, jakim sposobem.

Karol i Gustaw spędzili czas jakiś w Kalkucie, przygotowując się do podróży w góry, a wówczas mieszkali u dyrektora ogrodu botanicznego. Dom ten otaczały obszerne dziedzińce, po których Neron krążył swobodnie. Wchodziła tam bardzo często para marabutów, hodowana w ogrodzie botanicznym, i pies często z niemi się spotykał. Ale stosunki jego ze skrzydlatymi stworzeniami wcale nie były przyjazne, ptaki nie zasłużyły na to bynajmniej.

Marabuty były tak oswojone, że zbliżały się do ludzi bez najmniejszej obawy, wchodziły do kuchni, jadły z rąk, a służba dyrektora karmiła je mięsem i rozmaitemi przysmakami. One jednak, zwyczajem swoim, nie poprzesta-

wały na tem, co im ofiarowano, lecz często jeszcze porywały bez pozwolenia różne smaczne kąski, które im pod dziób wpadły. Neron był nieraz świadkiem podobnych bezpraw, a raz mianowicie rabunek popełniony został z jego szkoda, i tego pies nie mógł zapomnieć, ani przebaczyć. Żarłoczna para pochwyciła mu z przed nosa pyszny kawałek mięsa, który mu sam kucharz dał na śniadanie. Neron ostrzył już zęby na ten smaczny kąsek, gdy rabusie niecnym podstępem pozbawili go tej uczyty, porywając mięso tak szybko, że nie miał czasu temu przeszkodzić.

Od tej pory pies poprzysiągł nienawiść i zemstę wieczystą marabutom, a ujrawszy teraz przed sobą śpiącą parę ptaków, uniósł się, i nie dziw, że popełnił taką niedorzeczność. Marabut, przebudzony tak niemile ze smacznego snu, narobił wrzasku okropnego, umknął natychmiast, i towarzysz przerażony poleciał za nim.

LIX.

UWIĘZIENIE MARABUTÓW.

Młodzieńcy nasi z wielkiem niezadowoleniem gonili wzrokiem za uciekającemi ptakami; mało brakło do tego, aby Neron nie został

przykładnie ukarany za nieroztropną swoją sprawkę. Trzeba też przyznać, że zasłużył na cięgi, i już Gustaw podnosił giętki pręcik z należytym zamachem, gdy Karol pochwycił go nagle za ramię z przygłuszonym okrzykiem i uratował skórę Nerona od zasłużonej operacji.

Nie sądźcie jednak, ażeby botanik uczynił to przez współczucie dla poczciwego ogara, przeciwnie, byłby on może i sam dopomógł Gustawowi do wymierzenia kary winnemu, ale widok niespodziewany odwrócił uwagę jego od Nerona i skierował na inny przedmiot. Karol miał wzrok wlepiony w jednego z uciekających ptaków, a mianowicie w tego, którego pies tak niecnie potraktował, obrywając mu puszysty ogon. Czyliż resztki tej pięknej ozdoby zwracały na siebie uwagę przyrodnika? Nie, on wpatrywał się z natężeniem w długie nogi marabuta, wyciągnięte, jak dwa patyki, wtył poza uszkodzonym ogonem. Na jednej z tych nóg przedmiot jakiś świecił blaskiem metalicznym w tej chwili, promienie słońca prosto na niego padały.

Przedmiot ten był żółty i lśnił na słońcu tak zupełnie, jak blaszka polerowana, złota lub mosiężna; Gustaw i Ossaro spostrzegli to także, żaden z nich jednak nie mógł pojąć, co by to miało znaczyć. Ale Karol zrozumiał wszystko odrazu; nie bez powodu na widok dziwnej

blaszki doznał tak gwałtownego wzruszenia; przed oczyma jego błysła nadzieja ocalenia, błysła i wnet zagasła, bo marabuty unosiły się coraz wyżej, za chwilę zniknąć miały na zawsze, zabierając z sobą ostatni sposób wyzwolenia się z więzienia, wydobycia się z doliny bez wyjścia.

— O, co za nieszczęście!—zawołał wreszcie botanik ze smutkiem — co za okropne nieszczęście!

— Cóż się stało, bracie? — zapytał Gustaw zdziwiony.

— Ty nie wiesz — mówił tamten — te ptaki mogły nas uratować, niezawodnieby nas były uratowały; a teraz odlatują i wszystko stracone!

— Skądże znów ta pewność, Karolu?—ozwał się Gustaw — mnie się zdaje, że marabuty nie przydałyby się nam na nic, oneby liny nie uniosły, znowubyśmy się tylko darmo łudzili.

— Ja wcale nie myślałem o linie; był inny sposób; ach, gdybyś ty wiedział!...

— Ale cóż to wszystko znaczy? — mówił Gustaw, nie mogąc wyjść ze zdziwienia.

— Czyż nie widzisz tej błyszczącej blaszki na nodze marabuta? — zapytał Karol.

— Widzę coś błyszczącego — odrzekł Gustaw—musi to być jakaś blaszka mosiężna, nie pojmuję jednak, co w tem być może tak ważnego?

— Ja to pojmuję bardzo dobrze — mówił Karol z ciężkiem westchnieniem—że też ty nie domyślasz się, Gustawie?... Ach! czemużeśmy ich nie schwytali?... Nigdyśmy jeszcze nie byli tak bliscy ocalenia!... A teraz wszystko przepadło!... I to ty, niepocziwy Neronie, stałeś się przyczyną takiego nieszczęścia!... Do końca życia może żałować tego nie przestaniemy!...

— Nic a nic nie rozumiem, o co ci idzie, braciszku — rzekł Gustaw, wruszając ramionami — ale nie martw się tak bardzo, bo jeszcze nie wszystko stracone, a jeśli te ptaki przydać nam się naco mogą, kto wie, czy nie pochwycimy ich prędzej, niż ci się zdaje. Patrz, jak leniwie latają tu i owdzie, zaczynają się znowu spuszczać, zanadto są znużone, aby miały ochotę dalej lecieć. Czy widzisz, Ossaro im coś pokazuje, on je zna lepiej od nas, może je zwabić potrafi.

— O daj to, Wszechmogący Boże!—zawołał Karol, składając ręce — Gustawie, trzymaj Nerona, trzymaj mocno, żeby ich nie spłoszył powtórnie, idzie tu o nasze ocalenie.

Gustaw był nadzwyczajnie zdziwiony tem szczególnem wruszeniem brata, ale ponieważ przywykł być mu we wszystkim posłusznym, więc chwycił natychmiast Nerona za obrożę i trzymał go mocno na uwięzi obiema rękami.

Obaj bracia całą uwagę skupili teraz na Indusie: Gustaw śledził poruszenia jego z zajęciem, Karol z gorączkowym jakimś niepokojem. Roztropny Ossaro nie wybrał się na pochwycenie ptaków z próżnemi rękami. Na wszelki wypadek, oprócz sideł, przygotował jeszcze smakowity kąsek, dla zatrzymania ich, gdyby się przebudziły przypadkiem za wczesnie. Była to duża, tłusta ryba, i nasz Indus podniósł ją wysoko ponad głowę, ażeby marabuty mogły zdaleka obaczyć ten przysmak, który musiał być teraz bardzo pożądany dla nich, gdy już się trochę zdrzemnęły i pora była o śniadaniu pomyśleć. Ossaro rozumiał doskonale, tak samo jak i Gustaw, że marabuty były zmęczone i najmniejszej ochoty nie miały odlatywać, tylko niegościnnie przyjęcie Nerona obraziło je trochę i zniechęciło. Jeszcze się dobrze nie wyspały, a i posiłku potrzebowały pewnie; Indus wszystko to wyrozumował dokładnie i, jak tylko z miny marabutów dostrzegł, że ponętna ryba nie uszła ich wzroku, rzucił ją z rozmachem na ziemię, a sam usunął się na bok, pozostawiając wolne pole ptakom.

Sztuka udała się doskonale. Postać Indusa nie miała w sobie nic wstrętnego ani przestraszającego dla marabutów; cera jego ciemna i strój miejscowy wzbudzały w nich zaufanie, a postępek jego z rybą nie mógł ich także od-

stręczyć. Nerona Gustaw ukrył w krzakach, więc wszystko było w porządku, i ptaki, zawa-
hawszy się przez chwilę, może zresztą głodem
przyciśnięte, zaczęły się spuszczać i stanęły
znów na ziemi obok smakowitej rybki. Oba
jednocześnie pochwyciły zdobycz i ciągnęły ją
każdy w swoją stronę, bo każdy zapewne chciał
lepszą część dla siebie zagarnąć.

Jeden trzymał głowę ryby w ogromnym
dziobie, drugi chwycił jej ogon, zaczęły poze-
rać chciwie, tak, że dwa dzioby zbliżały się
szybko do siebie, aż wkońcu uderzyły się
wzajem z głuchym łoskotem. Żaden ustąpić
nie chciał, i niewiadomo, na czemby się ta
walka skończyła, gdyby zapaśnicy pozostawieni
byli własnym, niepoczciwym popędem. Lecz
w chwili, gdy oba ptaki zawzięcie wrywały
sobie rybę z gardła, Ossaro rzucił się na nie
z wyciągniętymi ramionami i oba naraz po-
chwycił w objęcia tak silnie, że się poruszyć
nie mogły. Karol i Gustaw nadbiegli mu na
pomoc, i wkrótce para marabutów uwiązana
była mocno na sznurku, a Neron, którego ten
sam los spotkał, bo Gustaw przywiązał go do
dużego krzaka, przyglądał się temu zdaleka
z nieopisaną radością.

LX.

ZNAK NA NODZE.

— A co! nie omyliłem się! — zawołał radośnie botanik, pochylając się i oglądając nogę jednego z pochwyconych marabutów.

— Cóż takiego? — spytał Gustaw.

— Patrz, braciszku; czyż nie widzisz tej obrączki mosiężnej na nodze ptaka? czy nie przypominasz sobie...

— Ach, prawda! — zawołał Gustaw — w botanicznym ogrodzie w Kalkucie marabuty nosiły takie obrączki. Pamiętam doskonale. Zabawna rzecz!

— Ależ to jest prawdziwe zrządzenie Opatrzności — mówił Karol — te ptaki przyleciały tu z Kalkuty, z botanicznego ogrodu; patrz, na blaszce są litery, czytaj!

— Kalkuta, R. B. G. — wymówił drżącym głosem Gustaw — rozumiem, to znaczy: *Royal Botanical Garden*, królewski botaniczny ogród. Ach! mój Boże! więc to też sama para marabutów, którąśmy tak często widywali w Kalkucie.

— Tak; to nie ulega najmniejszej wątpliwości.

— Teraz już wiem, dlaczego Neron z taką złością się na nie rzucił: on poznał ptaki, z którymi taką zawziętą wojnę toczył.

— Niezawodnie — rzekł Karol — ale musi się teraz z nimi pogodzić, nie pozwolę najmniejszej krzywdy zrobić tym marabutom, one nam ważną usługę oddać mogą.

— Powiedźże mi nakoniec, jakie ty nadzieje w tych ptakach pokładasz?—zapytał Gustaw.

— Nadzieje tak wielkie, bracie, że musimy teraz, wszelkich starań dołożyć, aby obrzydliwe te ptaki miały u nas wszelkie wygody. Musimy je paść, dogadzać im, strzec ich tak gorliwie, jak kapłanki starożytne strzegły ognia świętego w świątyniach.

— Żartujesz chyba, — rzekł Gustaw z niedowierzaniem.

— Nie, bracie, nie żartuję; życie tych marabutów jest dla nas teraz najważniejszą rzeczą w świecie. Gdyby one zginęły i my byliśmy także zgubieni. Na nich spoczywa ostatnia nasza nadzieja.

— Nadzieja, jakaż nadzieja?

— Więcej to jest niż nadzieja — mówił Karol z wzrastającym zapalem — trudno w tym dziwnym zbiegu okoliczności nie dopatrzeć wyraźnego zrządzenia Bożego. Miłosierny ten ojciec zlitował się nad nami, on to zesłał nam te ptaki; tak, zaiste, te marabuty są dla nas zwiastunami łaski Bożej.

Oczy Karola, gdy to mówił, wyrażały głębokie rozrzewnienie; Gustaw znał dobrze brata

i nie wątpił, że uczucia, przepelniające jego serce, miały źródło poważne, a nadzieje nie były powzięte lekkomyślnie. Darmo jednak łamał sobie głowę, nie mógł tej zagadki rozwiązać.

Ossaro także słuchał z uwagą słów starszego sahiba, a chociaż nie wiedział, o co idzie, stosował się do nich ściśle i nie zwlekając ani chwili, otoczył złowione ptaki najczulszą pieczołowitością. Jak tylko nogi ich porządnie zostały uwiązane tak, że nie potrzeba było obawiać się, aby umknęły, Indus wziął rybę, którą żarłoczne marabuty z dziobów wypuściły, pokrajał ją na kawałki i podawał je kolejno, to jednemu, to drugiemu, tak delikatnie i ostrożnie, jak matka, gdy karmi ukochane dzieci. Ptaki zajadały ze smakiem i nie okazywały żadnego niepokoju, na Indusa spoglądały tak przyjaźnie, jak na strażników ogrodu botanicznego, gdzie pędziły życie przyjemne i wygodne. Widok psa tylko sprawiał im przykrość widoczną ale gdy Gustaw odprowadził go do chatki, odzyskały zupełnie dobry humor.

Gustaw dotąd jeszcze nie rozumiał brata, nie pojmował, jakie on nadzieje pokładał w tych ptakach, dlaczego się tak cieszył, że się pojawiły w dolinie.

— Już też naprawdę bardzo jesteś niedo-

myślny — rzekł Karol — jeżeli tego odgadnąć nie możesz.

— Jakże ja odgadnę; jeżeli nie masz zamiaru wypuszczać ich z liną na szczyt skały...

— Ani myślę o czemś podobnem—odrzekł tamten—będę je tylko karmił starannie, a później... ale nic nie powiem, warto przecież, ażebyś usiłował sam się domyślić. Jeżeli macie głowy nie dla proporcji, ty i Ossaro, zadajcie sobie trochę trudu.

Gustaw i Ossaro spojrzeli na siebie i zaczęli rozmyślać, oparłszy głowy na dłoniach, ale przerwał im Karol, mówiąc:

— Teraz nie pora do tych namysłów, będziecie mieli nato dość czasu; trzeba się zająć naprzód uwiązaniem ptaków tak, jak należy; ten sznur nie jest dość mocny, mogłyby się broń Boże zerwać i podziękować nam za gościnność. Wybierzemy najmocniejsze sznury i natychmiast przeniesiemy je do chatki. Ty, Gustawie, idź naprzód, wyprowadź stamtąd Nerona i uwiąż go gdzie dalej, żeby nam ptaków nie przestraszył. Odtąd musi być ciągle uwiązany, a nawet gdy z nami pójdzie na polowanie, będziemy go na smyczy prowadzić. Najmniejsza nieostrożność wszystko wniwecz obrócić może. A raz jeszcze wam to powtarzam: ocalenie nasze zależy od tych ptaków.

Mówiąc to, Karol wziął ostrożnie na ręce

jednego marabuta, Ossaro drugiego, i zanieśli je do chatki, chociaż niezbyt chętnie na to przystały, wrywały się z całych sił, krzyczały i klekotały dziobami. W chatce uwiązano je mocnemi sznurami do najgrubszej belki. Ile razy młodzieńcy wychodzili, zamykali chatkę starannie i przyciskali drzwi ciężkimi kłódami drzewnemi.

LXI.

P O S E L S T W O.

Załatwiwszy się z marabutami, Gustaw i Ossaro zajęli się przechowaniem ziarn nurzykłąbu, a gdy i ta robota była ukończona, usiedli na progu chatki i zaczęli rozmyślać nad osobliwszą zagadką, którą Karol im dał do odgadnięcia. Obaj milczeli, każdy chciał na własną rękę odgadnąć i uprzedzić drugiego, tak zupełnie, jakgdyby szło o wygranie zakładu.

Karol także głęboko był zadumany, on jednak nie bawił się już w domysły, wiedział dobrze, o co mu chodziło, zamiar jego był jasny, jak dzień, zaprzętały go tylko sposoby wykonania. Marabuty, uwiązane na długich sznurach, zgodziły się już zupełnie ze swoim losem, wyszły z chatki i przechadzały się poważnie tuż obok młodzieńców, dziobiąc łapczy-



...ptaki... uniosły się w powietrze... (str. 264).

wie różne ochłapy, porozrzucane przed progiem.

Gustaw spoglądał na nie i zatrzymał wzrok dłużej nieco na owej obrączce mosiężnej, którą jeden z nich miał na nodze. Teraz nakoniec rozjaśniło mu się nagle w głowie, zagadka stała się zrozumiała dla niego. Ten napis, wryty na blasze, oznaczał miejsce, z którego ptak przybywał, każdy, kogo tylko napotkał po drodze, od razu dowiadywał się o tem, po przeczytaniu napisu. Wszakże tym samym sposobem można było przesłać i stąd wiadomość w dalsze strony...

— Wiem już, wiem wszystko!—wykrzyknął Gustaw, zrywając się i biegnąc do brata — odgadłem myśl twoją Karolu, myśl znakomitą i pełną mądrości!

— A, nakoniec—rzekł botanik, uśmiechając się żartobliwie — lepiej późno, niż nigdy. Mogłeś jednak wcześniej trochę tak prostej rzeczy się domyślić. Czy tylko trafnie odgadłeś, bracieczku?

— O, zaręczam ci, że odgadłem — mówił Gustaw — te marabuty mogą nam zastąpić pocztę, nieprawdaż?

— Otóż właśnie—rzekł Karol, potakując.

— O, co za wyborny pomysł! — zawołał Ossaro, chwytając się za głowę — sahibie, nie mogłeś wymyślić nic rozumniejszego, Ptaki

najniezawodniej polecać napowrót do Kalkuty i zaniosą list do tamtejszych sahibów, a oni pośpieszą nam na ratunek.

Indus poskoczył, jak szalony, raz i drugi, potem zaczął tańczyć naokoło chatki, wykrzykując radośnie. Taki był w rzeczy samej pomysł Karola. Jak tylko zobaczył marabuty, zaraz mu to przyszło do głowy, że one mogą odlecieć za parę miesięcy do okolic zamieszkałych; cóż dopiero, gdy obaczył blaszkę z napisem! Wtenczas już nie wątpił, że ptaki te mogły ich ocalić, zanosząc wiadomość o smutnym ich losie do Kalkuty, gdzie mieli znajomych i przyjaciół. Dlatego to młodzieniec z takim wzruszeniem mówił, że ptaki te zesłała Opatrzność, litując się nad nimi.

Z A K O Ń C Z E N I E.

Więźniowie nasi przebyli jeszcze kilka miesięcy w niepewności, wkońcu jednak doczekali się pomocy. Nadeszła pora deszczów, gdy wszystkie rzeki i strumienie w Indjach wychodzą ze swych łożysk, rozlewają szeroko, roznosząc wszędzie obfitość ulubionej żywności marabutów i zamieniając rozległe grunta w bagna rozkoszne. Wówczas to ptaki te opuszczają wyżyny himalajskie i lecą na południe, a tak

samo, jak i nasze bociany, zwykle powracają do miejsc, gdzie już poprzednio się gnieździły. Para marabutów, trzymana w więzieniu w dolinie bez wyjścia, prawdopodobnie, wypuszczona na wolność, odleciałaby do Kalkuty.

Karol był przekonany głęboko, że powędrują prosto do ogrodu botanicznego, słyszał nawet o tem od dyrektora, pamiętał to doskonale, chociaż wiadomość ta wtenczas była dla niego obojętna. Dyrektor opowiadał mu, że marabuty, hodowane w tym ogrodzie, co rok swobodnie odlatują w góry, zawsze o tej porze, i tak samo najakuratniej powracają. Prawie co do tygodnia i dnia można było oznaczyć ich powrót.

Karol na szczęście zapamiętał nawet tę datę, wiedział więc, kiedy mniej więcej marabuty wybrałyby się w drogę, gdyby były swobodne. Nie potrzebujemy upewniać czytelników, że młodzieńcy przez cały czas najtroskliwiej pielęgnowali ptaki, paśli je smaczniemi przysmakami i traktowali tak zupełnie, jak kapłani indyjscy traktują zwierzęta, którym cześć oddają w swoich świątyniach.

Ossaro dostarczał im mięsa i ryb najwyborniejszych, strzegł je, jak czuła matka, od wszelkiego niebezpieczeństwa, bronił nawet przed Neronem, który jednak o nienawiści swojej zupełnie zapomniał, gdy spostrzegł ze

zwykłą swoją roztropnością, w jakich wielkich łaskach u jego panów są te żarłoczne ptaki.

Nie im nie brakowało, oprócz swobody a wybiła nareszcie godzina, w której i swobodę odzyskać miały. Pewnego poranku, w najpiękniejszą pogodę, uwolniono marabuty z więzów i pozwolono im lecieć, gdzie zechcą. Uwieszono im tylko u szyi małe woreczki skórzane, w których botanik umieścił kartki wydarte ze swego pugilaresu, zapisane ołówkiem. Lekkie te woreczki, ukryte wśród fałdów torby, nie zawadzały wcale ptakom, ale Karol nie wątpił, że dyrektor ogrodu botanicznego natychmiast je spostrzeże. Powierzył on każdemu z ptaków list osobny, na wypadek, gdyby który miał zginąć gdzie po drodze.

Marabuty zrazu nie miały ochoty odlatywać, tak im tu było dobrze u tych troskliwych opiekunów, że gotowe były wyrzec się swobody dla wygod i rozkoszy wszelkiego rodzaju. Lecz chwilę tylko trwało niespokojne oczekiwanie naszych młodzieńców, instynkt wrodzony przewyciężył, ptaki przypomniały sobie zapewne słoneczne równiny Bengalu, zaklekotały z hałasem, jakby na pożegnanie jeńcom, którzy im odpowiedzieli głośnami okrzykami, uniosły się w powietrze, odleciały zwolna ponad szczyty skał i znikły wkrótce woddali.

W dziesięć dni później na krawędzi ka-



Neron odbył tę podróż w towarzystwie Judasza... (str. 265).



miennego muru, otaczającego dolinę bez wyjścia, ukazał się widok niezwykły; tęskne oczy jeńców, ustawicznie w tę stronę zwrócone, zajaśniały radością nieopisaną. Była to gromadka ludzi, a znać było odrazu, że nie przybyli tam bez celu. Nieśli bowiem zwoje sznurów, różne kawałki drzewa i inne przedmioty, z których urządzają się drabiny.

Jakie okrzyki powitały ich zdołu, tego nie potrzebujemy opowiadać. Wkrótce drabinka sznurowa spuściła się ze szczytu skały, trzech nasi młodzieńcy z łatwością wydostali się z jej pomocą na górę; Neron odbył tę podróż w towarzystwie Indusa, który go wziął na ręce.

Stało się tak, jak przewidział Karol; marabutы przybyły szczęśliwie do ogrodu botanicznego, dyrektor spostrzegł woreczki, odczytał listy i natychmiast wysłał ludzi z drabinami na wskazane miejsce.

W kilka dni później młodzieńcy przybyli wraz z wybawcami swoimi do Kalkuty, przestąpili znowu gościnne progi mieszkania dyrektora, który ich powitał z rozczuleniem. Potem pośpieszyli do ogrodu i z najżywszą wdzięcznością częstowali przysmakami pocziwe ptaki, owych wysłańców Opatrzności, jak słusznie wyrażał się Karol, którym winni byli ocalenie.



SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
I. Najwyższe góry na świecie	5
II. Widok ze szczytu góry Czamulari	10
III. Dolina oddzielona od świata	17
IV. Nowe zamiary	22
V. Odwiedziny niespodziewane	26
VI. Słówko o słoniach	30
VII. Opatrzanie broni	34
VIII. Dalsze poszukiwania	37
IX. Przeszkoda	40
X. Na wierzchołku słupa	44
XI. Zguba nieunikniona	47
XII. Bezsilna złość słonia	51
XIII. Osobliwsze odkrycie	55
XIV. Niezwykłe gniazdo	58
XV. Dzióborożce	63
XVI. Rabuś czworonożny	66
XVII. Neron miesza się do walki	70
XVIII. Wyprawa na słonia samotnika	73
XIX. Zniszczenie	77
XX. Oblężenie powtórne	81
XXI. Nieprzyjacieli nieprzejednany	84
XXII. Pragnienie	86
XXIII. Osobliwsza sikawka	90
XXIV. Żywcem pogrzebany	92
XXV. Cedr deodara	97
XXVI. Drabiny	103
XXVII. Powrót do chatki	107
XXVIII. Poszukiwanie śniadania	110
XXIX. Zasadzka	114
XXX. Czaty podwójne	117

XXXI.	Hasło Indusa	121
XXXII.	Koziorożec	124
XXXIII.	Kozy i owce	129
XXXIV.	Walka	136
XXXV.	Orły birkuty	141
XXXVI.	Nowe nadzieje	146
XXXVII.	Próba sił birkuta	150
XXXVIII.	Nowe usiłowania	156
XXXIX.	Ucieczka birkuta	160
XL.	Para drapieżników	163
XLI.	Biedny Neron	167
XLII.	Nowe nadzieje	170
XLIII.	Drzewo papierowe	176
XLIV.	Latawiec	183
XLV.	Drabina	187
XLVI.	Wypadek nieprzewidziany	191
XLVII.	Dalsze losy latawca	195
XLVIII.	Daremne poszukiwania wilczego łyka	199
XLIX.	Balon	203
L.	Sporządzenie balonu	209
LI.	Dalsze przygotowania	214
LII.	Chwila stanowcza	220
LIII.	Zniechęcenie	223
LIV.	Fasola Pitagorasa czyli fasola egipska	229
LV.	Zniwo wodne	232
LVI.	Marabuty	236
LVII.	Szczególny sen	241
LVIII.	Sprawka Nerona	245
LIX.	Uwięzienie marabutów	250
LX.	Znak na nodze	256
LXI.	Poselstwo	260
	Zakończenie	262



